Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 15 (1411) XXVIII 13 KWIETNIA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

- „Biały punkt"
- Jeździec wspaniały i pierwszy partyzant
- Polowanie na babcie
- Poetka miedzianej pięciogroszówki

Foto: Romuald Sakowicz

Na przykład biurokracja

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Przeciętnych Polaków rozmowy a. d. 1985. O podwyżkach cen, o polityce, kolejkach, biurokracji...

Czym jest biurokracja, wiedzą wszyscy. Nie ze słownika czy encyklopedii, ale z życia. Każdy z nas, dorosłych obywateli PRL, przynajmniej raz stanął już kiedyś przed jakimś urzędnikiem w celu załatwienia urzędowej sprawy. Stanął i... — sprawę zazwyczaj załatwił. Bo prawie każda sprawa jest do załatwienia. Chodzi tylko o to, by można było jeszcze dodać: szybko, sprawnie i bez nerwów. Z tym jednak jest już gorzej, nawet całkiem źle. Wystarczy posłuchać, co mówią ludzie. Nie z trybun, czy do telewizyjnej kamery, ale między sobą, prywatnie.

— Jak wiecie, przeprowadziłam się niedawno do nowego mieszkania. W administracji dali mi pisemko do Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto, na Tuwima, żebym przerejestrowała licznik poboru energii na swoje nazwisko. Poszłam. Panienka w okienku kazała mi wypełnić gigantyczny formularz formatu A-4, gdzie kilka razy musiałam wpisać imię i nazwisko, adres dawny i obecny, jakie mam w domu urządzenia elektryczne i coś tam jeszcze. Męczyłam się chyba z piętnaście minut. Potem panienka zażądała decyzji na mieszkanie. Oczywiście nie miałam jej przy sobie, gdyż na co dzień nie nosze w torebce wszystkich domowych dokumentów. Zresztą w administracji wcale nie powiedzieli, że trzeba mieć decyzję. Mówię to panience. Ją to nic nie obchodzi, musi być decyzja. Ale po co? — pytam. Mam przecież stempelek w dowodzie osobistym, że jestem zameldowana, a poza tym dałam przecież pisemko z administracji, gdzie jak wół stoi moje nazwisko i data objęcia lokalu. To się nie liczy — wyjaśnia panienka. Mam przynieść decyzję i już.

— No i co — przyniosłaś?

— A co miałam zrobić? Dla świętego spokoju! Tylko zupełnie nie wiem, dlaczego w ogóle kazali mi tam chodzić? Przecież administracja sama mogła wysłać to pisemko do Zakładu Energetycznego. Ile zaoszczędziłabym czasu?

— Może chodziło im o twój podpis?

— Może. No, to przynajmniej w administracji od razu powinni mi powiedzieć, żebym zabrała decyzję. Ja załatwiałam to pierwszy raz w życiu, oni takich spraw mieli już na pewno na kopy. Wystarczyłoby jedno zdanie. Zresztą nie rozumiem ciągle, po co im była decyzja. Czy dowód osobisty i pisemko z pieczątką administracji nie są wystarczająco wiarygodne? A już najbardziej wkurzyłam się, kiedy po dwóch miesiącach Zakład Energetyczny przysłał mi książeczkę opłat za energię elektryczną. Jak myślicie, na czyje nazwisko?

— Oczywiście poprzedniego lokatora!

— Oczywiście. Mnie to, prawdę mówiąc, nie przeszkadza i tak będę płacić. Ale dlaczego dwa razy niepotrzebnie jeździłam przez całe miasto na Tuwima?

— To i tak niedaleko. Ja trzy razy musiałem jeździć do Pabianic, żeby wyciągnąć z sądu odpis postanowienia o spadku, jaki przeprowadzał kiedyś mój nieżyjący już ojciec po swoich rodzicach. Raz — żeby zgłosić, że taki odpis jest mi potrzebny. Dwa — żeby się dowiedzieć, że kancelaria sądowa odpisu wydać mi nie może, gdyż osobiście nie uczestniczyłem w sprawie. Ale ojciec uczestniczył — mówię. A skąd my wiemy, że to pański ojciec? — pyta chytrze urzędniczka. Choćby z dowodu osobistego — wyjaśniam. Proszę pana... — zaśmiała się. Dowód to dla nas żaden dokument. A najlepiej niech ojciec przyjdzie osobiście. Nie żyje — mówię. No, to musi pan przynieść swój akt urodzenia i akt zgonu ojca. I tak oto musiałem jechać do Pabianic po raz trzeci. Ale najpierw oba akty trzeba było wyciągnąć. Dwa razy zwalniałem się z pracy, bo zależało mi na czasie. Ten odpis potrzebny był, jak to się mówi, na wczoraj. W sumie trwało to prawie dwa tygodnie. Wypisanie jednego świstka! Założę się, że urzędniczce nie zabrało to więcej niż dwadzieścia minut.

— To i tak dobrze, że nie musiałeś składać jeszcze podania. Ja, żeby dostać zaświadczenie z Urzędu Skarbowego w tychże Pabianicach o zapłaceniu podatku, musiałem najpierw napisać podanie. Referentka przeczytała je, schowała spokojnie do szuflady i stwierdziła, żebym zgłosił się za dwa tygodnie. Zdziwiłem się, że tak późno. To nie moja wina — wyjaśniła. Po pierwsze, zgodnie z przepisami, na wydanie zaświadczeń mamy miesiąc, więc i tak idziemy panu na rękę. A po drugie — archiwista jest chory i nie ma go kto zastąpić. Zacząłem prosić... Stanęło w końcu na czterech dniach — w drodze wyjątku, jak się dowiedziałem.

— Widocznie ładnie prosiłeś.

— Ale to jeszcze nie koniec. Kiedy pojechałem po zaświadczenie, okazało się, że... nie jest jeszcze gotowe. W mojej obecności referentka sama poszła do archiwum, wypisała zaświadczenie i po pół godzinie czekania miałem je już w teczce. Dlaczego nie zrobiła tego od razu, kiedy byłem pierwszy raz? I do czego potrzebne jej było moje podanie, skoro zostawiła w aktach kopię zaświadczenia?

— Prawdopodobnie Urząd Skarbowy w Pabianicach ma za dużo papieru i miejsca w archiwum na składanie zbędnych podań. Czyżbyś nie wiedział, że jednym ze wskaźników poziomu życia w państwie jest ilość kilogramów zużywanego papieru przypadająca na jednego mieszkańca? Podobno daleko nam jeszcze do niektórych krajów w tej klasyfikacji.

6

Neuroza

Z OLGIERDEM ŁUKASZEWICZEM
rozmawia BOHDAN GADOMSKI

OLGIERD ŁUKASZEWICZ, absolwent Wydziału Aktorskiego PWST w Krakowie, aktor Teatru Powszechnego w Warszawie, jeden z najbardziej dziś znanych aktorów filmowych, telewizyjnych i teatralnych w kraju.

Od czerwca 1984 roku gra na występach gościnnych tytułowego „Anatola" w reż. Willibalda Bernharta w Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi.

Łodzianie mają więc niecodzienną okazję oglądania warszawskiego (ogólnopolskiego) aktora na żywo w teatrze, a Czytelnicy „Odgłosów" mogą zapoznać się z Łukaszewiczem w wywiadzie prasowym, którego udzielił podczas ostatniego pobytu w Łodzi.

— Przeglądając dawne wywiady z panem, czytając szkic Konrada Eberhardta w „Albumie aktorów polskiego filmu i telewizji" o pana aktorstwie i porównując te opinie o panu ze szkicami innych polskich aktorów, doszedłem do wniosku, że bije pan kolegów w ilości przedziwnych i specyficznych określeń swego aktorstwa i osobowości. Spróbuję więc poszukać prawdy w półprawdach i celności niektórych ocen.

„Łukaszewicz ma w sobie bezradność dziecka i skupienie mnicha". Kiedy przestał pan być dzieckiem? Czy myślał pan, aby zostać księdzem?

— Niechętnie ustosunkowuję się do tego co ktoś o mnie napisał. To sprawa piszących. Niech więc ta rozmowa będzie między nami. Osiem lat byłem ministrantem, ale bałem się kiedykolwiek zostać księdzem.

— „Jest nadmiernie wrażliwy". Jak bardzo i co tę wrażliwość zbudowało?

— Przy takim pytaniu chce się złośliwie odpowiedzieć: — z czego to ktoś wnioskuje i czy przypadkiem nie idzie o to, aby mrugając okiem, insynuować „ejaculatio precox".

— „Jest za ładny, ale sympatyczny i pełen wdzięku". Te atuty ułatwiały czy utrudniały karierę aktora?

— Zdecydowanie utrudniały porozumienie się z wieloma reżyserami, ponieważ zawsze uważałem się za długonogiego, cienkiego, z małą główką.

— „Raz bywa senny a raz podekscytowany". „Jest zbyt safandułowaty". O czym śni pan na jawie i co jest w stanie pana podekscytować?

— Odpowiedź nie jest dla mnie trudna, ale posłużę się sceną z filmu „Noce i dni". Kiedy Janusz i Agnieszka patrzą w spadające gwiazdy. Agnieszka zapytała: *Czy pomyślałeś sobie jakieś życzenie?* On (szeroko otwierając podekscytowane, błyszczące oczy): *Chciałbym żyć.* — *Przecież żyjesz.* Nie rozumiejąc żachnęła się Agnieszka. Janusz uśmiechnął się lekko i opuścił załzawioną powiekę. Ale tak jakby zdążył zdrzemnąć się na chwilę.

— „Bardzo sentymentalny". Do tego przyznał się pan w wywiadzie dla „Ekranu"?

10

Papierowa kwadratura koła

EUGENIUSZ IWANICKI

Znaleźliśmy się w kolejnym dołku, z którego wyjść tym razem jest trudniej niż bywało to w latach minionych. Mówię o papierze. Jak Polska długa i szeroka rozlega się lament wydawców, że teraz to już naprawdę znaleźliśmy się na samym dnie, że doraźnie ucierpi na tym czytelnik prasy codziennej oraz odbiorca literatury pięknej, a perspektywicznie straty poniesie szeroko pojęta kultura polska.

PAPIEROWY KRACH

Zużycie papieru w Polsce jest bardzo niskie, plasujemy się gdzieś na zaszczytnym szarym końcu w Europie. Na statystycznego Polaka przypada zaledwie 36 kg papieru, gdy na przykład w NRD ponad 90 kg! Wyprzedzają nas Bułgarzy, Czechosłowacy, Rosjanie. Ktoś może powiedzieć, że nigdy nie byliśmy krajem, w którym przemysł papierniczy stał na wysokim poziomie, a jego produkcja pokrywałaby potrzeby. Zawsze sprowadzaliśmy papier, ten na druk książek, jak i ten na druk gazet. Kupowaliśmy papier z obu obszarów płatniczych: w latach siedemdziesiątych za ruble sprowadzaliśmy 94 tys. ton, a za wolne dewizy około 90 tys. ton. Wówczas nikt nie alarmował, nie uderzano na trwogę, nie straszono widmem nieodwracalnego kryzysu. Dziś sytuacja uległa zmianie. Po prostu nie mamy dewiz. Według danych Komisji Planowania przy Radzie Ministrów — **do 1990 roku nic się nie zmieni na lepsze.**

Obecnie za ruble sprowadzamy 90 tys. ton papieru, ale jest to już ponoć górna granica, gdyż kraje socjalistyczne więcej nam nie są w stanie sprzedać ze względu na rosnące z roku na rok własne potrzeby. Za wolne dewizy sprowadzamy zaledwie 30 tys. ton i moglibyśmy zakupić więcej, ale skąd brać owe dewizy?

Jednocześnie nastąpił poważny krach w naszym, krajowym przemyśle papierniczym. Nie jest tajemnicą, że polskie papiernie od dawna winny przejść na zasłużone emerytury, że ich maszyny i urządzenia są zniszcz-

5

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 957. P-2.

Przegląd prasy

Niegdyś pewien mój znajomy dziennikarz, kolega z codziennej gazety, pragnął założyć się ze mną, iż zaraz po świętach przynajmniej w jednej gazecie ukaże się informacja zatytułowana: *„Święta, święta i po świętach..."* Nie założyłem się i dobrze zrobiłem. Byłem zresztą podobnego zdania, też takiej informacji się spodziewałem, i byłbym oczywiście przegrał, gdybym zaryzykował zakład wbrew swoim przekonaniom, ale dla hazardu.

To zdarzenie przypomina mi, że żyjemy w świecie schematów i stereotypów. Taki stereotyp mówi na przykład, że święta mają być okazją do odpoczynku. Redakcje życzą swoim czytelnikom spokojnych świąt, miłego odpoczynku i zdrowia. Wysilają się na świąteczne numery, aby były szczególnie lekkie i przyjemne. A przecież powszechnie wiadomo, że przez dwa dni świąt rodacy będą składali sobie wizyty, jedli i pili i nie będą mieli czasu ani na czytanie, ani na oglądanie atrakcyjnych filmów, jakie na święta zwykle szykuje telewizja.

Tak było i teraz. Wierny więc rzeczywistości, a nie wyobrażeniom o niej sporządziłem przegląd prasy nietypowy, licząc się z tym, że większość czytelników nie miała czasu na czytanie czegokolwiek i to sobie odrobi po świętach, więc omówię te pozycje, na które trudniej będzie trafić.

Na początek chciałbym zasygnalizować list, w którym

JAN REM WYJAŚNIA

dlaczego odszedł z „Tu i Teraz". List, oczywiście, ukazał się w „TU I TERAZ" (nr 14 z 3 kwietnia 1985 roku). Jan Rem pisze:

„Zrazu „Samosądy" były to dosyć osobiste felietony pisane na tak zwanym luzie z pewną dezynwolturą. Z czasem jednak przestały to być w ogóle felietony. Potrzeba zamieniła te publikacje w artykuły polityczne o tematyce niedrugoplanowej. Niekiedy przedrukowywały je gazety codzienne. Ich redakcje czyniły to z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony pragnęły rozprzestrzenić moje tezy czy diagnozy, skoro decydowały się na przedruk. Z drugiej strony nie honor to dla redakcji szanującej się gazety przedrukowywać publicystykę z innych łamów. Odstręczało to od sięgania po moje teksty."

W tej sytuacji Polska Agencja Prasowa zaproponowała, aby łamy jej biuletynów stały się dla Jana Rema okazją do zaproponowania jego tekstów, a wykorzystanie ich przez poszczególne redakcje odbywać się będzie mogło na warunkach pierwodruku. W ten sposób i honor redakcji zostaje uratowany i Jan Rem zyskuje miliony czytelników. A tego nie mogło mu zapewnić „Tu i Teraz", które ma dość ograniczony nakład. I dlatego teraz mamy w każdej codziennej gazecie „Samosądy" Jana Rema.

Autor to płodny, pisujący ciekawie, ale ciągle mam taką obawę, że u czytelnika może nastąpić przesyt Janem Remem i jego „Samosądami". Dobrze jeszcze, że Jan Rem nie mówi w radiu i nie wygłasza komentarzy w telewizji. Mielibyśmy wówczas sytuację, jak w starym dowcipie, kiedy to Jan Kowalski zaczął chodzić w nie prasowanych spodniach, gdyż bał się, aby włączywszy żelazko nie usłyszał któregoś z kolejnych przemówień ówczesnego przywódcy.

Wtedy jeszcze nikt nie myślał o rąbaniu siekierą telewizorów jak to miało swego czasu miejsce w Łowiczu „EXPRESS WIECZORNY" (nr z 4 kwietnia 1985 roku) powraca do tej sprawy, a czyni to w oparciu o

WYJAŚNIENIE KSIĘDZA JÓZEFA ZAWITKOWSKIEGO

proboszcza Kolegiaty Łowickiej, gdzie to w lutym 1985 roku ksiądz Wojciech Drozdowicz porąbał na ambonie siekierą telewizor. Głośno o tym było w prasie i w telewizji. Proboszcz ksiądz Józef Zawitkowski poczuł się widać w obowiązku wyjaśnić parafianom postępek księdza Wojciecha D. i wśród ogłoszeń duszpasterskich pomieścił i to, które w całości przedrukował „Express Wieczorny". Otóż w tym wyjaśnieniu na szczególną uwagę zasługują dwa fragmenty.

„W pierwszą niedzielę Wielkiego Postu — pisze ksiądz J. Zawitkowski — *ksiądz Wojciech ilustrując temat kazania do dzieci i dorosłych: „Nawracajcie się i czyńcie pokutę" przejęty stanowczym wymaganiem Chrystusa: „Jeśli oko twoje cię gorszy — wyłup je, jeżeli ręka twoja cię gorszy — odetnij ją. Lepiej ci jest ślepym i kaleką wejść do królestwa niż mając oczy i ręce być potępionym" oraz stanowczym wołaniem Jana nad Jordanem: „siekierka do pnia jest przyłożona i wszelkie drzewo, które nie przynosi owocu będzie wycięte i w ogień wrzucone", poruszony głęboko tym wszystkim, co w ostatnich miesiącach dostarczyła nam telewizja, upewniony postawą biskupów w wielokrotnym prostowaniu telewizyjnych manipulacji — siekierą, w kościele podczas kazania rozbił telewizor".*

Ani ta argumentacja, ani ten czyn nie pasują mi do Europy XX wieku. I sposób usprawiedliwienia czynu księdza Wojciecha D. jest co najmniej wątpliwy, żeby nie powiedzieć budzący nie tyle wątpliwości co sprzeciw. Tak zresztą zareagowali ludzie w Łowiczu. Mówiły o tym przed kamerą kobiety. Oto, co o nich pisze ksiądz Józef Zawitkowski:

„Zostaje jeszcze do rozliczenia sprawa kobiet, które wystąpiły w telewizji. Znane mi są obie. Jedna z nich nosi świece w procesji. Czy telewizja zapewni im teraz spokojne życie w naszym środowisku? Was proszę byście nad nimi nie czynili samosądu".

To już zabrzmiało groźnie. A przecież lubimy się chwalić naszą rzekomą tolerancją. Już sama myśl, że tym kobietom za wypowiedź przed kamerami, coś mogłoby grozić, jest niebezpieczna. I znów wypada zapytać: czy to jest Łowicz z drugiej połowy XX wieku? Czy jesteśmy społeczeństwem kulturalnym, tolerancyjnym i nowoczesnym czy też nadal tkwimy o opłotkach obskurantyzmu, fanatyzmu i ciemnoty?

W nieco innym kontekście, ale dość dziwne i niebezpieczne

POGLĄDY ZAPREZENTOWAŁ BOGDAN RUTA

na łamach „ŻYCIA PABIANIC" (nr 14 z 4 kwietnia 1985 roku) w felietonie *„Manifest anty-video"*. Otóż autor przyznaje, że nie udało mu się, jak do tej pory, przeniknąć *„do żadnej z video-elit"* i nie wie jak się takie seanse odbywają, ale gorąco protestuje przeciw samej idei videokaset widząc w tym *„kolejny zamach na wolność wyboru w korzystaniu z dóbr kulturalnych"*. Jego zdaniem pierwszym takim zamachem była w ogóle telewizja, dzięki której wielu ludzi *„raz na zawsze przestało odwiedzać kina, korzystać choćby z zakładowych wyjazdów do teatru i zarzuciło z „braku czasu" czytanie książek..."* A teraz grozi druga klęska — magnetowid, który *„czyni z telewizora prawdziwy ołtarz"*.

Najbardziej lubię, jak o czymś wypowiadają się ludzie, którzy nie mają o tym zielonego pojęcia. Jak można pisać o groźbie videokaset, przyznając się jednocześnie, że czegoś takiego nie widziało się. Bogdan Ruta prezentuje sposób myślenia, z którym trudno się zgodzić. Wedle tego sposobu: jeśli coś nie jest po naszej myśli, jeśli nam nie odpowiada, to zakazać, wyrzucić, nie uznać, przekreślić. Tylko że świat nie będzie się liczył z naszym zaściankowym sposobem myślenia i możemy się któregoś dnia obudzić daleko w tyle za innymi. Trzeba raczej umieć wykorzystać dla naszych potrzeb wszystko, co postęp ze sobą niesie niż udawać, że tego nie ma. I włóżmy między bajki opowieści, że telewizja oduczyła ludzi czytać, chodzić do kina i do teatru. Wycieczki do teatru skończyły się z zupełnie innych powodów. Również i sprawa czytania inaczej wygląda i inne tu występują bariery. Coś mi się wydaje, że Bogdan Ruta bardziej żyje wspomnieniami niż tym, co dzieje się dziś na świecie.

I na koniec, tym razem

ZUPEŁNA NOWOŚĆ I RYSUNKOWY CYTAT

za „SZTANDAREM MŁODYCH" (nr z 3 kwietnia 1985 roku).

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

40 LAT TEMU

narodził się w Łodzi Młodzieżowy Wyścig Pracy. Jednym z organizatorów tego wyścigu był Jerzy Kortan. Realizacji tej idei podjęli się wspólnie z Kazimierzem Maciejewskim — pierwszym przewodniczącym ZWM w Łodzi. Po 40 latach Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego zorganizowało wystawę pamiątek po tamtych czasach. W uroczystości otwarcia wystawy wzięli udział nie tylko byli uczestnicy wyścigu pracy ale również młodzież szkół łódzkich, dla której była to lekcja najnowszej historii.

ZAŁOGA ŁÓDZKICH ZAKŁADÓW WYTWÓRCZYCH KOPII FILMOWYCH

otrzymała sztandar. Uroczystość wręczenia sztandaru odbyła się w Teatrze Wielkim. Zakłady powstały w 1952 roku i położyły wielkie zasługi zarówno w rozwoju polskiej kinematografii, jak i popularyzacji filmu światowego. Gratulujemy!

20 KWIETNIA

1985 roku w Łodzi w Teatrze Wielkim odbędzie się centralna akademia z okazji Dnia Włókniarza. Jest to święto pracowników przemysłu włókienniczego, odzieżowego i skórzanego. Na czele komitetu honorowego obchodów Dnia Włókniarza stanął członek Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarz KŁ — Tadeusz Czechowicz.

PAPIER DLA PRASY

dostarczają zakłady papiernicze „Skolwin" i „Myszków". Dyrektor „Skolwina" zapowiedział w telewizji, że jego fabryka odrobi powstałe zaległości i dostarczy papier obiecany drukarniom do druku gazet i czasopism. Teraz — jak podało „Życie Warszawy" — Myszkowskie Zakłady Papiernicze odrobiły zaległości i w pierwszym kwartale na zamówione 4 500 ton papieru dostarczyły 4 680 ton. W kwietniu „Myszków" będzie produkował papier przeznaczony na druk podręczników szkolnych, a w drugiej połowie dostarczy drukarniom RSW „Prasa — Książka — Ruch" 1 500 ton papieru gazetowego.

Te pomyślne wiadomości wcale nie oznaczają, że już skończyły się trudności z papierem gazetowym.

STEFAN MARIA KUCZYŃSKI

zmarł w Katowicach w wieku lat 81. Był tam dyrektorem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Śląskiego. Był wybitnym znawcą historii średniowiecza, autorem licznych prac, a między innymi książki „Wielka wojna z zakonem krzyżackim 1409—1411".

Przez pewien czas wykładał historię na Uniwersytecie Łódzkim. Miałem wówczas przyjemność być słuchaczem jego wykładu monograficznego o życiu Tatarów. Był to jeden z ciekawszych wykładów. Do dziś pamiętam wiele szczegółów, mimo że minęło już więcej niż 25 lat.

BĘDZIE „CENTRAL II"

co być może zainteresuje licznych turystów zaopatrzeniowców z taką chęcią wojażujących po Polsce w poszukiwaniu atrakcyjnych towarów. Ale na radość jeszcze wcześnie. „Central II", który powstanie u zbiegu ulic Piotrkowskiej i A. Mickiewicza czynny będzie — jak wszystko dobrze pójdzie — dopiero pod koniec 1988 roku. Przeróbka już istniejącego budynku potrwa — jak z tego widać — trzy lata. Długo. Ale teraz tak się buduje, niestety.

W oczekiwaniu na „Central II" możemy przejść się ulicą Piotrkowską do skrzyżowania z ulicą L. Zamenhofa, gdzie możemy podziwiać budynek, projektowany przez Bolesława Kardaszewskiego, nazwany przez czytelników „Dziennika Łódzkiego" — BOLKIEM. Obok powstaje drugi podobny dom, który będzie się nazywał LOLEK.

Zupełnie jak w telewizji na dobranoc!

ŚLEDZIE TYLKO W... WARSZAWIE

Wiadomość tę przekazało „Życie Warszawy". Najpierw na konferencji w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego i Usług poinformowano dziennikarzy, że na te święta nie będzie śledzi, a teraz okazało się, że Stołeczny Wydział Handlu, w sobie tylko znany sposób zdobył śledzie i warszawiacy mieli je na święta.

Panie i panowie z Wydziału Handlu i Usług Urzędu Miasta Łodzi, czy my gorsi? Trzeba coś wymyślić oryginalnego na przykład na 1 Maja. Koniecznie!

PRASOWY GANG

w Szczecinie. Zarobili 1 200 tysięcy złotych na... kradzieży kolorowych tygodników. Wysyłane z Warszawy do Szczecina dochodziły w całości tylko na stację. Tu część z nich wyjmowano i sprzedawano w trzech wybranych kioskach, biorąc całą należność tylko do podziału między wspólników. Do gangu należeli: ekspedytor z Dworca Głównego w Szczecinie, kierowca „Łączności" oraz obsada trzech kiosków „Ruch".

Członkowie gangu przebywają teraz w więzieniu, czekają na proces. Nie mamy wiadomości, czy czas więzienny umila im lektura kolorowych tygodników.

Ostrzegamy przed naśladownictwem!

PROTEST PROSTYTUTEK

Nie u nas, oczywiście, nie u nas. Tylko we Francji. A konkretnie w Paryżu. Dwieście pań w karnawałowych maskach demonstrowało w samym centrum Paryża. Blokując skutecznie ruch samochodowy. Protestowały przeciw zakazowi uprawiania najstarszego zawodu w dowolnym miejscu Paryża. Władze stolicy Francji wydzieliły dzielnicę „Eros-Center", w której można uprawiać prostytucję.

Paryskie prostytutki nie tylko zablokowały ruch kołowy na placu Concorde, ale też udały się do premiera Fabiusa, aby na jego ręce złożyć protest. W proteście tym zwracają uwagę, że nie zajmują się na przykład handlem narkotykami, a ich zawód jest „społecznie potrzebny i służy użytkowi publicznemu".

Manifestacja paryskich prostytutek trwała kilka godzin i musiała w końcu interweniować policja.

Patrzcie ludzie, czego to nie wymyślą w tym Paryżu.

A. B. SEKATOR

SPROSTOWANIE

W zamieszczonej liście kandydatów do Nagrody „Odgłosów" za upowszechnianie kultury zostało zmienione nazwisko pani WALERII KONARSKIEJ, za co Ją i Czytelników przepraszamy.

REDAKCJA

Powrót Polski do MFW

Po oficjalnym wycofaniu przez USA swojego veta, Polska ma szansę powrotu do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Warto przypomnieć, że Polska w lipcu 1944 roku należała do grupy 44 krajów, które na konferencji w Bretton Woods założyły MFW. W okresie „zimnej wojny", w 1950 r. Polska wystąpiła z Funduszu. Obecnie do MFW należy ponad 140 państw reprezentujących wszystkie rozwinięte gospodarki kapitalistyczne, z wyjątkiem Szwajcarii i prawie wszystkie państwa rozwijające się. Państwa zgrupowane w Funduszu wytwarzają ok. 80 proc. światowej produkcji, a ich udział w handlu międzynarodowym wynosi ok. 90 proc.

Powrót Polski do MFW daje asumpt do przedstawienia zasad funkcjonowania Funduszu, które nie są, jak się wydaje, dobrze znane szerokiej opinii publicznej. Znajomość mechanizmu funkcjonowania Funduszu przyczynić się może do rozwiania wielu złudzeń, które ten i ów żywi w związku z przyjęciem Polski do MFW. Jedno jest pewne — przynależność Polski do MFW nie spowoduje, że na kraj spadnie deszcz dolarów pochodzących ze skarbca Funduszu. MFW jest przecież bankierem, a nie instytucją charytatywną.

ZADANIA I ORGANIZACJA FUNDUSZU

Podstawowe zadania MFW są dwojakiego rodzaju. Z jednej strony Fundusz jest wielkim bankierem, który na określonych warunkach oferuje członkom swoje zasoby dewizowe w formie średnioterminowych kredytów. Począwszy od 1970 roku Fundusz przydziela im także nieodpłatnie pewne kwoty kreowanych przez siebie środków płatniczych. Z drugiej strony Fundusz jest międzynarodową organizacją, która przestrzega stosowania przez kraje członkowskie określonych zasad gry w dziedzinie stosunków walutowych.

WITOLD KASPERKIEWICZ

Fundusz w ramach swojej działalności dąży do realizacji pewnych szerszych celów, do których należą następujące:

1. Wspieranie międzynarodowej współpracy walutowej przez stworzenie odpowiedniego mechanizmu dla konsultacji i współdziałania w zakresie międzynarodowych problemów monetarnych.

2. Stwarzanie warunków do ekspansji i zrównoważonego wzrostu handlu zagranicznego, co sprzyja utrzymywaniu wysokiego poziomu zatrudnienia i dochodu narodowego oraz rozwojowi sił wytwórczych krajów członkowskich.

3. Skrócenie trwania i złagodzenie perturbacji pojawiających się w bilansach płatniczych krajów członkowskich.

Zasoby finansowe Funduszu powstają z udziałów członkowskich (tzw. kwot), pożyczek zaciąganych przez Fundusz oraz z jego dochodów. Z naszego punktu widzenia najbardziej interesujące są zasady wyznaczania kwoty członkowskiej. Wielkość tej kwoty zależy od pozycji gospodarczej kraju, wyrażającej się głównie w rozmiarach dochodu narodowego, handlu zagranicznego oraz rezerw walutowych. Kwota decyduje o tym, ile kraj członkowski ma wpłacić do wspólnej puli środków finansowych Funduszu. Kwota członkowska jest również podstawowym elementem określającym ilość głosów, jakimi dysponuje członek MFW. Wysokość kwot poszczególnych krajów waha się od kilku milionów SDR (są to specjalne prawa ciągnienia, skrót od angielskiego terminu „special drawings rights", jest to jednostka wartości stosowana w MFW oparta na koszyku złożonym z 16 najmocniejszych walut) w przypadku małych państw afrykańskich do ponad miliarda lub nawet kilku miliardów w przypadku USA, Japonii, RFN. Według ocen ekspertów wielkość kwoty Polski powinna znaleźć się w przedziale wyznaczonym przez udział Węgier (530 mln SDR) i Hiszpanii (1,3 mld SDR). Zgodnie z zasadami działania Funduszu nie rzadziej niż co 5 lat następuje ogólny przegląd kwot w świetle rozwoju sytuacji ekonomicznej krajów członkowskich i na tej podstawie dokonywane są odpowiednie zmiany za zgodą zainteresowanych.

Najwyższą władzą MFW jest Rada Gubernatorów, w skład której wchodzą przedstawiciele każdego kraju, zwykle minister finansów lub prezes banku centralnego. Do kompetencji Rady należą decyzje w najważniejszych sprawach, takich jak: przyjmowanie nowych członków, rewizja kwot i sposób wpłacania podwyżek, współpraca z innymi organizacjami międzynarodowymi. Bieżącą działalnością Funduszu zajmuje się zarząd, który składa się z 20 dyrektorów. Z tej liczby 5 dyrektorów mianują kraje posiadające największe kwoty, a więc USA, W. Brytania, RFN, Francja i Japonia.

Wszelkie decyzje władz Funduszu zapadają zwykłą lub kwalifikowaną większością głosów. Każdy kraj ma 250 głosów podstawowych, a poza tym po jednym głosie od każdych 100 000 SDR kwoty. Najistotniejsze decyzje, takie jak zmiana statutu, podwyższenie kwoty lub decyzje o sposobie wpłaty podwyżki, wymagają kwalifikowanej większości 85 procent głosów. W praktyce daje to USA i krajom EWG prawo veta w stosunku do tych decyzji, gdyż łącznie dysponują one wystarczającą po temu liczbą głosów.

ZASADY UDZIELANIA KREDYTÓW

Międzynarodowy Fundusz Walutowy udziela krajom członkowskim kredytów ze środków zgromadzonych w walutach na tzw. Ogólnym Rachunku Zasobów. Na uwagę zasługuje specyficzna forma, w jakiej te kredyty są przyznawane. Otóż, każdy kraj upoważniony jest, w określonych granicach i na określony cel, do zakupienia w Funduszu waluty obcej za walutę własną. Jednakże po pewnym czasie, kraj musi dokonać transakcji odwrotnej, tzn. wykupić swoją walutę za wymienialną walutę obcą lub SDR. Z formalnego punktu widzenia jest to więc zakup waluty obcej pod zastaw waluty własnej, ale de facto jest to kredyt otrzymany w walucie obcej.

Kredyty ze środków Funduszu są spłacane zwykle w okresie nie dłuższym niż 3—5 lat, gdyż taki czas jest, według ustaleń Funduszu, wystarczający do zastosowania środków polityki ekonomicznej służących przywróceniu równowagi bilansu płatniczego. W momencie udzielenia kredytu termin spłaty nie jest jednak określony i zasada ta odróżnia kredyty Funduszu od normalnych kredytów bankowych czy rządowych. Wysokość oprocentowania kredytów wzrasta w zależności od rozmiarów zadłużenia w Funduszu i upływu czasu. Władze Funduszu mogą dla nierzetelnego dłużnika wyznaczyć stawkę oprocentowania znacznie wyższą od normalnego oprocentowania. Niezależnie od oprocentowania, przy zakupie waluty obcej w Funduszu kraj członkowski płaci prowizję w wysokości 0,5 procent. Odsetki od kredytów oraz prowizje płatne są Funduszowi w SDR-ach.

Wysokość kredytu, jaki dany kraj może uzyskać uzależniona jest przede wszystkim od rozmiarów jego kwoty (czyli udziału w Funduszu). Każdy kraj przystępując do Funduszu wpłaca doń 75 procent swojej kwoty w walucie własnej, a resztę w walucie obcej. Kiedy następnie nabywa w Funduszu waluty obce za walutę własną (tzn. otrzymuje kredyt) zapas jego waluty będący w dyspozycji Funduszu wzrasta powyżej 75 proc. kwoty. Zapas ten nie może jednak przekroczyć 200 procent kwoty. Uwzględniając początkową wpłatę 75 proc. należy stwierdzić, że kraj członkowski może otrzymać od Funduszu kredyt w maksymalnej wysokości 125 proc. kwoty.

Procedura przyznawania kredytów przez Fundusz jest dość przewlekła. W związku z tym, aby przyspieszyć uzyskanie przez dany kraj kredytu z zasobów Funduszu stworzono w 1952 roku instytucję tzw. promes kredytowych. Istota funkcjonowania tej instytucji polega na tym, że władze Funduszu na podstawie analizy sytuacji płatniczej i polityki walutowej kraju zabiegającego o wsparcie kredytowe upoważniają go do zakupu waluty w określonej wysokości, gdy zajdzie tego potrzeba, ale już bez dalszych formalności. Udzielenie tej promesy łączy się z pewnymi wymaganiami, jakie władze Funduszu stawiają kredytobiorcy. Dotyczą one w szczególności stabilizacji waluty, zwalczania napięć inflacyjnych w gospodarce danego kraju i uproszczenia systemu kursów walutowych. Promesa kredytowa przyznawana jest zawsze na ściśle określony czas, zazwyczaj na rok lub 6 miesięcy, ale może być przedłużona.

W pewnych okolicznościach Fundusz ma prawo udzielenia kredytu w wysokości przekraczającej dopuszczalną granicę, granicę 125 procent kwoty. Możliwe jest to w ramach tzw. rozszerzonego kredytu, który stanowi formę długoterminowej pomocy dla krajów członkowskich znajdujących się w stanie wysokiego zadłużenia, na przykład z powodu strukturalnych zakłóceń w produkcji, handlu zagranicznym lub systemie cen. Kraj ubiegający się o ten rodzaj kredytu zmuszony jest przedstawić Funduszowi program działań z zakresu polityki ekonomicznej, jaki zamierza przedsięwziąć w celu zrównoważenia bilansu płatniczego.

Kolejną odmianą kredytów przyznawanych przez Fundusz są tzw. kredyty kompensacyjne. Przysługują one krajom członkowskim, specjalizującym się w produkcji surowców, w celu pokrycia krótkotrwałego ubytku wpływów eksportowych, który nastąpił wskutek zdarzeń niezależnych od tych krajów. W latach 60-tych kredyt ów mógł wynosić 25 proc. kwoty. W 1975 roku na skutek recesji i spadku popytu na surowce podwyższono ten limit do 50 procent kwoty w okresie rocznym, a 75 procent kwoty ogółem. Kraj korzystający z tego rodzaju kredytu może się więc zadłużyć w Funduszu łącznie do 200 proc. kwoty.

W 1969 r. wprowadzono dodatkowy kredyt na finansowanie surowcowych zapasów interwencyjnych. Udzielany jest on w rozmiarach do 50 proc. kwoty krajom, które biorą udział w finansowaniu takich zapasów, utworzonych w ramach międzynarodowych umów towarowych, zawieranych pod auspicjami ONZ.

W 1974 r., w związku z powstaniem w wielu krajach ogromnych deficytów bilansu płatniczego wskutek czterokrotnej podwyżki cen ropy naftowej, MFW uruchomił specjalne kredyty naftowe (oil facility). Były one udzielane nie z ogólnych zasobów Funduszu, lecz ze środków pożyczonych na ten cel głównie od krajów naftowych.

TRUDNOŚCI W DZIAŁANIU MFW

W minionych latach Fundusz służył niezawodną pomocą swym członkom. Momentem przełomowym był kryzys naftowy 1973—1974. W wyniku światowych zmian strukturalnych MFW zajmuje się obecnie głównie finansowaniem krajów rozwijających się, jako że począwszy od 1979 r. żaden kraj wysoko uprzemysłowiony nie zaciągnął pożyczki od Funduszu. Od 31 grudnia 1977 r. do 30 kwietnia 1981 r. udział krajów uprzemysłowionych w pożyczkach przyznawanych przez MFW spadł z 49 proc. do 9 proc. Jednocześnie udział pożyczek przyznawanych krajom rozwijającym się, a nie mającym większych zasobów ropy naftowej, wzrósł z 51 proc. do 91 proc.

Trudna sytuacja płatnicza krajów Trzeciego Świata (ponad 500 mld dol. długów w 1983 r.) spowodowała, że MFW obniżył wysokość udzielanych kredytów. I tak, Fundusz udzielił w 1981 r. — 47 mld, w 1982 r. — 19,7 mld dol. pożyczek. Ograniczone możliwości kredytów wycisnęły swoje piętno na sytuacji ekonomicznej państw dłużniczych. Na przykład w Brazylii stopień inflacji w 1983 r. osiągnął 117 proc., a bezrobocie wzrosło do 30 proc.

Równocześnie w krajach dłużniczych, ze względów politycznych, nie wszystkie zalecenia Funduszu dotyczące poprawy efektywności gospodarowania są wprowadzane w życie. Argentyna i Wenezuela nie zastosowały się w 1983 r. do oszczędnościowych zaleceń Funduszu, ponieważ w obu tych krajach miały odbyć się wybory i wobec tego rządy obawiały się utraty popularności i poparcia społeczeństwa.

Dramatyczna sytuacja płatnicza wielu krajów rozwijających się skłoniła niektórych polityków zachodnich i ekspertów do opracowania środków zaradczych. Komisja ds. stosunków Północ-Południe pod przewodnictwem W. Brandta zaproponowała w swym raporcie opublikowanym w 1983 r., aby MFW złagodził restrykcje towarzyszące udzielanym kredytom. W raporcie zwrócono również uwagę na potrzebę zwiększenia bezpośredniej pomocy dla ubogich krajów świata.

Eksperci finansowi rozwiązanie trudnej sytuacji płatniczej krajów rozwijających się wiążą z:

— wprowadzeniem przepisów zachęcających do inwestowania w krajach dłużniczych przez ich wierzycieli;

— zbilansowaniem wzajemnych obrotów dłużników i wierzycieli, a przede wszystkim niedopuszczeniem do deficytów krajów dłużniczych w tych obrotach;

— przyjęciem przez MFW lub inną organizację międzynarodową funkcji wierzycieli od banków, płacąc tym bankom 90 centów za dolara długu; w ten sposób zarządzanie długiem zagranicznym znalazłoby się w jednym ośrodku, dzięki czemu łatwiej byłoby nim zarządzać.

Propozycje te nie zostały dotychczas wprowadzone w życie. MFW i inne organizacje międzynarodowe udzielają pomocy finansowej dłużnikom w takim zakresie, który ma uchronić światowy system finansowy przed rozpadem.

WARUNKI

Wstąpienie Polski do MFW może przyczynić się do poprawy naszej mocno nadszarpniętej wiarygodności kredytowej. Nawet jeśli nie spowoduje to przyznania postulowanych nowych kredytów rządowych, doprowadzić może do umiarkowanej zmiany statusu Polski w zachodnim systemie bankowym i tym samym może skłonić banki do rozszerzenia kredytów handlowych.

Możliwość skorzystania z kredytów MFW wymagać będzie spełnienia przez Polskę standardowych warunków kredytowych. Dotyczą one zwłaszcza odmrożenia cen, poważnej redukcji dotacji do produkcji, zwiększenia eksportu, skorygowania kursu wymiany waluty, podwyższenia stopy procentowej. Należy liczyć się z tym, że przedstawiciele MFW w negocjacjach ze stroną polską sformułują szereg warunków, które będą oznaczać konieczność zaostrzenia rygorów ekonomicznych w celu zrównoważenia gospodarki. Już teraz można stwierdzić, że niektóre standardowe warunki są w naszej gospodarce nierealne np. postulowana przez MFW zasada wolnego handlu i wolnego kursu walut w sytuacji, gdy czarnorynkowy kurs dolara jest pięciokrotnie wyższy od oficjalnego, a znikome rezerwy dewizowe zmuszają do ograniczania importu.

Władze MFW dokonają z pewnością analizy stanu naszej gospodarki. Z analizy tej wypłyną pytania o relacje ekonomiczne, które mimo ogólnej poprawy w 1984 nadal budzą, w pewnych dziedzinach, poważne wątpliwości. Można spodziewać się, że przedstawiciele MFW spytają dlaczego w 1984 r. wzrost dochodów był wyższy niż wzrost cen, dlaczego spożycie i inwestycje przekroczyły założenia planu, dlaczego dyscyplina finansowa jest nadal słaba i toleruje się funkcjonowanie nieefektywnych przedsiębiorstw etc. Są to pytania kłopotliwe i trudno będzie na nie dać jednoznaczne odpowiedzi. Sytuacja społeczna kraju nie pozwala władzy centralnej na zdystansowanie się od społecznego kontekstu decyzji ekonomicznych. Z tego względu nie wszystkie decyzje słuszne ekonomicznie i przyspieszające rekonwalescencję gospodarki są realizowane w praktyce z pełną konsekwencją. Ulegają one rozmyciu w wyniku presji społecznej wyrażonej przez liczne instytucje życia politycznego.

Apetyt na społeczne złotówki

W 1984 roku na terenie kraju stwierdzono 55 153 przypadki zagarnięcia mienia społecznego, co w kategoriach wartościowych oznacza straty sięgające kwoty ok. 2 mld zł. Popełniono 122 465 przestępstw gospodarczych (o 34,6 proc. więcej niż w roku 1983). Wzrosła liczba kradzieży na dużą skalę — ponad 300 tys. zł. Złodzieje ze szczególnym upodobaniem grasowali w transporcie (6563 przestępstwa), rolnictwie i gospodarce żywnościowej (4686), budownictwie (4438). Najwięcej przestępstw zagarnięcia mienia społecznego stwierdzono w województwie warszawskim (5734), katowickim (3272) i gdańskim (2637). Wykryto prawie 80 proc. sprawców kradzieży (39 156). W grupie tej 7596 osób zajmowało w pokrzywdzonych jednostkach stanowiska kierownicze lub pełniło funkcje związane z odpowiedzialnością za powierzone mienie. Było wśród nich 252 dyrektorów, 65 księgowych, 821 kierowników sklepów, zakładów lub budów, 1257 magazynierów. Najczęściej stosowaną metodą kradzieży były włamania do obiektów (47 781 przypadków), z preferencją handlu detalicznego, magazynów oraz wagonów kolejowych. Sprawcy tych przestępstw aż w 60 proc. działali pod wpływem alkoholu. O 70 proc. wzrosła ilość stwierdzonych przypadków niegospodarności i marnotrawstwa, o 7 proc. zwiększyła się liczba ujawnionych przestępstw sprzedajności funkcjonariusza państwowego, zaś o ponad 25 proc. wzrosła ilość odnotowanych przekupstw. Wykryto prawie 21 tys. przypadków spekulacji. Taki bilans minionego roku przedstawiła Prokuratura PRL na spotkaniu z dziennikarzami zorganizowanym w Biurze Prasowym Rządu, a poświęconym kwestii praworządności w gospodarce.

Rok 1984 należy zaliczyć do okresu szczególnego nasilenia działań kontrolnych, głównie z inspiracji Komitetu Rady Ministrów do Spraw Przestrzegania Prawa, Porządku i Dyscypliny Społecznej. Efektem tych działań był wyraźny wzrost ujawnialności przestępstw gospodarczych — co nie znaczy wcale, że ograniczono ich skalę. Szczególnie niepokojącym zjawiskiem jest mnożenie się przypadków ewidentnej niegospodarności i marnotrawstwa w jednostkach gospodarki uspołecznionej. Resort sprawiedliwości zapowiedział w związku z tym nowelizację tych artykułów kodeksu karnego, które traktują o odpowiedzialności z tytułu nadzoru nad powierzonym mieniem.

Najwyższa Izba Kontroli poinformowała, że na wniosek Prezesa Rady Ministrów w drugim półroczu 1984 roku przeprowadzono kontrolę 29 przedsiębiorstw budowlano-montażowych, na które to wcześniej nałożono obowiązek opracowywania skrupulatnych kosztorysów, jako podstawy do ustalania cen usług. W wyniku kontroli ujawniono, że tylko w 29 proc. przypadków postępowano zgodnie z prawem. Permanentnie zawyżano ceny robót budowlanych i remontowych — w skrajnych przypadkach nawet o 30 proc. Na „czarnej liście" NIK znalazły się m.in.: Słupskie Przedsiębiorstwo Budowlane, które bezzasadnie pobrało 23,2 mln zł, Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego w Wałbrzychu, Skierniewickie Przedsiębiorstwo Budowlane oraz „Budostal — 2" z Krakowa. Do kas inwestorów musiano zwrócić prawie 240 mln zł.

NIK sprawdzała także sposoby ustalania cen przez jednostki gospodarki uspołecznionej. Niestety, gros przedsiębiorstw nie respektowało przepisów o cenach, zagarniając nienależne im środki finansowe przeznaczane głównie na wzrost płac nie idący w parze ze wzrostem wydajności pracy. Prawie połowa cen regulowanych i umownych pozwalała wytwórcom rekompensować skutki ich niegospodarności i marnotrawstwa. Producenci rzadko kiedy fatygowali się, by dopełnić obowiązku poinformowania urzędu cen o dokonanych podwyżkach. Co piąta kontrolowana jednostka nie obniżała ceny mimo znacznego pogorszenia jakości wyrobu. W Hucie Szkła Gospodarczego „Hortensja" w Piotrkowie Trybunalskim zakwestionowano nowe ceny umowne aż 320 artykułów. Już w trakcie kontroli kierownictwo huty obniżyło ceny, przekazując do budżetu kwotę 5,7 mln zł.

Ceny jako kategoria ekonomiczna szczególnie podatna na łatwe, lecz niezgodne z prawem zabiegi producentów usiłujących poprawić swoje wyniki finansowe, znalazły się w zasięgu zmasowanej kontroli dokonywanej przez Inspekcję Cen. Tylko w roku 1984 Inspekcja Cen dokonała „wizytacji" 2670 jednostek gospodarczych, kontrolując prawidłowość ustalania i kalkulowania cen urzędowych, regulowanych oraz umownych. Prawie 40 proc. badanych jednostek nie przestrzegało zasad kalkulacji cen — zawyżając je na swoją korzyść. W wyniku interwencji obniżono prawie 8,7 tys. cen, a skutki finansowe tych podwyżek wynoszą w skali roku ponad 4,9 mld zł. W niektórych przedsiębiorstwach skala tego procederu przybrała niesamowite rozmiary. Zakłady Rafineryjne i Petrochemiczne w Płocku zawyżyły ceny na łączną sumę 912 mln zł, Zakłady Azotowe w Puławach usiłowały oszukać odbiorców na kwotę prawie 590 mln zł, a FSC w Lublinie — na 240 mln zł. W porównaniu do roku 1983, Inspekcja Cen zmuszona była zakwestionować prawie dwa razy więcej kalkulacji cenowych. Wydano prawie 3-krotnie więcej decyzji o sankcjach finansowych za obniżanie jakości towarów bez obniżania cen.

W styczniu i w lutym bieżącego roku było jeszcze gorzej. Inspekcja Cen po kontroli 259 przedsiębiorstw przemysłu kluczowego i spółdzielczego, stwierdziła cenowe nieprawidłowości w 138 jednostkach (53,3 proc. objętych kontrolą). Zażądano obniżenia ponad 800 cen. W handlu i usługach ujawniono rozwój procederu nieuwidaczniania cen, pobierania cen wyższych oraz podmiany gatunków.

Znane są już pierwsze wyniki kontroli cen umownych artykułów żywnościowych produkowanych w oparciu o surowce, których ceny urzędowe wzrosły z dniem 1985.03.04. (mąka, cukier, mleko). Od 4 do 20 marca br. Inspekcja Cen skontrolowała ponad 360 prywatnych i uspołecznionych jednostek wytwórczych w branży cukierniczej, piekarskiej i przetwórstwa owocowo-warzywnego. I znowu wykryto kilkaset ewidentnych przykładów cwaniactwa sprytnie wykorzystującego mechanizm ruchu cen urzędowych.

W Biurze Prasowym Rządu instytucje powołane do wykrywania i zwalczania niepraworządności w gospodarce przedstawiły efekty swoich działań. Bez wątpienia najciekawsze dane opracowała Inspekcja Cen. Co z nich wynika? Ano to, że para reformy gospodarczej zamiast w tłoki, uchodzi w gwizdek. Wysiłki producentów coraz częściej skupione są na obchodzeniu źle skonstruowanych przepisów. Obecny system ekonomiczny obnażył już swoje słabe strony, a tymczasem działania władz idą nie w kierunku usuwania przyczyn niepraworządności, lecz koncentrują się na walce ze skutkami. Producenci zaś umiejętnie korzystają z zasad kosztownej metody ustalania cen, doskonale ukrywającej niegospodarność. Branżowe zrzeszenia szybko odzyskują monopolistyczną władzę, co znakomicie ułatwia dyktat cenowy, itd., itd.

Wygląda na to, że możemy spodziewać się raczej dalszych zmasowanych kontroli i jeszcze obfitszych plonów Prokuratury, NIK oraz Inspekcji Cen — bo tylko taką refleksję można odnieść po warszawskim spotkaniu.

R. K.

Major Henryk „Hubal"-Dobrzański jest jednym z bohaterów wielkiej narodowej tragedii We wrześniu 1939 r. nie złożył broni i walczył ze swym ponad 300-osobowym oddziałem z jednostkami niemieckimi aż do końca kwietnia 1940 r.

ZANIM ZOSTAŁ KAWALERZYSTĄ

Henryk Feliks Józef Dobrzański urodził się 22 czerwca 1897 r. w Jaśle jako syn Henryka Dobrzańskiego rodu szlacheckiego, matka — Maria z Lubienieckich — była córką Włodzimierza Lubienieckiego, znanego powstańca z 1863 r., a wnuczka oficera wojsk polskich z powstania listopadowego — Hipolita Lubienieckiego. Po mieczu chłopiec był potomkiem pułkownika Dobrzańskiego, adiutanta króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Od dzieciństwa Henryk wyrastał w atmosferze głębokiego patriotyzmu i kultywowania wojskowych tradycji rodzinnych, gdzie pamięć powstania styczniowego wciąż była jeszcze żywa. Miał zamiłowanie do koni i jazdy konnej, odznaczał się niezwykle żywym usposobieniem i fantazją.

W czasie I wojny światowej Dobrzański pełnił służbę w Kawalerii Legionów w Kowlu. Od stycznia 1918 r. został skierowany do Szkoły Podchorążych II Brygady Legionów w Mamajesti, po buncie legionistów pod Rarańczą zostaje internowany przez Austriaków w obozie w Saldabos na Węgrzech. Przy pierwszej okazji ucieka z obozu. Do Polski dociera przemycony przez maszynistę w parowozie Chorego i wycieńczonego ukrywa ziemianin Duniń z Głębowic. Los sprawi, że w 12 lat później uciekinier poślubi kuzynkę Dunina.

Henryk Dobrzański wraca do macierzystego pułku Szwoleżerów Rokitniańskich. Jest początek listopada 1918 r. Służy w stopniu plutonowego, w końcu listopada zostaje wachmistrzem, a w grudniu chorążym. W następnym roku awansuje do stopnia podporucznika.

Przez następnych kilka lat prawie nie zsiada z konia. Odchodzi z pułkiem na Śląsk, potem wojna 1920 r. Sprawdza się w powierzonych mu funkcjach dowódczych i administracyjnych. Jest wysoko oceniany przez zwierzchników jako oficer bojowy. Ma cztery Krzyże Walecznych i Krzyż Virtuti Militari V klasy. W sierpniu 1920 r. awansował do stopnia porucznika. Dobrzański zna francuski i niemiecki. W domu otrzymał staranne wychowanie, nosi się elegancko, uważany za przystojnego, podoba się kobietom.

W 1922 r. w stopniu rotmistrza obejmuje dowództwo 4 szwadronu, następnie jedzie na roczny kurs do Centralnej Szkoły Kawalerii w Grudziądzu. O karierze wojskowej jakby nie myślał. W pułku jest prawie gościem. Coraz częściej wyjeżdża na wielomiesięczne sportowe obozy konne. Bez reszty poświęca się hippice.

JEŹDZIEC WSPANIAŁY

Nazwisko Dobrzańskiego zaczyna błyszczeć wśród największych wojskowych gwiazd jeździeckich Europy. W 1925 r. bierze udział w międzynarodowym wojskowym konkursie hippicznym w Nicei. Ekipa polska, w której jest Dobrzański, wygrywa wszystkie puchary i nagrody w najcięższych konkursach. Drużynowo zdobywają Puchar Narodów. Rotmistrz Dobrzański otrzymuje pierwszą nagrodę w konkursie myśliwskim „Monaco".

Z Nicei polska reprezentacja wyjeżdża na zawody do Rzymu, Neapolu i Mediolanu. Tam Dobrzański zdobywa dwie trzecie i pięć dalszych nagród. W sumie bilans lat 1925 i 1926 zamyka się w sportowej karierze rotmistrza 21 różnymi nagrodami. Zajmuje więc bardzo wysoką pozycję wśród naszych jeźdźców.

Henryk Dobrzański nigdy nie należał do ludzi o giętkim karku. Dodatkowym jego „grzechem" było to, że mówił, co myślał, a myślał często to, co nie w smak było różnym wysoko postawionym osobistościom. W ten sposób zyskiwał sobie wrogów. Dopóki przynosił jeszcze sławę polskiemu jeździectwu poza granicami kraju, jego krytyczny stosunek do zwierzchników uchodził mu płazem. Jednak później zaczęto Dobrzańskiemu odpłacać się z nawiązką.

W połowie września 1929 r. major Dobrzański zostaje nagle przeniesiony z Grudziądza do 20 Pułku Ułanów w Rzeszowie. Wyglądało to na przeniesienie karne. W 1930 r. ożenił się z Zofią Zakrzeńską. W dwa lata później przychodzi na świat córka Krystyna. Kolejne przeniesienie do Hrubieszowa, a w 1936 r. do Wilna. Jeżeli Hrubieszów był skierowaniem majora Dobrzańskiego na boczny tor, to Wilno jest odejściem na „wykończenie". Powierzenie jemu, majorowi, stanowiska dowódcy szwadronu zapasowego, to niemal degradacja zawodowa. Dobrzański powoli tracił grunt pod nogami, kiedy przez 12 lat nie awansował, dorobiwszy się złośliwego przydomka „żelaznego majora".

Niedługo przed wojną w czasie zawodów hippicznych w Warszawie mjr Dobrzański został zaproszony do loży honorowej przez prezydentową Mościcką, jego daleką kuzynkę. Zaproszenie zignorował, odpowiadając przekazującemu je oficerowi: *„Nie chodziłem do niej, gdy była porucznikową, tym bardziej nie pójdę, gdy została prezydentową"*. Wywołało to niezadowolenie wysokich osobistości.

Wszystko to jednak blednie przy „skandalu" wojskowym, którego bohaterem znowu był mjr Dobrzański. Otóż życzliwi mu ludzie podjęli próbę przełamania złej passy „żelaznego majora" i stworzyli mu możliwość awansu. Podczas nadchodzących wielkich manewrów na Wołyniu miał się tylko wykazać dowódczymi umiejętnościami. Oddano pod jego komendę pułk kawalerii, miał nim dowodzić w „działaniach wojennych". Major Dobrzański dowiedział się o protekcji, czego nie znosił. Gdy któregoś wieczora wojska ułożyły się do snu, postawił pułk na nogi, przeprawił się przez rzekę, obszedł „nieprzyjaciela" i wziął jego sztab do niewoli. Tego już było za wiele. Jeszcze raz okazał się oficerem „nie na czasy pokojowe". Oczywiście o awansie nie mogło być mowy.

REZYGNACJA I WYBUCH WOJNY

Na kilka miesięcy przed wojną mjr H. Dobrzański decyduje się na wystąpienie z wojska. W wieku 42 lat był życiowym bankrutem. Stracił zawód, czuł się upokorzony i rozgoryczony. Uważał, że zmarnowano mu życie. Nie mógł jednak nie przyznać, że do tego walnie przyczynił się również on sam. Teraz porzucał wojsko, uwalniał się od krytykowanego przez siebie karierowiczostwa, protekcji i świty, a równocześnie lękał się poważnie, co będzie, gdy w jego życiu zabraknie wojska. Wybuchła wojna.

W atmosferze działań wojennych dawne krzywdy i urazy idą w zapomnienie. Jest oficerem, jak gdyby ponownie odnalazł siebie. W czasie działań wojennych liczyła się odwaga, szybki refleks i gorący patriotyzm, a nie ukłony i układne słówka. Znowu czuł się potrzebny.

Niestety, na razie nie może zmierzyć się z wrogiem w bezpośredniej walce. Powierzona zostaje majorowi odpowiedzialna funkcja zastępcy dowódcy nowo formowanego 110 Pułku Ułanów w Grodnie. Trzeba przekształcić go w jednostkę bojową. Pułkiem dowodził podpułkownik Jerzy Dąbrowski powołany ze stanu spoczynku, doświadczony oficer posiadający zasługi bojowe. Postanawia przedrzeć się wśród wojsk niemieckich do walczącej jeszcze Warszawy. Zdaniem Dobrzańskiego taka postawa dowódcy jest ze wszech miar słuszna. Podpułkownik Dąbrowski nie spełnia jednak do reszty pokładanych w nim przez majora nadziei. Czując się otoczony przez wojska niemieckie w okolicach Lipska nad Biebrzą, postanawia rozwiązać pułk.

Podczas odprawy oficerskiej w nocy z 22 na 23 września 1939 r. mjr Dobrzański staje się „rebeliantem". Wypowiada posłuszeństwo dowódcy. Samorzutnie przejmuje komendę nad pułkiem. Broni się jeszcze Hel, Modlin i Warszawa. Major nie zmusza nikogo do pozostania w oddziale. Pozostaje grupa około 200 oficerów, podoficerów i szeregowych. W Dobrzańskim — żołnierzu przeważa nie tylko człowiek, ale i patriota. Żołnierze to czują, idąc za nim ku walczącej Warszawie wbrew „rozsądkowi" i „logice". Nie ma rezygnacji z walki. Oddział majora po przebyciu bagien i mokradeł, w pełnej gotowości bojowej przybywa do majątku Krubki pod Warszawą. Żołnierze spoglądają na niego z szacunkiem. W ich oczach przerósł sławą Dąbrowskiego.

I oto jeszcze raz Dobrzański staje w obliczu osobistej przegranej, do Krubek dotarł 27 września, a 28 dowiaduje się, że Warszawa padła. Podejmuje próbę przebijania się na południe kraju, a może później na Węgry albo do Rumunii. W oddziale pozostało tylko 70 ludzi. Ci chcą się bić dalej i wiedzą, że kieruje nimi doświadczony dowódca. Jest wzruszony, może przyjdzie rozstać się z krajem, w którym tak różnie układały się jego losy. Pisze bardzo czuły pożegnalny list do swojej córki i matki.

NARODZIŁ SIĘ „HUBAL"

Major Henryk Dobrzański kieruje się na południowy zachód lasami ciągnącymi się wzdłuż brzegu Wisły, a potem koło wsi Maciejowice przeprawia się na lewy brzeg rzeki. Tu napotyka niewielki zmotoryzowany pododdział niemiecki, który doszczętnie rozbija. Jest to pierwsze zbrojne starcie z wrogiem. Droga oddziału ku południowej granicy Polski miała wieść przez Puszczę Kozienicką, lasy starachowickie, Góry Świętokrzyskie, a potem na Rzeszowszczyznę, ku Bieszczadom. Musieli bezustannie mylić czujność tropiącego ich nieprzyjaciela. Stoczyli kilka potyczek z napotykanymi na swej drodze oddziałami niemieckimi. Żołnierze mieli już za sobą kilkutygodniowy okres spędzony w siodle, nastały słotne i zimne dni października. W potyczkach byli zabici i ranni. Wszystko to wpływało na osłabienie żołnierskiego morale. Zaczęły się nocne dezercje, oddział topniał coraz bardziej.

Pod koniec października 1939 r. oddział majora przybywa do gajówki Zychy pod Radoszycami w powiecie koneckim. Do wsi wkraczają żołnierze w polskich mundurach, przy broni i w bojowym szyku. Nie jest tak źle z Polską, mówi okoliczna ludność, skoro nie opodal Niemcy, a tu maszerują polskie oddziały. Żołnierze serdecznie byli przyjmowani, otrzymywali żywność i furaż dla koni.

W Zychach „Hubal" — bo taki pseudonim przyjmuje H. Dobrzański rozpoczyna działalność propagandową na dużą skalę, wydaje liczne ulotki i odezwy do ludności, zakłada miejscową placówkę konspiracyjną, a potem „okręg radoszycki". Przygotowuje plany organizacyjne „Okręgu Bojowego Kielce". W listopadzie 1939 r. major jedzie do Warszawy, by realizować swoje plany. W rozmowie z komendantem głównym Służby Zwycięstwu Polski gen. Michałem Tadeuszem Karaszewicz-Tokarzewskim, uzyskuje jego akceptację. Zaproponowano mu funkcję komendanta okręgu SZP w Kielcach. Stanowiska tego nie przyjął, musiałby przecież rozstać się z oddziałem. Zgodził się natomiast być zastępcą komendanta okręgu, równocześnie dowodząc swoimi żołnierzami.

Tomaszów Mazowiecki i okoliczne wioski leżące koło lasów przysuskich stają się bazą materiałową i rekrutacyjną dla Hubalowego wojska. W końcu lutego 1940 r. stan Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego wynosił ponad 300 ludzi. Szefem sztabu zostaje por. Korab, adiutantem jest wachmistrz Rodziewicz. Jest zorganizowana kancelaria i służba taborowa. Kapitan Pomian obejmuje kompanię piechoty w sile 200 ludzi. Szwadronem w sile 50 ludzi dowodzi rotmistrz Walbach.

Kiedy oddział rozbudował się liczebnie i został przygotowany do walki, z komendy głównej Związku Walki Zbrojnej, na początku marca przychodzi decyzja o rozwiązaniu oddziału „Hubala". Major rozkazu K 6 w pełni nie wykonał — postanowił jedynie ograniczyć stan osobowy oddziału. Dlaczego — zadawano sobie pytania — teraz, kiedy oddział rozrósł się i przygotował do walki, kazano go rozwiązać. Czy nie była to celowa rozgrywka przeciw „Hubalowi"?

HENRYK DOBIEGAŁA

Jeździec wspaniały i pierwszy partyzant

Major nieoczekiwanym rozkazem władz ZWZ był głęboko wstrząśnięty i rozgoryczony, ale równocześnie podniesiony na duchu faktem, że nie wszyscy żołnierze podporządkowali się poleceniom z Warszawy. Bo choć prawie cała kadra oficerska i ponad dwie trzecie żołnierzy zdecydowało się na zdjęcie mundurów, to jednak przy nim pozostało jeszcze siedemdziesięciu. Wśród nich m.in. ppor. Morawski „Bem", ppor. Szymański „Sęp", kapelan oddziału ksiądz Mucha, pchor. Ossowski „Dołęga", wachmistrzowie Alicki i Rodziewicz oraz zwykli żołnierze, którzy pragnęli dalej walczyć.

W OKRĄŻENIU

W połowie marca 1940 r. mjr. „Hubal" na czele oddziału wyrusza z Gałek Krzczonowskich w kierunku południowym na Hucisko z mocnym postanowieniem, że nie będzie już kolejnej demobilizacji. Będzie działał dalej na przekór wszystkim.

Tymczasem nad oddziałem zbierają się chmury. Niemcy szykują się do ostatecznej rozgrywki z „Hubalem". W okolicy roi się od niemieckich agentów. W kierunku Huciska nadciągają liczne pododdziały żandarmerii, SS i policji.

Oddział majora operował na obszarze od Kielc do Włoszczowej, nad Pilicą i aż po Nowe Miasto prawie bezkarnie. „Hubal" za wszelką cenę postanowił wykazać ZWZ słuszność swoich racji — stoczyć bój z wrogiem, porządnie go poszarpać i odskoczyć w bezpieczne miejsce. A co będzie dalej, to się zobaczy. W końcu marca 1940 r. oddział liczył ok. 100 ludzi. Ochotnicy napływali z różnych stron. Większość to okoliczni chłopi.

O świcie 30 marca 1940 r. patrol hubalczyków natknął się na szosie Chlewiska-Skłoby na Niemców. Nieprzyjaciel przeważał liczebnie. Po krótkiej walce ginie trzech ułanów. Prawdziwa bitwa rozegrała się około 2 km od wsi Hucisko. Niemcy zdecydowali się uderzyć nie mając dokładnego rozeznania co do sił Polaków i ich rozmieszczenia. Oddział w sile batalionu idąc gromadnie zbliżał się do polskich pozycji. Hubalczycy dopuścili ich na odległość 60—80 m. Zmasowana salwa Hubalowej piechoty, w tym 16 erkaemów, zaskoczyła Niemców, wpadli w panikę, zaczęli się wycofywać.

Bój pod Huciskami trwał do dwóch godzin. Jego bilans: po stronie polskiej — dwóch rannych i sześciu zabitych, straty niemieckie były ogromne i wynosiły około 200 zabitych i rannych.

30 marca wieczorem następuje wymarsz oddziału na południe w lasy suchedniowskie. Po przebyciu 40 km rankiem zatrzymuje się na odpoczynek we wsi Szałas Stary. Wśród żołnierzy panuje doskonała atmosfera, radują się z odniesionego zwycięstwa. Niemcy koncentrują siły i kierują się do wsi Szałas-Zapuście. Dochodzi do zaciętej strzelaniny w zetknięciu się z Polakami zaległymi na skraju pobliskiego Szałasu Starego. Major do walki wprowadza całe siły. Doszło nawet do ataków na bagnety. Z przerwami walka trwała niemal cały dzień. Obie strony miały dotkliwe straty.

O zmierzchu strzały cichną. Niemcy znikają z pola widzenia. Major decyduje się na marsz w Góry Świętokrzyskie. Plutony i jazda konna ostrożnie posuwają się przez spowity nocą las. Wysłani szperacze przynoszą meldunki, że wokoło są Niemcy. Świt zastaje około siedemdziesięciu hubalczyków przyczajonych w kępie drzew. Próbują przebijać się w różnych miejscach — wszędzie Niemcy. Mogliby przeczekać kilka dni w głębi lasów — Niemcy w głąb lasu boją się zapuszczać — ale brak żywności każe szukać wyjścia z obławy. Późną nocą znajdują jakąś wieś. Rozbijają się na małe grupki, aby łatwiej przejść nie zauważonymi. Po zorientowaniu się, że przejście w Góry Świętokrzyskie jest niemożliwe, kierują się w rejon Opoczna, gdzie dotąd mieli najwięcej przyjaciół.

PRZECIW ROZKAZOM

Przez kilka dni przedzierają się lasami. Są potwornie zmęczeni, głodni, zarośnięci i brudni. Niemcy prowadzą zaciekły pościg. W leśniczówce pod Wągrowcem odnajduje „Hubala" wysłannik dowództwa okręgu ZWZ w Kielcach por. „Czarny" z rozkazem od „Grabicy" (jeden z pseudonimów gen. Stefana Roweckiego) natychmiastowego rozwiązania oddziału pod groźbą sądu polowego. „Hubal" wpada w szał — w odpowiedzi pisze:

„Do Pana Grabicy. Żadnych Grabiców nie znam i znać nie chcę. Rozkazy takowe mam w dupie i na przyszłość przyjmować nie będę". W podpisie: Dowódca Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego, mjr „Hubal".

W kilka dni po walkach pod Huciskiem i Szałasami Warszawa dowiaduje się o wyczynach „Hubala".

W połowie kwietnia 1940 r. major skrył się z oddziałem w okolicach Spały — w cieniu Głównej Kwatery Wojsk Niemieckich na Wschodzie, sądząc, że tutaj będzie najbezpieczniej. Przez dwa tygodnie panuje względny spokój. Wydaje się, że Niemcy stracili ślad. Ale były to tylko pozory. Niemcy przygotowywali się do ostatecznej rozgrywki.

Żołnierze może tego nie dostrzegali, ale w kwietniu 1940 r. „Hubal" to już zupełnie inny człowiek. Staje się ponury, przesądny, często mówi o śmierci. Jakby opuszczała go pewność siebie. Nie może zdecydować się ostatecznie, czy rozwiązać oddział, czy — mimo wszystko — walczyć dalej. Jakby czekał na wyrok losu.

ROZTERKA I ŚMIERĆ

Nadal utrzymuje łączność z ludnością. Jest z nim w stałym kontakcie m.in. sołtys Wojakowski z Rzeczycy. Z Wólki Kuligowskiej, gdzie oddział obozował jeszcze 28 i 29 kwietnia 1940 r., hubalczycy, starając się ujść Niemcom, przechodzą do wsi Ponikła, a następnie do Fryszerki, skąd miejscowy przewodnik młynarz prowadzi ich do Anielina. Jest świt 30 kwietnia 1940 r., kiedy oddział przechodził przez Anielin. We wsi panowała cisza. Zatrzymują się w niskim zagajniku. Z sosnowych łapek robią legowiska. „Hubal" zwraca się do oficera służbowego „Dołęgi": *„Tu nas chyba nikt nie znajdzie"*. „Dołęga" opuszcza majora, przechodzi na pobliską polankę. Ledwie przysnął — naraz spośród sosen wybiega „Zemsta", w ręku trzyma karabin: *„Panie podchorąży — Niemcy!"*

Major „Hubal" 30 kwietnia 1940 r. ginie w zasadzce w sposób przypadkowy. Wiele jest wersji o śmierci majora. Najprawdopodobniejsza wydaje się hipoteza, że „Hubal" otrzymał śmiertelną ranę zaraz po pierwszych seriach niemieckich. Trafiła go kula przeznaczona dla „Dołęgi". Miał jeszcze tyle sił, żeby wpaść w zarośla, tam stracił przytomność i tam znaleźli go Niemcy. Skonał na podwórzu Laskowskich.

Z oddziałem mjr „Hubala", jak wynika z dokumentów, walczyła 372 dywizja piechoty gen. mjr Fritza von der Lippego, podległa Dowództwu Wojskowemu w Generalnym Gubernatorstwie z siedzibą w Spale, na którego czele stał gen. Blaskowitz.

Melchior Wańkowicz przytacza wypowiedzi Lippego i innych generałów niemieckich o pogrzebie mjr „Hubala". Zwłoki majora zawieziono do koszar w Tomaszowie Mazowieckim, oddano honory wojskowe tzn. gen. Kurt von Gienauth zasalutował przed otwartą trumną i złożył na piersi majora gałązkę świerku — dowód uznania dla bohaterskiego przeciwnika. Heinrich Schreihage twierdzi, że był tego naocznym świadkiem. Pamięta również, że nocą wywieziono ukradkiem trumnę ze zwłokami majora i pochowano w nie znanym bliżej miejscu. Według pogłosek, jakie rozeszły się później wśród oficerów niemieckich, miejsce to miało się znajdować około pięciu kilometrów od Tomaszowa Mazowieckiego, w lesie, na północ od szosy Tomaszów — Rawa.

Major „Hubal" zginął, Niemcy stosują okrutne represje, ale tryby machiny puszczonej w ruch przez majora będą się obracały nadal. Hubalczycy rozproszeni po leśnych kryjówkach, po zapadłych wsiach Kielecczyzny, zmienili tylko mundury na cywilne ubrania, by przejść do pełnej konspiracji i nadal walczyć.

W komunikacie o śmierci mjr „Hubala" czytamy m.in.: *„30 kwietnia 1940 r. o godz. 5,30 rano wskutek zdrady... zginął człowiek, który swój mundur Polskiego Żołnierza, nałożony w 1914 r., ukochał nad wszystko, nie zdjąwszy go ani razu został w nim pochowany! Zginął człowiek i dzielny dowódca, który swej przysięgi żołnierskiej nie złamał, honoru polskiego żołnierza nie splamił".*

Zagroda Laskowskich leży na samym skraju wsi Anielin. W odległości 200 m, wśród pierwszych drzew, stoi dziś niewielki kamienny pomnik, opatrzony tablicą z napisem:

„Tu walczył i zginął 30.IV.1940 r. major Henryk Dobrzański „Hubal", dowódca oddziału WP, nieustraszony żołnierz, pierwszy partyzant. Społeczeństwo Ziemi Opoczyńskiej".

Dopiero wiele lat później zrozumiano, że jego „święte szaleństwo" było po prostu odruchem gorącego patriotyzmu narodu, który w tamtych warunkach mógł się wyrazić właśnie w działaniu. Polska Ludowa doceniła waleczność i patriotyzm majora Henryka Dobrzańskiego „Hubala" nadając mu pośmiertnie najwyższe bojowe odznaczenie Krzyż Virtuti Militari.

■

Papierowa kwadratura koła

ze str. 1

czone i nadają się jedynie na złom. Doraźne łatanie i naprawy niczego nie zmienią: jedynie wybudowanie nowych kombinatów papierniczych może odwrócić widmo klęski, jaka czeka polską prasę i polską książkę. Ale na zakup nowych maszyn i urządzeń także są potrzebne dewizy.

Tegoroczna pula papieru przeznaczonego na cele wydawnicze — **dla RSW „Prasa-Książka-Ruch" 140 tys. ton i dla Ministerstwa Kultury i Sztuki 85 tys. ton** — już została zmniejszona. W styczniu i lutym 1985 r. zabrakło nam już 10 tys. ton! A to jest poważna ilość i takiego spadku nie notowano u nas od co najmniej dziesięciu lat. Tych strat już niestety nie da się odrobić. Jak będzie w drugim kwartale? Podejrzewam, że nie lepiej.

Jeszcze nie tak dawno temu wydawca miał określoną pulę papieru i w ciągu roku mógł nią dowolnie gospodarować. Teraz wydawnictwa książkowe otrzymują tzw. zaliczki papierowe na okres jednego kwartału. Praktycznie nie ma manewru papierem, bo przecież na różne książki jest potrzebny różny papier (nie można na papierze gazetowym wydrukować dzieła naukowego czy pozycji encyklopedycznej lub bajek dla dzieci, z kolei na grubym, białym papierze nie wydaje się wielonakładowych powieści). Zresztą owe przydziały kwartalne istnieją częstokroć jedynie na papierze (wydawcy mówią: **papier na papierze!**).

Taka polityka pociąga za sobą określone konsekwencje. Minione lata jakby ośmieliły wydawców każąc im wierzyć, iż kolejne będą nie gorsze od poprzednich. Przecież już zaczęliśmy wychodzić z przysłowiowego dołka **Już w 1984 roku na statystycznego Polaka przypadało 6 książek!** Zdawało się, że poprzednie kompromitujące nas statystyki na zawsze odeszły w przeszłość. I nagle krach! Upadek jeszcze znaczniejszy, recesja jeszcze głębsza. Wydawcy, jak powiedziałem, ośmieleni wzrostem nakładów i tytułów zaczęli wierzyć w dobrą passę i w związku z tym zaczęli gromadzić pewne zapasy tekstów w wydawnictwach. Rzeczywistość okazała się okrutna. Stąd niektórzy wydawcy wstrzymali zawieranie umów z autorami. Inni podpisują tyle umów, ile książek w danym roku mogą wydać. Czyli — trzeba dostosowywać ambicje do możliwości. Ale takie przyhamowanie niekorzystnie odbije się na środowiskach twórczych i naukowych. Przy okazji ucierpią na tym wznowienia. Wydawca będzie wolał wydać nowy tytuł, niż sięgać po wznowienie. Praktycznie w wydawnictwie będzie się zawierać z jednym autorem jedną umowę, co jest absurdem, gdyż jeden i ten sam autor może jednocześnie przedłożyć wydawcy tom wierszy i powieść. Tylko że wydając dwie książki jednemu autorowi nie wyda się żadnej innemu. Tu staje poważny problem przed wydawcą: musi nastawić się na przyjmowanie już gotowego dzieła, a nie jego konspektu, czy zaledwie zamysłu. No i poprzeczka powinna pójść do góry, bowiem skoro nie ma papieru, trzeba wydawać teksty naprawdę wartościowe.

ŁÓDZKIE WYDAWNICTWA

Dla mnie, mieszkańca Łodzi, najbliższe jest własne podwórko. Mamy w mieście dwie oficyny wydawnicze, zajmujące się wydawaniem literatury pięknej: **Wydawnictwo Łódzkie oraz oddział Krajowej Agencji Wydawniczej.** Obie te placówki w minionym roku dobrze zasłużyły się polskiej kulturze. Wł. osiągnęło 80 tytułów, 700 arkuszy wydawniczych, 4 mln egzemplarzy. Jest to poważne osiągnięcie, rokujące uzasadnione nadzieje na lata najbliższe. W planie na rok bieżący ma być tytułów już 90! Oby.

KAW — jeszcze parę lat temu ledwie raczkowała jako oficyna wydawnicza, ale od dwóch lat stała się poważnym wydawcą. Jeszcze w 1982 roku wyszło stąd zaledwie 400 tys. egz. książek, natomiast w 1984 było ich już 1.600 tys. Porównując tytuły ten rozwój przedstawia się jeszcze bardziej dynamicznie: z 6 tytułów do 20! Niestety, braki papieru i tu są czynnikiem hamującym. W roku bieżącym łódzki oddział KAW otrzymał na swoje potrzeby zaledwie 400 ton papieru, choć potrzebuje 600 ton. A więc regres.

Wydawcy generalnie wychodzą z takiego założenia: **więcej tytułów na rynku kosztem nakładów.** Czyli przekładając to na język obiegowy otrzymamy sporo książek o zaniżonym nakładzie, co w praktyce i tak będzie oznaczać, iż książki nie uda się nabyć, i że jej posiadaczem stanie się szczupłe grono szczęśliwców.

CO DALEJ Z „OSNOWĄ"?

Jeszcze o łódzkim podwórku. Chcę parę słów poświęcić sprawie tyle ważnej co wstydliwej dla miasta. Chodzi mi o **„Osnowę"**. Ten periodyk za grosz nie ma szczęścia. Jak tylko pamiętam była ona zawsze kukułczym jajem: podrzucano ją różnym drukarniom, które broniły się przed jej wydawaniem. A przecież jest to jedyny periodyk w Łodzi, prawie milionowym mieście, poświęcony szeroko pojętej kulturze i mógłby się stać forum integrującym nasze środowiska twórcze. Ale kto zechce uczestniczyć w jego redagowaniu czy pisać doń, skoro nie zna się miesiąca ani roku, w którym „Osnowa" się ukaże? Jak można liczyć na stałych odbiorców, skoro nikt nie wie, kiedy „Osnowa" znajdzie się w kioskach? I czy już w nich będąc, nie zostanie zepchnięta gdzieś pomiędzy proszki do prania a plastykowe wiaderka dla dzieci? Wydawcą „Osnowy" jest Wydawnictwo Łódzkie, które teraz wydaje ją raczej dla honoru domu niż dla środowisk twórczych. Licząc, że przecież kiedyś kryzys minie i periodyk ten odzyska dawną swoją rangę i świetność. A póki co wydawca poszukuje drukarni, która by zechciała „Osnowę" drukować. Dotąd robiły to Akcydensy, ale tam też nastąpiła modernizacja i reorganizacja. Kto weźmie teraz „Osnowę"?

W DRUKARNI

Niejako siłą rozpędu, bo trudno w tym korowodzie zależności pominąć drukarnię, odwiedziłem **Łódzką Drukarnię Dziełową.** Tu od razu wylano na mnie kubeł zimnej wody. Położono przede mną pismo dyrektora **PZM „Grafpapier"** w Warszawie z 25 lutego 1985, w którym dyrektor informuje, że dostawy papieru w styczniu i lutym były niższe niż planowano. **„Natomiast dostawy z importu w ogóle nie są do chwili obecnej realizowane na skutek nieotwarcia kredytów przez Bank Handlowy z uwagi na brak środków dewizowych".** Dalej dyrektor informuje, że na przyczyny, które spowodowały opóźnienie dostaw z przemysłu krajowego złożyły się: **„... brak kleju z importu dla Myszkowskich Zakładów Papierniczych, który spowodował przerwanie produkcji przez kilka dni papierów offsetowych; remonty maszyn papierniczych 4 i 5 w Myszkowskich Zakładach Papierniczych oraz awarie energetyczne...; z uwagi na niski poziom wody Wrocławskie Zakłady Papiernicze w m-cu styczniu miały kilkudniowy postój zakładu; przerwa w produkcji nastąpiła w m-cu styczniu w Kostrzyńskich Zakładach Papierniczych na skutek zamarznięcia rurociągu; w Szczecińskich Zakładach Papierniczych wystąpił postój maszyny papierniczej nr 2 na skutek remontu; ponadto na skutek ograniczeń energetycznych i braku węgla w kilku zakładach z konieczności ograniczono produkcję papieru...".** Oczywiście konkludował dyrektor — „Grafpapier" podejmuje działania interwencyjne w zakładach papierniczych, bo przecież chodzi o zapewnienie ciągłości produkcji, choć jest to półśrodek, który nie zaspokajał drukarń w stosunku do ich zdolności produkcyjnych. Na koniec dyrektor dodaje, że za powstałe braki „Grafpapier" nie ponosi winy ani odpowiedzialności.

Usiąść i płakać.

W Łódzkiej Drukarni Dziełowej należałoby ogłosić powszechną żałobę. Zastępca dyr. ds. produkcji **Wiesław Wroński** (jest po zawale i nie wolno mu się denerwować) z beznadziejnym smutkiem na twarzy i rezygnacją w oczach przedkłada mi wykaz zapasu papieru, jakim w chwili obecnej dysponuje ŁDD. A więc jeśli chodzi o papier rolowy, szerokość 61 cali, książkowy, to zamówiono go w „Grafpapierze" na I kw. br. 700 ton, na dzień 1 marca mieli potwierdzenie na 500 ton (tzn. otrzymali z Zakładów Papierniczych Myszkowa, Skolwina, Częstochowy i Głuchołaz — 231 ton). W papierniach w realizacji jest 265 ton. W Głuchołazach mieli wznowić produkcję 5—6 marca, bo brakowało celulozy. A w ogóle „Grafpapier" nie umieścił dla ŁDD 200 ton papieru w papierniach na I kw. br., który to papier jest niezbędny dla ŁDD. Zresztą z tych brakujących 200 ton otrzymają zapewne zaledwie połowę.

ŁDD zamówiły w „Grafpapierze" na I kw. br. ok. 150 ton papieru rolowego mniej niż wynosi normalna potrzeba, ponieważ różnicę tę zrealizowało **Biuro Zaopatrzenia Materiałowego „Ruch"**. Bez tej realizacji brakowałoby 200 ton papieru w I kwartale, co równa się bez mała miesięcznej produkcji drukarni.

NIE MA TEŻ TEKTURY NA OKŁADKI

Zapas papieru w ŁDD na maszyny offsetowe rolowe jest bez przerwy jedynie w granicach 2—3 dni druku. ŁDD by utrzymać jako tako ciągłość produkcji w oprawach zmuszana jest wybierać pozycje o małej ilości arkuszy drukarskich, co ujemnie odbiło się na realizacji planów finansowych samej drukarni. A prawidłowy zapas papieru rolowego — zgodnie z normatywami opiewającymi na 60 dni zapasu — powinien wynosić około 320 ton. Z tego wniosek, że planowanie w ŁDD jest podobne do przepowiedni meteorologicznych, czyli planowanie sobie a pogoda sobie.

Aktualnie ŁDD podpisała z wydawcami umowy na 10 mln 350 tys. egz. książek, w tym na 1.200 tys. opraw twardych, na co potrzeba około 120 ton tektury. A do dziś otrzymano zaledwie 10 ton tektury! (Wspomnianej tektury zamówiono 10 ton w Nowej Soli. Ostatnio fabryka poinformowała ŁDD, że być może na koniec marca dostarczy 2 lub 3 tony.). Na pismo w tej sprawie „Grafpapier" odpisał, co następuje:

„Niniejszym informujemy, że tektura oraz papiery pakowe znajdują się w roku 1985 w grupie towarów wyłączonych z obowiązkowego pośrednictwa jednostek obrotu. Oznacza to, że PZM „Grafpapier" nie otrzymał na 1985 rok żadnych limitów gwarantujących dostawy tych towarów w wysokościach zabezpieczających potrzeby przedsiębiorstw poligraficznych i wydawniczych. W tej sytuacji wszystkie Wasze zamówienia na tekturę oraz papiery pakowe przyjmujemy do realizacji w a r u n k o w o, ponieważ wielkość dostaw, którą zapewniliśmy sobie na podstawie umów zawartych z producentami, jest niewspółmiernie mała w stosunku do potrzeb".

Na moje pytanie, dlaczego wiele książek opuszczających ŁDD ma tak żałosny wygląd, uzyskałem odpowiedź, że nie ma dobrego kartonu do druku okładek w technice offsetowej, a te, które są, w ogóle nie odpowiadają normom technologicznym. Stąd okładki są takie a nie inne. ŁDD drukuje, bo co ma robić? Wypuszczać książki bez oprawy? Jedyne rozwiązanie to pójście do wróżki, by przepowiedziała czy i co w najbliższych miesiącach będzie się drukować w Łódzkiej Drukarni Dziełowej.

STARE MASZYNY

W Polsce mamy 123 maszyny papiernicze, które produkują owe 36 kg papieru i tektury **na statystycznego Polaka. Ale** trzeba uwzględnić fakt, że 40 proc. tegoż papieru i tektury jest produkowane na maszynach, które przekroczyły 60 lat życia w służbie papiernictwa. A więc staruszki. Eksponaty muzealne. Dziś już nikt na takich maszynach nie produkuje. Tak więc zostaliśmy daleko w tyle, nawet za krajami RWPG, gdzie zajmujemy aż 6 miejsce. To smuci. Modernizacja, a przed taką koniecznością stanęliśmy, potrwa co najmniej kilka lat, stąd tak mało optymistyczne prognozy opracowane przez Komisję Planowania przy Radzie Ministrów.

Oczywiście można byłoby wspomnieć o makulaturze. Otóż w roku 1984 przemysł papierniczy zużył zaledwie 400 ton makulatury, co daje 34 proc. całości surowców papierniczych. Dlaczego tylko tyle? Ano dlatego, iż nie mamy urządzeń do odbarwiania makulatury.

Dziś wszystkie światła są skierowane na **Kwidzyń.** Wysokojakościowy papier z tego kombinatu ma przysporzyć nam tak potrzebnych dewiz. Bowiem **trzeba powiedzieć sobie, że bez** eksportu papieru, nie będzie modernizacji zakładów papierniczych. W Kwidzynie została już oddana po modernizacji maszyna nr 1, ale jak wiem, na początku marca jeszcze nie pracowała. W kolejce czekają maszyny nr 2 i 3. Maszyna nr 1 ma dać rocznie 72 tys. ton papieru, maszyna nr 2 — 68 tys. ton. W dalszym ciągu jest unieruchomiona wykończalnia arkuszy która kroi na odpowiednie formaty papier i go zwija. Miejmy nadzieję, że ruszy niebawem.

20 tys. ton papieru rocznie przeznacza się na druki akcydensowe. **Jeśli więc szukamy oszczędności,** to może właśnie należałoby przejrzeć wszystkie możliwe druki będące w obiegu w zakładach pracy, instytucjach, instytutach naukowych, placówkach badawczych. W ogóle należałoby się przyjrzeć temu, co się drukuje. Dotyczy to także książek. Czy wszystkie tytuły, które zalegają magazyny należało w swoim czasie wydać? Czy nie ma na rynku czasopism o podobnym profilu lub wręcz dublujących się? Jeśli się wydaje jakiś periodyk specjalistyczny, czy musi on być wysokonakładowy? Pytań jest wiele, ale szukać rezerw papieru trzeba wszędzie. Innej możliwości nie ma.

MNIEJ PRASY

Ograniczenia papieru dotknęły boleśnie także i prasę. Gazety „chudną", zaczyna ich brakować w kioskach. Stoimy przed możliwością dalszych ograniczeń. Zapadła decyzja, że wkrótce nastąpi 15-procentowe zmniejszenie przydziału papieru dla wszystkich wydawnictw (państwowych, wyznaniowych, spółdzielczych). Restrykcje nie dotkną jedynie podręczników szkolnych. Czy za „odchudzaniem" nastąpi także zmiana częstotliwości ukazywania się niektórych gazet? Rozważa się taką możliwość. Te i inne posunięcia spowodują niezadowolenie wśród czytelników prasy. To zrozumiałe. Ludzie przyzwyczajają się do określonych tytułów, do konkretnych gatunków publicystycznych, wręcz do nazwisk w gazecie. Nagle tej „swojej" gazety nie znajdą w kiosku. A przecież nikt nie neguje strategicznej roli prasy w systemie socjalistycznego ustroju.

Przedstawiłem wizję braku poszczególnych tytułów gazet w kioskach. Z drugiej strony, w tychże kioskach jest pełno gazet, których nikt nie kupuje. Wydaje mi się, że w tej materii też należałoby podjąć decyzje na wysokim szczeblu. Czy wydawać tyle i w takich nakładach? Oto jest pytanie.

Wspomniałem o kombinacie papierniczym w Kwidzynie. Owszem, gdy nastąpi pełny rozruch tej fabryki, w pierwszym rzędzie odczują to wydawnictwa książkowe, nie poprawi to wszakże sytuacji gazet. Produkcja papieru gazetowego będzie nadal problemem nr 1.

Czytelnicy „Odgłosów" zapewne także odczuli trudności związane z nabyciem naszego tygodnika. Miejmy nadzieję, że to przejściowe kłopoty, ale nie możemy zagwarantować, iż skończą się szybko i bezpowrotnie.

LITERATURA „NIE GUBI DIAMENTÓW"

Na zakończenie chciałbym nawiązać do niedawnego forum wydawców, podczas którego sporo mówiono o trudnościach związanych z drukiem książek, ale i wiele czasu poświęcono na ocenę tego, co już zostało zrobione. Najłatwiej być pesymistą. Wydawcy uważają więc że kryzys byłby wtedy, gdyby nie było autorów i czytelników. To prawda, że nie zawsze wszystko się udaje w polityce wydawniczej, że czasem nie udaje się w pełni zaspokoić głodu czytelniczego, że cykl wydawniczy niebezpiecznie się przedłuża w czasie. Ale przecież literatura nie „gubi diamentów", sporo pojawia się debiutów, wydawane są pozycje encyklopedyczne, drukuje się klasykę. 6 książek na głowę statystycznego Polaka to już jest sporo. Czy drukować same best-sellery? Owszem, można byłoby wydać parę tytułów i plany wydawnictw byłyby wykonane. A co z pisarzami tzw. „trudnymi"? Z książkami mającymi wąski krąg odbiorcy? Co z poezją? Trzeba, skoro nic nam nie dojdzie i papieru nie przybędzie, wyważać racje i potrzeby.

Za 5 lat — tak przynajmniej jest w planach — na statystycznego Polaka będzie przypadało 8 książek. Czy to dużo? Nie, to przyzwoity poziom, ale ciągle plasujący nas w ogonie Europy. A więc 10 książek na jednego Polaka! Wydawcy są pełni optymizmu, bo przecież ruszy Kwidzyń.

A póki co — zaciskajmy pasa.

EUGENIUSZ IWANICKI

PS. W prasie sytuacja z papierem jest wręcz tragiczna. Zapadły już decyzje o zmniejszeniu nakładów pism codziennych, zmniejszono też objętość wielu gazet i tygodników. Jeśli chodzi o „Odgłosy", to w II, III i IV kwartale 1985 roku zostanie nadal ograniczony nakład pisma. Czytelników przepraszamy za kłopoty z kupnem naszego tygodnika. Nadzieje na zmianę tej sytuacji są płonne. Niedawno pisaliśmy o produkcji i zużyciu papieru gazetowego w Polsce. Nie zanosi się w tej dziedzinie na jakąkolwiek zmianę. Jedynym możliwym obecnie wyjściem jest import papieru gazetowego, a na to potrzeba dewiz. Inne wyjście, to budowa papierni produkującej papier gazetowy. Na to również potrzeba dewiz. Wyjścia jakieś musi się jednak znaleźć, nie możemy bowiem ciągle być papierowym Kopciuszkiem Europy.

REDAKTOR DYŻURNY

Foto: Grzegorz Gałasiński

ze str. 1

— Ale weź pod uwagę, ile tam zużywa się papieru na same opakowania. A u nas? W sklepach rybnych brakuje już nawet gazet do pakowania.

— Jasne, że brakuje, skoro wielu gazetom obcięto nakłady.

— A w urzędach papieru nie brakuje! Nie można by na nim drukować gazet?

— Nie, bo to nie ten sam papier.

— Dla mnie papier, to papier. Nie jestem fachowcem i nie muszę znać się na jego gatunkach.

— Za to znają się ci, którzy decydują, ile komu dać. A w każdym razie powinni się znać.

— Moim zdaniem, wszystko zależy od dobrej organizacji. No, bo co mnie w końcu obchodzi, że archiwista jest chory. To zmartwienie dyrektora urzędu, a nie moje. Ja nie powinienem z tego powodu nic tracić. Za to chyba bierze pieniądze, żeby tak zorganizować u siebie pracę, aby miał kto zastąpić chorego archiwistę.

Na przykład biurokracja

— Myślę, że nie masz racji. Taki dyrektor, czy inny pracownik głównie bierze pieniądze za to, że jest zatrudniony na etacie. U nas w biurze też tak jest. Ja mam pensji dziesięć tysięcy i pięć tysięcy premii. Ale gdyby płacili mi za to, co rzeczywiście robię, dostawałbym nie więcej, jak trzy, cztery na miesiąc. Są takie dni, kiedy nie robię absolutnie nic.

— Oj, leniuszek z ciebie niewąski!

— Daj spokój! Wolałbym ciężko pracować i zarabiać. Takie grzanie krzesła jest gorsze od najcięższej chyba roboty. Przecież ja nie dlatego nic nie robię, że nie chcę, ale że po prostu nic mi robić nie każą. Więc za co mój dyrektor bierze pieniądze? Za co ja je biorę? On powinien tak zorganizować mi pracę, żebym przynajmniej się nie nudził.

— Najlepiej czytać, książkę.

— Niechbym tylko spróbował! Koleżanka chciała robić na drutach. Tylko wtedy, gdy nie ma nic innego. Dorobiłaby trochę do pensji. Ale gdzie tam! Jak dyrektor się dowiedział, urządził jej taki pocieer, że teraz od rana rozkłada papiery na biurku i udaje, że pracuje jak mały komputer.

— No, widzisz. I wszyscy są zadowoleni. Udawanie, to też w końcu jakaś praca. Może nawet trudniejsza niż inne.

— Dobrze. Powiedzieliście, że mamy złą organizację pracy, że należy płacić za konkretną robotę. W fabryce, na produkcji można to zrobić bez trudu. Ale jak określić, za co trzeba by płacić urzędnikom?

— Wydaje mi się że za zadowolenie. Raz — pracodawcy, dwa — interesantów. Może nawet bardziej za to drugie, gdyż urzędy są chyba po to, żeby służyć nam społeczeństwu, a nie — my im. Traktuje się ludzi jak chłopców na posyłki. Proszę przynieść to albo tamto. Tu brakuje pieczątki, tamten formularz jest niewłaściwy. A co mnie to wszystko obchodzi! Nie ja zapomniałam przystawić pieczątki i nie ja wybrałam zły formularz.

— Ale ty musisz za to cierpieć. Ty musisz tracić czas.

— Bo u nas nie umiemy wzajemnie szanować swojego czasu. U nas wszystkim się wydaje, że czas nic nie kosztuje. A jak muszę zwolnić się z pracy, żeby załatwić coś w urzędzie, to przecież nie tylko ja na tym tracę. Traci mój zakład, moje koleżanki, wszyscy. Czy nikt o tym nie pomyśli?

— Nie, ponieważ każdy widzi tylko koniec własnego nosa. Reszta go nie obchodzi. Każdy człowiek z natury jest po trosze egoistą.

— W takim razie Polak jest egoistą do kwadratu.

— Ależ skąd! Polak jest takim samym egoistą jak Francuz, Niemiec, czy Amerykanin.

— To dlaczego tamci nie marnują czasu? Dlaczego tak wydajnie pracują?

— Właśnie dlatego że mają lepszą organizację pracy.

— A u nas się nie da?

— Da. Tylko że ktoś musiałby się tym zająć. Ażeby się zajął, musi mieć motywację, ażeby mieć motywację, musi to odczuć finansowo, a żeby odczuł finansowo...

— I tak dalej, i tak dalej. Rozumiem. Ciągle jednak nie mogę pojąć, skąd u nas ten bałwochwalczy stosunek do papierków: różnych zaświadczeń, oświadczeń, podań?... Dlaczego dla pani urzędniczki dowód osobisty nie jest wiarygodnym dokumentem? Dlaczego zamiast wysyłać mnie do Urzędu Stanu Cywilnego po akt urodzenia, nie zadzwoni tam po prostu i nie sprawdzi, czy przyszedłem na świat rzeczywiście czy też ma halucynacje?

— Bo na wszystko musi mieć podkładkę.

— To co — nie wierzy własnym oczom?

— Nie, nie wierzy ani własnym oczom, ani tobie. Jej też zresztą nie wierzą. Po to potrzebuje podkładki. U nas nikt nikomu nie wierzy. Wystarczy, że przyjdziesz do jakiegoś urzędu i od razu jesteś podejrzany. Wszyscy są podejrzani. Słowo nie ma żadnej wartości. Co innego papierek...

— A jak już mam papierek, to nie jestem podejrzana?

— Jesteś, ale mniej. Gdy masz trzy papierki — jeszcze mniej, gdy pięć...

— Ale o co jestem według ciebie podejrzana?

— O wszystko, a przede wszystkim o niecny zamiar oszukania organów administracji państwowej, zakładu pracy, bliźnich... Tyle jest możliwości popełnienia jakiegoś przestępstwa. Czyhają na ciebie, na mnie, na niego na każdym kroku, w każdej chwili i tylko dzięki czujności naszych nieocenionych urzędników udaje ci się jakoś pozostać uczciwą, chociaż — podejrzaną. Powinnaś być im za to wdzięczna!

— Ja poważnie, a ty sobie kpiny urządzasz. Przecież to obłęd. Nigdy nie miałam zamiaru nikogo oszukać. Nawet jak mi kasjerka wyda za dużo reszty, oddaję.

— Wierzę, bo znamy się od lat. Ale dlaczego miałby wierzyć w twą uczciwość urzędnik który widzi cię po raz pierwszy, a być może i ostatni w życiu? Musi mieć podkładkę! Zresztą ludzie naprawdę oszukują.

— No, ale chyba nie wszyscy?

— Oczywiście, że nie. Powiedziałbym nawet, że zdecydowana mniejszość. Jak ich jednak odróżnić od uczciwej z natury większości?

— A może przydałoby się więcej zaufania? Może gdyby urzędnik okazał zaufanie petentowi, to i ten czułby się w jakiś sposób zobowiązany? Tak sobie myślę...

— Pewno masz rację. Człowiek obdarzony zaufaniem czuje się bardziej odpowiedzialny za swoje postępowanie, niż ten, któremu wszyscy bez przerwy patrzą na ręce. I chociaż ilość oszustów pewno nie zmniejszyłaby się od razu zbyt radykalnie, to bez wątpienia wszyscy zaoszczedzilibyśmy więcej czasu, papieru, nerwów, a urzędnicy mieliby mniej pracy. Nie potrzeba też ich byłoby wtedy aż tak wielu.

— Ale oszuści staliby się jeszcze bardziej bezczelni i bezkarni!

— Być może. Chociaż gdyby karać wszystkich oszustów z całą surowością... Są kraje, w których takie metody dają niezłe rezultaty.

— Bo są tradycje w społeczeństwie — od dziesiątków, setek lat... U nas to by nie przeszło.

— A kto powiedział, że i w Polsce nie można stworzyć takich tradycji? Naprawdę nie jesteśmy wcale gorsi od innych narodów. Również potrafimy wydajnie pracować i uczciwie żyć. Wystarczy spojrzeć na środowiska polonijne w wielu krajach. Tylko jeżeli myślimy, że ktoś za nas wytworzy w Polsce te dobre tradycje, że ktoś nas wyręczy, to grubo się mylimy. Sami musimy uporać się z tym problemem.

— Ale jak? Każdy z osobna przyznałby ci pewno rację. A gdy chcemy zabrać się do tego wszyscy, nie wychodzi. Tyle się mówi i pisze na ten temat! Ile razy pisano już i mówiono — nawet z najwyższych trybun — o naszej biurokracji. I co? Kwitnie nadal.

— Bo takich spraw nie załatwia się przemówieniami, artykułami w prasie, naradami i szkoleniami. Trzeba stworzyć odpowiednie mechanizmy społeczne. I jeszcze mieć wiele cierpliwości. Obdarzać ludzi większym zaufaniem, ale i wymagać od nich większej odpowiedzialności. A u nas tej odpowiedzialności bardzo często nie ma. Rozmywa się. Powiedzcie mi, który urzędnik czuje się naprawdę odpowiedzialny za to, żeby sprawnie i grzecznie obsłużyć petenta? Nieliczni. Większość zasłania się zawsze przepisami, albo przerzuca winę na petentów, którzy nie potrafią się zachować w urzędzie, nie wiedzą jak wypełnić formularz, do kogo zwrócić się w danej sprawie.

— I tak rzeczywiście często bywa.

— Oczywiście. Tylko uważam, że petent może nie znać przepisów, nie umieć wypełnić formularza i nie wiedzieć do kogo pójść. W tym wszystkim właśnie powinien pomóc mu urzędnik. To także powinno wchodzić w zakres jego obowiązków. Przepisy przepisami, a grzeczność — grzecznością.

— Ale co zrobić, kiedy przepisy są nieżyciowe? Kiedy nieraz przeczą sobie wzajemnie? Kiedy są zbyt trudne do pogodzenia z realiami i zdrowym rozsądkiem?

— Należy je zmieniać, doskonalić. Inaczej urzędnicy zawsze będą je wykorzystywać dla własnych interesów. I nie należy się temu dziwić. Każdy chciałby sobie ułatwić jakoś życie — nawet kosztem innych, a może przede wszystkim kosztem innych, bo to jest najprostsze. O ileż łatwiej przerzucić część naszych obowiązków na kogoś drugiego, niż tak udoskonalić sposób pracy, aby wszyscy byli zadowoleni?

— Słucham tego, co mówicie i przyznam — ogarnia mnie rozpacz.

— Dlaczego?

— Bo nie widzę sensownego wyjścia z tego zaklętego kręgu naszych niemożności. Tyle już razy zabieraliśmy się do walki z biurokracją...

— Widocznie metody były nie najlepsze.

— To dlaczego władza nie zastosowała dotąd doskonalszych?

— Czy naprawdę uważasz, że za wszystko odpowiedzialna jest władza?

— Nie, ale w tym wypadku... Uważam, że władza jest po to, żeby kierować życiem społecznym nie ku własnemu zadowoleniu, ale — zadowoleniu społeczeństwa. A z biurokracji społeczeństwo nie jest raczej zadowolone. Mówiliśmy już przecież, że każdy z osobna jest przeciw biurokracji, ale razem... Otóż władza, moim zdaniem, powinna pokierować owym „razem". Ale to nie wszystko. Chodzi także o to, że w oczach przeciętnego obywatela każdy urzędnik jest do pewnego stopnia uosobieniem władzy i stykając się z nim na co dzień, przenosimy jego niedociągnięcia właśnie na bliżej nie określoną, anonimową władzę. Nie mówimy, że to minister X czy dyrektor Y wydał nieżyciowe przepisy, ale „oni", czyli władza. Nie urzędnik N źle nas potraktował, ale „oni".

— Bo urzędnik N mówi, że to nie on wymyślił te przepisy, on je tylko musi stosować.

— A tak nie jest?

— Jest. Tylko że...

Przeciętnych Polaków rozmowy. Prowadzone w tysiącach polskich domów przez robotników, urzędników, nauczycieli, naukowców... Partyjnych i bezpartyjnych. Wierzących i ateistów. Bogatych i biednych. Młodych i starych. Można by nimi zapełnić niejeden numer „Odgłosów" od pierwszej do ostatniej strony.

Rozmowy bardzo do siebie podobne, choć jakże różne ze względu na nasze osobiste doświadczenia i przeżycia, poglądy, zakres posiadanej wiedzy. Wiele w nich trafnych spostrzeżeń i wniosków, wiele zbyt łatwych uogólnień, uproszczeń. Pełne autentycznej troski o losy kraju, konstruktywne i — równie często — pozbawione samokrytycyzmu spokoju, rzeczowości. Podyktowane poczuciem doznanej krzywdy, zawiścią, bezradnością, ironiczne. Ale zazwyczaj szczere, nieskrępowane, spontaniczne. I czy nam się to podoba, czy nie — odzwierciedlające stan naszej świadomości.

Przeciętnych Polaków rozmowy.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Ziemia, człowiek i... kopalnia

KRZYSZTOF ZAJĄC

— Cóż z tego, że przyjechała telewizja, skoro nic się nie zmieniło. Ludzie to nawet przez to stracili. Mówią mi teraz: gdybyś nie robił tego całego zamieszania, to byłoby po staremu, a tak jeszcze się pogorszyło.

Stanisław Grabarczyk, mieszkaniec Chabielic, wioski położonej niedaleko Bełchatowa, walczył z kopalnią o wysokość odszkodowań i dzierżaw za użytkowane tereny. Ktoś oddał kopalni w 1979 r. dajmy na to dwa hektary i dostawał za to 15 tys. zł dzierżawy. Od tego czasu wszystko podrożało: ceny produktów, podatki, koszty nawozów i narzędzi, a gospodarz jak otrzymywał 15 tys. tak nadal otrzymuje.

— To człowieka szlag może trafić, jeżeli mówią mu, że kwintal zboża sześć lat temu kosztował tyle samo co teraz, bo to wynosi pięciokrotnie więcej — denerwuje się Grabarczyk.

Kopalnia ma oczywiście swoich ekspertów, swoje cenniki i więcej płacić nie chce. Po interwencjach, protestach, gdy nawet przed kamerą TV wykrzyczeli swoje żale — osiągnęli tyle, że z kopalni ponownie przyjechali geodeci, porobili nowe obmiary i niektórym z gospodarzy wyszło, że już nie dwa hektary kopalnia użytkuje, lecz tylko hektar. Resztę można uprawiać — taka jest opinia przedstawicieli dzierżawcy. Jak to zrobić, gdy ziemia jest zbetonowana, a do tego oddany pas tak wąski, że traktorem nie obróci, bo z jednej strony płot, zaś z drugiej głębokie wykopy? Tym kopalnia martwić się nie musi. Rolnik natomiast otrzyma dzierżawę pomniejszoną, gdyż obliczoną — oczywiście według poprzednich stawek — od mniejszej ilości gruntu. I obrywa się Grabarczykowi.

— Po co wołałeś telewizję! Trzeba było cicho siedzieć i nie stawiać się — gadają mu teraz ludzie.

Dziwią też się mieszkańcy, bo cóż to za dzierżawca, który robi co mu się podoba, nie licząc się z właścicielami ziemi.

Niedawno były wybory sołtysa. Poprzedni nie chciał ponownie kandydować. Proponowano Grabarczykowi — odmówił.

— Wystarczy mi tego co nasłucham się jako radny — tłumaczy. Radnym jest już drugą kadencję. Wiosną ubiegłego roku, gdy zbliżały się wybory do rad narodowych, wśród kandydatów znalazł się i Grabarczyk. O chętnych nie było łatwo, a ktoś z wioski musiał być. Grabarczyk propozycji nie odrzucił, lecz w kampanii wyborczej nie brał udziału. Znał możliwości działania, miejsce radnego w hierarchii władzy i nie widział sensu takiej działalności.

— Czcza mowa, z której nic nie wynika i nawet jeżeli zostaną przegłosowane ważne dla mieszkańców uchwały, to potem się okazuje, że to trzeba zmienić, to nie jest możliwe, a tu nadrzędny interes zmusza do rezygnacji...

W takich warunkach niełatwo pracować. Grabarczyk zdawał się więc na mieszkańców wioski, którzy za niego mieli zdecydować.

— Jeżeli uważają, że się nadaję to będę działał najlepiej jak potrafię.

Tydzień przed wyborami zgłosił się do Grabarczyka przedstawiciel komisji wyborczej. Podpisał, że się zgadza kandydować i to był cały jego udział w kampanii wyborczej. Na wybory nie poszedł, nie pozwolił też żonie.

— To był nasz prywatny protest przeciwko gospodarce i działalności administracyjnej na tym terenie.

Twierdzi, że nie miałby pretensji gdyby odpadł, a najbardziej by się cieszył gdyby ludzie z wioski nie głosowali. Może wtedy władze wojewódzkie potraktowałyby ich problemy inaczej. Niektórym jego poglądy niezbyt się podobały. Grabarczyk nie widzi jednak w swoim postępowaniu żadnych sprzeczności.

W wyborach Grabarczyk oczywiście przeszedł i wkrótce otrzymał zaproszenie na pierwsze posiedzenie nowo wybranej rady.

Sugeruje się mieszkańcom, że nie myślą o interesie społecznym, nie potrafią spojrzeć poza własną miskę — a to wcale tak nie wygląda. Ludzie wiedzą, że kraj potrzebuje węgla, potrzebuje energii, pogodzili się nawet z tym, że będą musieli opuścić ziemię, na której żyli i pracowali ich ojcowie i dziadowie. Ale to nie znaczy, że można ich traktować jak przedmiot który się usuwa, gdy przeszkadza. Jeżeli wojewoda nie potrafi temu zaradzić, mimo że jest gospodarzem na tym terenie i nie umie zmusić kopalni do respektowania praw mieszkańców, to dotrzeć trzeba będzie wyżej. Grabarczyk nie ustąpi.

— Mnie i do ministerstwa nie jest za daleko. Ziemia się sama nie obroni, a i ludzi trzeba przecież uszanować. Gospodarzyli tu nieraz od kilku pokoleń, a teraz wychodzi na to, że tylko ten kilkudziesięciocentymetrowy pas gleby do nich należy. A całe to bogactwo, co jest głęboko w ziemi, to niczyje chyba?

Wywłaszczenia oczekują chabieliczanie już od 1979 r. Władze chyba nie bardzo wiedzą, kiedy ostatecznie zostanie przeprowadzone, a w każdym bądź razie mieszkańców o tym nie poinformowano. W zeszłym roku wicewojewoda piotrkowski mówił w TV, że w 1984 r. nie będzie wywłaszczeń. Ci co uwierzyli, szybko zwątpili w autorytet władz, gdy na polach pojawili się geodeci, a u gospodarzy zaczęto robić spisy inwentarza. I tak jest co roku. Na wiosnę robi się spokój, by po kilku miesiącach wszystko zaczynało się od nowa. A przecież w ziemię nie inwestuje się na rok. Jak cokolwiek planować?

Niewiele ludzie wiedzą o tym co ich czeka. Nie wiedzą jakie będą wyceny ziemi, ile dostaną za dom, za las. Czy odszkodowanie starczy im na zakup mieszkania w blokach, lub nowe gospodarstwo. Dlatego też czują się tą sytuacją przerażeni, szczególnie ci starsi — dla nich przeniesienie ze wsi do 10-piętrowego wieżowca jest dramatem. Nie nadają się już do pracy w przedsiębiorstwie państwowym, nie zaaklimatyzują się w mieście — zbyt długo żyli na swoim. Dla tych ludzi najlepszy byłby domek z hektarową działką, gdzie spokojnie mogliby dożyć starości, nie mając życia skróconego przez przeprowadzkę. Czy takie rozwiązanie jest możliwe — nie wiedzą.

Tym chabieliczanom, którzy mają być wysiedleni, proponuje się bloki w Bełchatowie, lub pobliski Szczerców. Ale niecałe Chabielice mają być wywłaszczane, i wszyscy najchętniej zostaliby tutaj. Cóż jednak mają robić, skoro wojewoda piotrkowski tłumaczy, że nie jest to możliwe, bo podobno 7 km stąd ma być elektrownia i zanieczyszczenia byłyby zbyt duże. Tylko, że dwa kilometry na wschód od elektrowni „Bełchatów" jest ośrodek wczasowy i mimo, że 85 proc. wiatrów wieje z zachodu na wschód, w niczym to nie przeszkadza. Nic dziwnego, że takie tłumaczenia nie przekonują mieszkańców.

— Wojewoda powinien mieć jakieś rzeczowe argumenty, a nie mówić tak na odczepnego. Ja nie wiem, czy tu chodzi o to, by bardziej rozbudować Szczerców, czy koszty rozbudowy Chabielic są zbyt wysokie, czy może po prostu ktoś tak to sobie wymyślił i zamiast zapytać ludzi, co o tym sądzą, daje się pierwsze z brzegu argumenty — twierdzi S. Grabarczyk.

Kopalnia wszystkimi szparami wciska się w życie mieszkańców. Nawet droga, rzecz błaha z pozoru, którą szedłem do Grabarczyka, swój stan zawdzięcza kopalni. Kiedyś ludzie wybudowali ją w czynie społecznym, dziś ciężkie wozy jeżdżąc do otworów wiertniczych uczyniły ją całkowicie nieprzejezdną. Kopalnia szkody nie ma zamiaru naprawić, a własnej drogi wybudować nie chciała. Także w takich drobnych sprawach niewiele można zdziałać. Wychodzi na to, że radny jest tylko z nazwy gospodarzem na tym terenie, nie będąc nim faktycznie. Gdy narobili tyle hałasu, że nawet telewizja ich odwiedziła, pojawił się też i wojewoda. Przyjechał z dwudziestoosobową ekipą różnych ważnych urzędników, by wysłuchać ich skarg. Kiwał głową, kazał wszystko zapisać... Mijają miesiące i nic się nie zmieniło.

Nie ma mocnych na kopalnię? Wyruszył Grabarczyk aż do stolicy, do Ministerstwa Górnictwa i Energetyki.

— Może oni potrafią nam pomóc, bo jeżeli nie, będę bardzo rozgoryczony — twierdzi młody radny. Nie będzie to łatwe. Kopalnia jest wielką i silną instytucją. Ich stać na to, by działać na zwłokę, a ludzie wcześniej czy później się zmęczą i gotowi będą zgodzić się na wszystko, byleby tylko mieć spokój.

Już siedem lat ciągnie się w Kielcach przed Rejonową Komisją ds. Szkód Górniczych proces przeciwko kopalni, której zarzuca się że doprowadziła do odwodnienia terenów. Pogorszyła się jakość gleby, zmniejszyły plony, w sadach powysychały ludziom drzewa, w studniach — nawet tych najgłębszych — brakuje wody... A kopalnia twierdzi, że to zmiany klimatyczne i odpowiadać za szkody nie chce. I dziwią się ludzie, że tak długo trzeba prawdy dochodzić, bo oni pamiętają nie takie susze, a wody w studniach nie brakowało. Czy jeden Grabarczyk potrafi coś odmienić?

Obowiązków przybywa. Obok pracy na roli, jest też elektrykiem w elektrowni, gdzie pracuje w systemie czterobrygadowym. Myśli też o rozbudowie domu, bo teraz gnieżdżą się z żoną i bliźniaczkami w jednym pokoju, który jest jednocześnie sypialnią, gościnnym i dziecinnym. No i cały czas walczy o sprawy wioski jakby mu kto za to płacił. Kiedyś działał także w organizacji młodzieżowej. Zrezygnował, gdy stwierdził, że bardziej niż o ludzi, chodzi o statystykę.

— Nie mogę tak siedzieć i czekać! — mówi, gdy pytam po co mu to wszystko. Taki to już niespokojny charakter. Nawet jak mówi, to pośpiesznie, niecierpliwie, jakby czas chciał dogonić.

Po skończeniu podstawówki zachciało mu się innego świata, czystej pracy i ciekawego życia. Wyjechał do szkoły do Łasku. Dyscyplina internatu nie odpowiadała nauczonemu swobody i niezależności jedynakowi. Rzucił naukę, nim minął rok szkolny. W domu matula powiedziała: nie chcesz się uczyć, to pójdź pod las krzaki karczować. Wystraszył się roboty i wyjechał na Śląsk. Tam poznał pracę robotników, tę najcięższą, bo przecież nie miał żadnych kwalifikacji, i życie w hotelu robotniczym z całą jego specyficzną obyczajowością. Wkrótce wrócił do domu, by jeszcze raz uciec, tym razem do Bełchatowa, gdy usłyszał, że krzaki pod lasem czekały na jego powrót. W Bełchatowie chciał naprawiać telewizory. Nie starczyło mu cierpliwości, gdy w zakładzie, gdzie zatrudnił się jako uczeń, zamiast zajmować się pasjonującą elektroniką, zbyt często biegał po piwo dla szefa. Zrezygnował. Przyszedł czas, że wrócił do domu, wykarczował krzaki pod lasem. Trzyma się jeszcze miasta, pracując w elektrowni, lecz że rodzice coraz starsi i słabsi — myśli więc poświęcić się całkowicie ziemi. Tej, o której prawa tak uparcie się wykłóca.

— Zwiedzać kopalnię i elektrownię przyjeżdżają różni ministrowie, sekretarze... tylko do nas, ludzi, którzy są cząstką tej ziemi, nikt nie zajeżdża — mówi. Grabarczyk jednak nie ustępuje, choć wie, że najtwardsze drzewo wiatr złamie. Twierdzi, że gdy córki podrosną, to będzie je uczył, by starały się być w miarę wolne i by dbały o swoją człowieczą godność — nawet gdy to się nie opłaca. Co powie za rok, dziesięć lat?

Rys. Janusz Szymański-Glanc

(1)

Polowanie na babcie

RYSZARD BINKOWSKI

W małym pokoiku świeciła pod sufitem zapluta przez muchy żarówka. Umeblowanie stanowiły: jedno łóżko z roztrzepanym od wstrząsów siennikiem, stół ze złamaną nogą, wiadro do mycia i na pomyje, dwie szklanki o takiej barwie, jakby w nich znosiły skrzek żabki z baśni o zaklętym królewiczu oraz przyrząd do otwierania butelek.

W lepkim świetle zaplutej żarówki toczyło się wesołe życie rodzinne.

Mama czuła niechęć do tatusia. Puszczała się na lewo i prawo, lecz profitów z tego nie czerpała, ponieważ zazwyczaj udzielała się fizycznie w czynie społecznym. A kiedy udawało się jej przywlec na roztrzęsiony siennik jakiegoś nadzianego cudzołóżcę, tatuś zdzierał z niej szmaty i podatek w wysokości osiemdziesięciu procent. Czasem z tych zysków uszczknął coś syn, Marek, jak przygotował mamie warsztat pracy, wygładzając siennik, żeby mamę słoma nie gryzła w pachwinę. Marek miał piętnaście lat, bujną wyobraźnię i wrodzoną niechęć do nauki, w związku z czym groziła mu kolejna repeta w szóstej klasie.

Tata przeważnie raz w tygodniu szlochał na gruzach rodzinnego szczęścia. Kiedy się zaś wypłakał, zaprawiał z rozpaczy czym popadło, przeważnie denaturatem. Po dezynfekcji zbierało mu się na pedagogikę. Uświadamiał dziecko seksualnie na model jego matki, kontrolował dzienniczek uczniowski, a korepetycji udzielał za pomocą pociągła.

Wiosną Marek dość często znikał z domu, aby odetchnąć świeżym powietrzem, ponieważ siennik na wspólnym łóżku znajdował się w początkowym stadium fermentacji. W czerwcu natomiast, gdy groźba kiblowania zawisła nad głową Marka, w szkole bywał raz na tydzień, w domu zaś tylko w środy lub w piątki, o ile w te dni padało.

Z początku zawijał na chatę do wujka, Romana K. Nie był to jednak ten młody wujek, który *wybiera* miss „Odgłosów" i przywozi z Hamburga piwo na nerki dla Szefa. Wujek Marka fabrykował plastykowe torby z kolorowymi obrazkami, na których wyszczerzał się Kaczor Donald w stylu porno. Marek handlował tymi torbami na rynku i miał z tego niewielką dolę. Więcej strachu, gdyż wujkowa fabrykacja polegała na przerzucaniu toreb przez mur fabryczny w pokrzywy. Wyciągając porno z zielska chłopiec nieraz się poparzył. A gdyby go zwinęli, to malowałby Alę z kotem na rygorze obostrzonym w Ignacewie.

Marek miał tylko tę satysfakcję, że dostawszy od wujka klucz, mógł wchodzić do mieszkania, kiedy chciał i wyspać się na prawdziwym łóżku.

Ale takie życie chłopcu się dość szybko znudziło. Wujek był dla niego nie tyle za dorosły, co zbyt mało rozgarnięty. Marek nawiązał więc kontakt towarzyski z równiolatkami, Robertem i Wojtkiem, którzy mieli podobne kłopoty ze swoimi wapniakami. Z tym, że Wojtek aktualnie w ogóle nie miał rodziców. To znaczy w jego metryce tacy figurowali, ale akurat siedzieli na Sikawie za spekulację reglamentowaną prezerwatywą. Wojtek miał za to wolną chatę.

2.

Po dwóch tygodniach okazało się, iż życie na chacie, owszem, może być miłe, ale tylko wtedy, jak się ma jakieś konto w banku. Sytuacja bez wyjścia, to koledzy bez inwencji, po prostu nieciekawe typy. Wojtek miał ograniczonego zajoba: gumę do żucia i grę w ping-ponga w świetlicy. Ale na Grubbę się nie zapowiadał. Wojtek zaś chodził na dyskoteki i nic tylko dziwki we łbie. Marek zaliczył kilka na wagarach, ale ten proceder szybko mu zbrzydł. Były za łatwe, lepiły się do człowieka za sam uśmiech lub torebkę mdłych groszków, jak mamusia po lufie baltiku. Marek lubił takie mniej przystępne, zgrabne i wysportowane. Dlatego też wolał chodzić na basen niż na trzęsionkę w dyskotece. Na basenie trafiały się ładne sztuki, bez wielkiego cyca, z nogami do szyi, ale strasznie kosztowne. W trampkach takiej nie zaimponujesz, żyletką pod językiem też panienki nie olśnisz. Forsa potrzebna nie tylko na cukier do włosów i nie tylko na kartę wstępu do wody, ale przede wszystkim na reprezentację w dobrym towarzystwie. Lody, wino, kino, jakieś slipy importowane z Kraju Rad.

Marek spotykał na basenie eleganckiego starszego kolegę, strojnego niczym pan Toranaga przed seppuku. Ów tajemniczy gość nosił pseudo „Manela". Był bogaty i miał gest.

— Manela, a skąd ty masz tyle forsy, hę? — zaindagował pewnego razu dociekliwy chłopiec.

— Z renty, synu — odparł z powagą Manela.

Marek przyjrzał mu się podejrzliwie. Facet wyglądał na dwadzieścia pięć lat. Zdrowy jak byk, świetny pływak, uwodziciel dam. Nie, na ukryte inwalidztwo ten człowiek nie mógł cierpieć.

— Hm —hm... A skąd ta renta? — nacisnął małolat.

— Przez rok robiłem za bramkarza.

— Pewnie w ŁKS-ie! Kontuzjowali cię, tak?

— Nie, chłopcze. Pracowałem w hotelu „Victoria".

— Tu, w Łodzi?

— W Warszawie, głupku! W takim hotelu, bracie — rozmarzył się Manela — to są dopiero cizie. Jeśli puścisz do takiej gościa przez kuchnię, to ona zawsze cię wynagrodzi.

— Rzuci jakiegoś dolca, nie?

— Mhm. A czasem nawet zapłaci w naturze...

Marek zapragnął gorąco zostać bramkarzem. Chciał mieć forsę i żeby te wszystkie piękne, oblatane rury dopłacały mu fizycznie w swych garsonierach po francusku. Bo jak mama przywlokła raz pijanego zagraniczniaka na doprawkę, i jak ten gość zaczął pokazywać na migi, czego chce, to Marek napatrzył się na różne ciekawe numery. Po końcowej rewizji portfela okazało się wprawdzie, że zagraniczniak jest polskim niemową ze spółdzielni inwalidzkiej, ale wrażenie pozostało.

— Manela, załatw mi ten etat — poprosił Marek.

— Synu — odrzekł Manela — żeby się wkupić na bramkarza do „Victorii", trzeba mieć spory zadatek na rozruch.

— Do diabła, to co mam robić?

— Zaczekać, synu, do pełnoletności. A przez okres dojrzewania rozglądać się za jakimś groszem w pobliżu. Milionerzy bracie leżą teraz na ulicy, szczególnie w dniu wypłat...

3.

Marek myślał i myślał, aż w końcu doszedł do wniosku, że zamiast ślęczeć na chacie u Wojtka, powinien zdać się na łaskę swej ukochanej babci. Bo któż się zaopiekuje babcią, która ma już sześćdziesiąt lat, kto jej narąbie drew i przyniesie wody, gdy zaniemoże biedaczka?

Babcia Agata była wdową na emeryturze i nosiła się jak hrabina w rok po reformie rolnej. To znaczy ciuchy miała takie bardziej żebracze, ale za to głos i akcent dziedziczki, wzrok przeoryszy i maniery inspektora IRCH-y, któremu nie podoba się nawrót reprywatyzacji. Wyklęła ona swą córkę, czyli matkę Marka, za rozpustę w kryzysie, a zięcia swego za to, że próbował ją, Agatę, nacjonalizować po kieszeni.

Rzecz bowiem w tym, że babcia Agata nie wywodziła się w prostej linii z Lubomirskich, miała jednak zmysł do handlu i bogatego męża, maszynistę kolejowego, który zazwyczaj przewoził transporty z drobnicą, toteż nie owdowiała jako nędzna żebraczka. Poza tym babcia wygrała ostatnio na loterii fiata 125 i sprzedała go na pniu przy odbiorze za marne sześćset tysięcy. Nikt nie wiedział o wygranej, oprócz wrażliwego i przenikliwego wnuka Marka, rzecz jasna. Bo Agata kochała swojego wnuka, a gdy ten próbował ją czasem oskubać z datków na kościelną ofiarę, łaskawie tego nie zauważała. Przyjmowała Marka na nocleg, dokarmiała i układała w puchu, żeby się tylko dziecko całkiem nie wykoleiło pod wpływem kurestwa rodziców.

Chłopak, jak już podano wyżej, miał bujną wyobraźnię i bardzo był spostrzegawczy, toteż szybko poznał zwyczaje babci oraz jej słodkie tajemnice. Rozpracował również dość szczegółowo rozkład pomieszczeń i całej posesji, gdyż w głowie rodził mu się już plan zdobycia forsy i pięknych ladacznic ze strefy dolarowej.

Od ulicy front posesji był zabity deskami, żeby na bogactwie emerytki nie mogło spocząć oko fiskusa. Poza tym deski tłumiły hałas i zatrzymywały smród spalin oraz sikających pasażerów, bo na ulicy znajdował się dworzec przelotowy dla autobusów dalekobieżnych.

Płot wysoki na dwa metry, drewniana furtka z dzwonkiem, skąd prowadziła ścieżka do stojącego w głębi drewnianego, parterowego domku z weranda. Za domkiem był niski płotek a za nim ogródek przecięty żywopłotem oraz grządkami i rabatami. Z tyłu dwumetrowy płot oddzielał posesje od boiska szkoły podstawowej. W rogu stały komórka i garaż.

Ponieważ babcia narzekała, że z frontu nic, tylko warkot autobusów i wrzask pasażerów, wnuk postanowił urozmaicić jej życie. W tym celu zrobił dziurę w tylnym płocie. Jak dzieciakom wpadła piłka do ogródka, to nie musiały przełazić górą. I zawsze mogły powiedzieć, że pani nauczycielka wysłała je badać roślinki w ramach lekcji przyrody. Kiedy grządki zostały przez dziatwę gruntownie przetrzebione, Agata zabiła dziurę w płocie.

4.

Pewnego razu kolega Robert grał w świetlicy w ping-ponga, naśladując masochistycznie ścięcie tenisisty Grubby. Każda piłka lądowała w siatce albo na ścianie. Zobaczyli to idący chodnikiem Marek z Wojtkiem.

— Te — wrzasnął przez otwarte okno Wojtek — chono tu, celuloidzie!

Robert rzucił rakietkę i wyszedł z niechęcią na ulicę.

— Te, wiesz, którego dziś mamy? — pyta Marek.

— Skąd, nie byłem w szkole. Ale będzie koło dwudziestego, nie?

— Aha. Koniec wakacji...

— Tylko że bez świadectwa, kurde...

— A na co ci ono? Wystarczy przepustka w plener. Nie skoczyłbyś na biwak?

— Pewnie. Tylko skąd wziąć szmal?

— O to się nie martw — uspokoił go Marek. — My już go mamy.

— Taa? A skąd? — podniecił się Robert.

Marek spojrzał z ukosa na Wojtka.

— Można go zaklepać?

— Jasne. Jakby puścił farbę, to go zatamuję w szpitalu.

Zapalili po całym, jak stare chłopy i Marek po chwili namysłu oświadczył:

— Sprawa jest prosta — Zrobimy skok na babcię...

— Na czyją? — przerwał Robert.

— Na twoją to by poszedł tylko ten gruźlik, co wybiera kąski ze śmietnika. Jasne, że na moją. Moja babcia mieszka sama i sprzedała fiata, kapujesz? A pół miliona za to auto wciąż czeka na nas i doczekać się nie może.

— Gdzie czeka?

— Pieniądze leżą w szafie, w kuchni. To jest taka obudowana wnęka w ścianie. Natomiast w pokoju trzeba tylko odsunąć stół i ściągnąć dywan, pod którym jest ruchoma deska w podłodze. Wystarczy podnieść i sięgnąć do skrytki, a tam całe pół słoika pierścionków, kolczyków i innych błyskotek. A w drugim słoiku, bracie, leży sobie dwadzieścia tysięcy amerykańskich dolarów.

— Eee, cyganisz!

— Ja? To babce nie można wierzyć! Taka przechera, że co rusz zmienia te skrytki. Cholera wie, ile naprawdę tej forsy. Ona boi się, żeby ją moi starzy nie obrobili.

— Ciekawe, jak my ją obrobimy — wyraził wątpliwość Robert.

Wojtek roześmiał się z pogardą.

— Ciemniak! — splunął przez zęby. — Ta biała pileczka zalęgła mu się w mózgu!

— A tobie chyba ta dziwka z bazarów! — odparował Robert.

— Posłuchaj, gnojku. Babce skończyły się gwoździe. Dlatego z płotu od boiska wyrwałem dwie deski. Przystawiłem je tylko i płot wygląda jak cały.

— Wystarczy wejść i ta forsa jest nasza? — zapalił się Robert.

— Jasne — potwierdził Marek. — Ale do tego właśnie potrzebny jesteś ty, bracie. Staniesz sobie na ulicy przy furtce, zadzwonisz, a jak babcia wyjdzie z domu, my zanurkujemy do środka od tyłu...

— Nie, to nie tak! — przerwał Wojtek. — Najpierw wejdziemy do ogródka. Kiedy Marek da ci znak ręką, zadzwonisz. Jak stara podejdzie do furtki, wśliźniemy się do domku. Ty trochę pogadasz z babcią, potem sobie pójdziesz i zaczekasz na nas przy postoju taksówek.

— No dobra, a jak stara za szybko wróci do domku?

— Ha! To wtedy dam jej w łeb — oświadczył twardo mściwy wnuk, który miał pociąg do forsy i pięknych, dolarowych kurtyzan.

Umówili się, że nazajutrz spotkają się na stadionie o siedemnastej.

5.

Tacy nieszczęśliwi chłopcy, którym źle idzie w szkole, muszą mieć jakąś rekompensatę za doznane cierpienia moralne. W związku z tym organizują sobie wakacje na zapas. Kiedy zastrachane kujony pociły się przy tablicy nad matematyczną trasą pociągów z A do B i z powrotem, trzej nasi bohaterowie biwakowali na stadionie. Bo stadiony są teraz otwarte dla wszystkich, bez względu na światopogląd, byle tylko młodzież uprawiała jakąś dyscyplinę, a nie wysłuchiwała przepowiedni z ambony i z podziemia. Dlatego na stadionach leżą nawet bezpańskie materace, pod którymi można się bezpiecznie zamelinować.

Spotkali się o umówionej porze, odpili na materacach flaszkę wina dla animuszu i jeszcze raz omówili plan skoku na babcię Agatę.

— A więc zrobimy to późnym wieczorem — podsumował Marek.

— Nie będę was widział! — jęknął Robert.

— Musi być późno, pingpongulu, żebyś nie rzucał się w oczy. Jak ustanie ruch na dworcu autobusowym, ja ci się pokażę.

Na miejsce zbójeckiej akcji udali się około dwudziestej drugiej, posiliwszy się uprzednio jeszcze jedną butelką wina. Na ulicy warczały ostatnie autobusy i kręcili się nieliczni pasażerowie. Domek babci Agaty był pogrążony w ciemności, jak pijany Murzyn w tunelu metra.

Robert stał przy furtce jak skamieniały, tylko nogi mu się okropnie trzęsły. Gołniete na odwagę wino skupiło mu się w dolnych partiach organizmu. Widział przez szparę w furtce, że tamci są już w środku, ale w mózgu stukała mu tylko celuloidowa piłeczka. Zapomniał, co ma powiedzieć babci, czy że jest sierotą, bo ojciec pijak zabił mu matkę, czy też ministrantem zbierającym datki na wota skradzione z kościoła.

Marek dawał rozpaczliwe znaki, jak radarowiec na skrzyżowaniu, żeby Robert zaczął działać, ale ten nie mógł nawet podnieść ręki. Po prostu zeszczał się ze strachu.

Ale wtedy na szczęście z ulicy wyjechał ostatni autobus. Robert podniósł rękę, zadzwonił trzy razy i uciekł, aby nie utrwalać moczopędnych śladów dla milicyjnych psów.

Tamci usłyszawszy dzwonek przyczaili się jak wilki w chaszczach, ale babci, niestety nie zobaczyli. Agata nie mogła opuścić domku, ponieważ tej nocy spała u koleżanki emerytki.

Zawiedzeni chłopcy ruszyli na miejsce zbiórki, ale Roberta tam nie było.

— Spaprał robotę! — pienił się Marek. — Ale my go jutro dorwiemy! Na stadionie nie ma dla niego życia.

— Daj spokój, ten tchórz znowu nawieje. Sami zrobimy ten skok — uspokajał kolegę Wojtek.

— Ba, ale jak?

— Zapolujemy na starą z daleka od domu. Ona mnie przecież nie zna. Machnę ją na wydrę...

— Jasne! — Ucieszył się Marek. — Szaroniesz jej torebkę, podrzucisz mnie, a ja z kluczami prosto do domku!

Poszli na stadion, wleźli pod materac i zasnęli. Śnił im się piękny sen o bogactwach starej Agaty, a w ich szczęśliwe twarze zaglądało nieszczotliwie słoneczko.

To świeciły latarki nocnego patrolu MO.

Niedoszłych rozbójników przewieziono radiowozem do RUSW. Za barierką u oficera dyżurnego skończył się sen o Sezamie, wyuzdanych dewizówkach i o zawodzie bramkarza z hotelu kategorii „Lux".

W dwa tygodnie później milicjanci weszli bez zaproszenia do domku babci Agaty. Był kompletnie zdemolowany. Babcia leżała na wersalce związana zakneblowana i taka żywotna, jak nieboszczka w godzinę po zejściu.

C.D.N.

Roman Gorzelski

Zły pies pogardliwego słowa

Słomiany ogień tli się w moich słowach
powiedzianych obiecanych pomyślanych
kroki wchłania droga dźwięki pożera echo
tory biegną to w jedną to w drugą stronę
pod niespokojnym wzrokiem
(zły pies pogardliwego słowa szczeka we mnie)

Czyha coś na mnie aby ugryźć w serce
:dziecko maluje rdzawą trawę wioskę na drzewie
i zieloną krowę — spękane wargi polnej ścieżki
skrzep słońca — wymyśla naprędce papierowego anioła
oraz diabła z twojej krwi i Adamowej kości
(zły pies pogardliwego słowa szczeka w tobie)
Każdy ma jedno miejsce w duszy
do którego wzdycha: północ jest zimna upalne południe
jakże smutny ten wschodni pejzaż naszej złotej jesieni
jaki użytek można zrobić z martwych myśli
które krążą upartą muchą wokół czoła
tworząc ironiczną zdychającą aureolę
(zły pies pogardliwego słowa szczeka w nich)

Z lektur się składa dzień a nie z wydarzeń
mówię do siebie myślę też sobie:
kapralska Sparta demokracja Aten republika Rzymu
mądrość polityczna Peryklesa zamach Brutusa
:nasz wiek jest czasem wzlotu czy upadku
(zły pies pogardliwego słowa szczeka)

Gałązka kosodrzewiny

Jastrząb holuje stertę chmur
za plecami w sidłach gór
ja i moi miastowi przyjaciele
zabrnęliśmy jak najdalej od siebie
:śnieg mnie przyszywa do ziemi na zawsze
słońce chłodem spowite odlatuje w ciepłe kraje
więc moje słoneczne okulary chowam skwapliwie
na dno szuflady — dwie srebrne obrączki
po mnie i po lecie z tobą — czas żółknie w kalendarzu
zbliża się powoli do grudnia: po drabinie z kosodrzewiny
wschodzi do nieba smolisty ogon wiewiórki
i znika jak oczu odczarowanie

Klatka

Gniewnymi okami
łypie sieć
na rybę miotającą się w niewoli

Koń chwycony w sidła uzdy
siodła i kaleczącego język wędzidła
musi trzymać radosne rżenie
za swoimi śmiesznymi zębami

Klatka drapieżną ręką drzwiczek
trzyma ptaka
schwytanego na chybił trafił

Człowiek wije sobie gniazdko
z drutu betonu smoły dymu
gazu smogu i drżących rąk
choć sam wchodzi dobrowolnie
do klatki schodowej — ale nie widzi
że pozbył się wolności

O muzyce

Pomnikiem muzyki jest gardło skowronka
sokoła jaskółki wróbla słowika
ręka pianisty gryf skrzypiec
smyczek basetli góralskiej czy choćby
surowy kształt bębna obciągniętego
w owczą skórę: może nim być
miedziany blask tuby słońca
grzmot burzy nad doliną
postukiwanie kierpców w zbójnickim
rozkołysane biodra tanecznicy
szept miłośnie splecionej pary
i dudniący żołnierski krok
— pomnikiem muzyki jest poranna modlitwa
organów oczekujących skrzypnięcia drzwi
a zwłaszcza pochylona sylwetka kapłana
do którego zbliża się młoda para
w ślubnej bieli

Roman Komassa — Twardowski, Mieczysław Miedziński — Maciek.

Foto: Chwalisław Zieliński

Nadwiślański Faust

Premiera w Teatrze Wielkim

Nie chcę tu wyręczać programu, z którego widz łatwo sobie wyczyta to, co wiąże się z powstaniem baletu o Panu Twardowskim i z legendarną postacią tytułowego bohatera, spowinowaconego duchowo z Faustem. Warto sobie jednak uprzytomnić, że jest to pierwszy balet polski o rozpoznawalnych echach rodzimych i w tym stopniu atrakcyjny scenicznie i muzycznie, że jakoś tam wytrzymuje ponad sześćdziesięcioletnią próbę czasu, bywał też z różnym powodzeniem wystawiany za granicą, a poprzednie wystawienie łódzkie odbyło się w 1967 r.

Pisząc o atrakcyjności „Pana Twardowskiego" mam jednak na myśli przede wszystkim powodzenie dzieła u kolejnych pokoleń naszych widzów, których upodobania pozostają nadal mocno konserwatywne, bo co do artystycznych zalet utworu, to konkurują one z niemałymi też wadami, do których można by zaliczyć m.in. niespójność libretta, układającego się w ciąg luźno związanych dramatycznie obrazów scenicznych, jak również dość eklektyczną i epigońską muzykę o bardzo różnej urodzie.

Jeżeli pomimo tego balet ten może chwilami podobać się nie tylko tzw. szerszej publiczności, to dzięki urozmaiconym sytuacjom scenicznym, dostarczającym licznych okazji do popisu tanecznego — od klasyki przez stylizowany folklor i taniec charakterystyczny po egzotykę. Stawia to jednak przed choreografem trudne zadanie — wygrania tej różnorodności, ale i podporządkowania jej w miarę jednolitemu charakterowi całości. A ponieważ nie jest to, wydaje się, w tym balecie w ogóle osiągalne, słusznie chyba uczyniła JANINA NIESOBSKA koncentrując się raczej na zróżnicowaniu sylwetek bohaterów i czytelności rozgrywanych między nimi sytuacji, niż nad poszukiwaniem uniwersalnego klucza do całości utworu czy też odczytywaniem głębszych sensów, które trudno by znaleźć w tym naiwnie poczciwym produkcie sztuki sarmackiej.

Pewną stylistyczną jedność nadawała baletowi scenografia, która potrafiła sprawić, iż mimo znacznej zmienności miejsca akcji miało się silne poczucie przebywania przez cały czas w świecie tej samej wizji plastycznej, a w nastroju baśniowego przepychu utrzymywały balet barwne stroje tancerzy.

Gwoli prawdzie wyznam jednak, iż z początku toczyło się wszystko, jak na mój gust, ospale i nudnawo, co dotyczy prawie całego I aktu i nawet tak zdawałoby się niezawodny i z dawna stosowany chwyt (jak choćby w „Córce źle strzeżonej") polegający na powierzeniu komicznej roli kobiecej rosłemu tancerzowi niewiele potrafił scenę ożywić. W tej części najbardziej udany był pełen wdzięku taniec trzech kotów na dachach Krakowa (zresztą w wykonaniu nie wymienionych w programie tancerzy). Nie wyzyskano też wszystkich możliwości, jakie stwarzały podziemne korytarze Olkusza, ponieważ zespołowe wykonanie Walca okazało się przyciężkie i nie dość precyzyjne. Dopiero piekielny sabat na Krzemionkach mimo nie zawsze należytej koordynacji zespołów tanecznych z orkiestrą, wniósł na scenę trochę życia, a od najlepszej strony zaprezentowała się jako **Królowa Podziemia** demoniczna EDYTA WASŁOWSKA.

Ale prawdę mówiąc, jedynie II akt, począwszy od sceny na krakowskim Rynku mógł widza usatysfakcjonować, nietrudno było zresztą wywołać aplauz skoro sam fakt ukazania się **Lajkonika** powitano oklaskami radości, co by świadczyło o tym, że ludzi najbardziej cieszą na scenie widoki dobrze znane. Z żywiołowością sceny rynkowej dobrze kontrastował żałobny w nastroju polonezowy korowód na wawelskim zamku, pięknie pomyślany i z majestatycznym umiarem wykonany przez liczny zespół. Osobne słowa uznania należą się CZESŁAWOWI BILSKIEMU za rolę **Zygmunta Augusta**, widać było jak wiele cennych dla baletu umiejętności interpretacyjnych może dać szkoła wrocławskiej Pantomimy.

Jak gdyby odrębnym utworem wmontowanym w całość na autonomicznej zasadzie, była cała sekwencja indyjska, wprawdzie nierówna artystycznie, ale w sumie frapująca dzięki wielkiej rozmaitości układów ruchowych i sytuacji, (a także kostiumów) od nieco „rewiowo" potraktowanego tańca **Niewolnicy** — DOBROSŁAWA GUTEK, po ekspresyjny taniec erotyczny **Królowej Wschodu** w finezyjnym wykonaniu EWY WYCICHOWSKIEJ. W sumie były to chyba Indie wielce umowne, ograniczone do kręgu świątynno-kultowego, którym patronował wieloramienny Siwa, ale Indie baśniowo tajemnicze.

Dużo pola do popisu dostarczył tancerzom początek aktu III, na placu przed karczmą „Rzym". Z ciepłym humorem odtańczyli taniec żydowski KRYSTYNA MARGAS i BOGDAN JANKOWSKI, mógł się podobać Taniec Cygański MAŁGORZATY SŁADYSZ, w pomysłowym i wdzięcznym układzie oglądaliśmy oberek fantastyczny, tutaj też jako mocarna i energiczna **Pani Twardowska** mógł się wyżyć do syta KAZIMIERZ KNOLL, a uwodzicielskie uroki w tańcu **Krasawicy** roztoczyła przed nami LILIANA KOWALSKA (na tle **Kozaka** prawie żywcem przeniesionego z IV Symfonii Czajkowskiego).

W głównej roli **Pana Twardowskiego**, nie dającej zbyt wielu okazji do zabłyśnięcia tanecznymi umiejętnościami wystąpił z powodzeniem ROMAN KOMASSA, największe jednak zadania taneczne przypadły w roli **Kusego** KRZYSZTOFOWI STARCZEWSKIEMU, wielce utalentowanemu technicznie i wyrazistemu interpretacyjnie.

Legenda o Panu Twardowskim jest nie pozbawiona morału, zabarwionego naszą rodzimą filozofią. Okazuje się, że można bezkarnie sprzedawać dusze diabłu, bo zawsze uniknie się piekła, jeśli się na czas wezwie stosowną pomoc.

Okazuje się też, że w Łodzi, mieście sławnych spotkań baletowych, emocje sportowe dominują nad artystycznymi. W całości interpretacji tańcą najwyżej premiuje się (bo rzęsistymi oklaskami) elementy efektowne technicznie, zupełnie jak w tańcach na lodzie. Ile jest w tym naszej winy, recenzentów baletowych?

JERZY KWIECIŃSKI

Ludomir Różycki: „Pan Twardowski". Balet w 9 obrazach. Libretto — **Stefania Różycka.** Kierownictwo muzyczne — **Aleksander Tracz**, reżyseria i choreografia — **Janina Niesobska**, scenografia — **Jadwiga Jarosiewicz.** Premiera 30 marca 85 r. w Teatrze Wielkim w Łodzi.

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO – OBYCZAJOWA

IGRASZKI PEGAZA

Julian Tuwim, niepospolity znawca wszelakich „dziwów, cudów, ekwiwoków i ekstrawagancji, monstrów i curiosów, igraszek i łamańców, kunsztyków, andronów, banialuk, figli, facecji, fidrygałek, firlejów i faramuszek" literackich, zebrał je w dziele „Pegaz dęba, czyli Panopticum poetyckie" (1950), umieszczając wśród innych dziwactw wiersz autorstwa Antoniego Langego (1861—1929). Osobliwością wiersza, którego fragment poniżej przytaczamy, były jednakowo brzmiące słowa, o różnym znaczeniu, tzw. homonimy, w wierszach określane mianem homorymów:

Musim wyznać bez zasłony,
Że nasz żywot jest za słony.
I choć umysł nasz napięty,
Wszystko włazi nam na pięty.
A gdy żywot się przeora,
Już nie przyjdziesz na przeora,
I gdy schudną ci golenie,
Nie pomoże ci golenie
I nie znajdziesz takich stopień,
Byś uzyskał dobry stopień...

Lange był niepośledniej miary twórcą, lecz podobne zabawki rymotwórcze tworzyli raczej poeci niewysokiego lotu, czego dowodem wiersz „Prolog" pióra Jerzego Wrzosa (Tadeusza Żeromskiego), który poniżej przytaczamy:

Niech się zaszasta narodu pogłowie,
Gdy biczem śmiechu dostanie po głowie,
Bo oto ostrej satyry posłowie
Rzucą wam w uszko słóweczko po słowie,
Satyry naszej obejmie elipsa
Łotra, paskarza, niewinnych biel i psa
I uderzymy was w serca taranem:
Ten rzuca pieniądz, powraca ta ranem,
Tamta go zdradza ówdzie czy tam, tu czy,
Ten zaś krwawicą narodu się tuczy,
A więc oklaskuj nam, tłumie, programy,
Bowiem pro arte et studio pro gramy.

PRZYSŁOWIOWY BIGOS

Zaskakujący czasem efekt mają wtrącane w rozmowie przysłowia i zwroty przysłowiowe, ale mało kto potrafiłby z odpowiednio dobranych powiedzonek zestawić opowiastkę podobną do tej, jaką przytoczył Julian Horain w felietonie „Fizjologia przysłów", zamieszczonym w „Dzienniku Warszawskim" (1852, nr 100):

Raz sobie tnę przez miasto, napotkałem człowieka, który trzech zliczyć nie umiał, stojącego jak miłosierdzie w murku. Ja sobie myślę, że to nie bez kozery; nadąłem się więc jak półtora nieszczęścia i idę spróbować, czy da sobie na nosie zagrać, lecz on — skórka na buty — poznał się na farbowanych lisach i na różne finfy i chrząszcze, com mu z nosa puszczał, tak mi z góry zaśpiewał: „nie zjesz mnie waszmość w kaszy; gdy potrzeba, nie zaśpię gruszek w popiele, wyrwałeś się waćpan jak Filip z konopi, spodziewałeś się słońca przed swoimi wrotami, a osiądziesz na koszu, jak ci audka na kościele pokażę". Ja sobie myślę: jest kot w kapuście, zjedzże diabła, jak mi wyciął kuranta, dobrze mi dał po tybinkach. O, rzekłem, wiem ja gdzie waści uszyję buty i zaproszę na kwaśne jabłka, nauczę waści po kościele gwizdać i wytarłszy mu kapitułę należycie, huzia na niego, a on mi brzdęk przez łeb. Ja go za piersi cap, a on o ziemię klap. Widząc, żem mu kurtę skroił i że to nie przelewki, powiedziawszy: jechał go sęk, fik mik i do domu smyk.

MAŁŻEŃSKIE PRAGNIENIA

Żona pewnego uczonego skarżyła się przed swym małżonkiem, że ją zaniedbuje. *„Chciałabym być książką* — dodała — *wtedy byś pewnie więcej ze mną przestawał".* — *„Tak, moja droga, i ja bym chciał, żebyś była na przykład kalendarzem, który co rok w nowej wychodzi edycji".*

Półtony humorystyczne zebrane przez Złotego Lola i Oskara Młota. Warszawa 1874 r.

ZABAWNA LEKSYKOGRAFIA

W moim „bigosowym" archiwum znalazł się wycinek z dawnego czasopisma („Kurier Literacko-Naukowy", 1939?), zawierający zabawne skojarzenia językowe, którym nie można odmówić prawa obywatelstwa w naszym zachwaszczonym ostatnio języku. Autor, Zdz(isław) Jaw(orski), naśladował niedoścignionego u nas mistrza kalamburu Alojzego Ziłkowskiego, twórcy świetnego „Momusa". Oto próbka kalamburów Jaworskiego:

Gracz w piłkę nożną: kopiec.
Chory na żołądek: marnotrawny.
Narzeczony Wandy: Wandal.
Wytrawny pijak: Stary Sącz.
Mężczyzna, nie lubiący szczupłych kobiet: anty-patyk.
Mąż szczupłej żony: ma-gnat.
Tasujący karty w grze: tasak.
Masa mrożona: masa-kra.
Żona hiszpańskiego hrabiego: granda.
Bielizna, pościel: nabiał.
Inaczej ząb śpiewaka: kieł-basa.
Żona atlety: ma-tura.
Lubiący opowiadać żarty: Wicek.
Miła rodzinka: tata-rak, mama-łyga, syn-tetikos.
Uprawiający walkę na szable: szabla.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

JOLANTA WROŃSKA

Margaryna jest lepsza od masła (2)

Kontynuując rozważania o X Krakowskich Reminiscencjach Teatralnych (14—18 marca br.) wspomnieć warto także o spektaklu pt. „Z życia i pieśni Kruka" katowickiej grupy „COGITATUR". O ile wcześniej omówione przedstawienia, tak w swej warstwie estetycznej, jak treściowej sprawiały ciężki kłopot widzowi, o tyle „Kruk" dowodził jakiegoś wysiłku zespołu i jego starań. W warstwie inscenizacyjnej obraz dawał pojęcie o niezłym wyczuciu formy, barwy i światła. Spory smak plastyczny szedł w parze z dużą muzykalnością. Własnej kompozycji muzyka nadawała całości osobliwy klimat, chwilami pełen sporego ładunku emocjonalnego. Gorzej niestety, wyglądała sprawa opanowania techniki pantomimicznej przez aktorów. Czegoś tu było za dużo... albo czegoś za mało. Dość ubogi język gestu, powtarzającego się w niewielkich wariacjach, powodował po niejakim czasie znużenie widza. Nadto — obok gestu, obecne było także słowo. Wzmocnienie — gestem i słowem — przekazu myślowego, dało efekt odwrotny od zamierzonego. Aktorzy w swej koncepcji jakby nie umieli się zdecydować na jeden „kanał komunikacyjny" z widzem, jakby pragnęli pochwalić się i opanowaniem pantomimy i deklamacją (niestety! z fatalną dykcją i emisją głosu) no i przedobrzyli. Opowiedziany w poetyckiej konwencji stary wątek Fausta — bluźniercy mierzącego się z Bogiem, władzą i rozumieniem wszechrzeczy, sojusznika Szatana — oto w największym uproszczeniu treść. Zaś jeśli chodzi o zamiar, czyli o cel prezentacji, cóż... Goethe zrobił to o wiele lepiej. Może dlatego, że cenił sobie klarowność myśli? Bo grupie „COGITATUR" nie zbywa jedynie na wzniosłości i gęstej od szlachetnych intencji zupie intelektualnej.

Co ciekawsze, grupa uznała za właściwe podparcie się Leszkiem Kołakowskim w komentarzu do własnej pracy. Powiada Kołakowski, iż *„Sztuka ma odsłaniać w świecie to, czego nie ma w jego widokach naocznych, mianowicie utajony urok jego brzydoty, niejawną karłowatość jego wdzięków, śmieszność jego wzniosłości, mizerię przepychu i drogocenność nędzy — słowem — odsłaniać wszystkie jego sekretne włókna, wokół których obrastają empiryczne jakości i które czynią te jakości cząstkami naszego upadku lub naszej dumy"*. Proszę mi wybaczyć ten długi cytat, wydał mi się on jednak koniecznym, bowiem niezamierzenie dla autorów spektaklu, a i innych goszczących w Krakowie, zabrzmiał on zgoła przewrotnie. Mówi akurat o tym, czego najdoskonalej brak w pokazanych pracach scenicznych, odsłonił suto owiniętą w watę... mizerię i śmieszność jego wzniosłości...

W jakiejś nadrannej chwili, po wielogodzinnym maratonie spektakli, zapragnęłam nagle z całego serca, kawałka krwistego Fredry, takiego w żabotach i perukach, mniej może „adekwatnego do grozy czasów, w których nam żyć przyszło", ale za to komunikatywnego. Do powyższego porykiwactwa nad młodym teatrem w sam raz pasuje zdanie z jednego z przedstawień: „...pani bufetowa!, to którędy do wyjścia?..."

W WIELKIM JAJU — MAŁE ŻÓŁTKO

Jednym z najbardziej widocznych zjawisk w dzisiejszym teatrze — zostańmy przy starych określeniach — alternatywnym, jest nurt, dający się opisać jako „totalna negacja i ucieczka". Negacja rozumiana nie tylko jako programowe odrzucenie warsztatu, form, środków wyrazu i konwencji teatru tradycyjnego. Przede wszystkim jest to negacja w sferze treści, wartości intelektualnych i emocjonalnych. Totalna ucieczka „w głąb siebie" w świat indywidualnych przeżyć, w sferę omal intymną, nie dzieloną w relacjach międzyludzkich. Ucieczka „od", negacja tego, co jest, odrzucenie gniota prasującego ludzkie dusze, według jednego, powtarzalnego do obrzydzenia wzorca. Czy jednak można mówić także o ucieczce „do"? O pozytywnej negacji — walce i o jakiejś sensownej alternatywie?

Sądzę, iż wielkim nieszczęściem dzisiejszego teatru alternatywnego w Polsce jest... brak alternatywy. Jeśli bowiem jedyną propozycją, jedynym programem intelektualnym i moralnym, jaki oferują widzom młodzi twórcy ma być — cytowana za jedną z deklaracji programowych — *„ucieczka w schizofrenię podwójnego życia, rozszczepionego pomiędzy ukrywanym i zakamuflowanym strzępem własnego człowieczeństwo a przymusem wypełniania instrukcji"*. Jeśli jedynym warunkiem przetrwania istotnych wartości w realnym świecie jest ucieczka, cóż nam pozostaje oprócz ucieczki konsekwentnej do końca, do samounicestwienia? Bo ja wiem, czy sztuka, wyraz przecie najpełniejszej woli życia sensownego nie staje się własnym zaprzeczeniem w takiej postaci, jaką prezentują nam twórcy młodego teatru?

Byłoby jednak wielką niesprawiedliwością twierdzić, że z krakowskich scen wiała wyłącznie i jedynie tragiczna zgryzota.

Pojawiło się także kilka teatrów proponujących jakiś program. Zaznaczyć przy tym trzeba, że bez wyjątku były to sceny z paroletnim już dorobkiem, poniekąd klasycy ruchu teatru alternatywnego. Między innymi poznański teatr „JAN", pod wodzą swego szefa Jerzego Moszkowicza, pokazał „Króla Ubu" wg. Alfreda Jarry'ego. Był to bez wątpienia jedyny spektakl w czasie Reminiscencji, o którym można było powiedzieć, że jest najbliższy duchowi niegdysiejszego teatru studenckiego. Teatru, który poza całą warstwą myśli, jakie chciał zaszczepić widzom, poza deklaracjami światopoglądowymi, miał jeszcze jedną cechę, totalnie nieobecną na krakowskich pokazach. Mianowicie ludzie bawili się w teatr, choć nie była to jedynie czcza zabawa. Oni po prostu cieszyli się życiem, umieli całą swą witalność przekazać w dokonaniach artystycznych. Chyba tylko poznaniacy cieszyli się jeszcze swą pracą, co też w spektaklu odbiło się tempem i żywością. Jakkolwiek nie było to szczególnie doniosłe dokonanie artystyczne, to choćby dla samego oderwania myśli od powszechnej solennej celebry naznaczonej piętnem tragizmu, „JAN" wart jest wspomnienia.

Owa solenna celebra dała o sobie znać także w prezentacjach spektakli dyplomowych studentów krakowskiej PWST. Oba przedstawienia — „Trzy siostry" Antoniego Czechowa (warsztat dyplomowy, pod kierunkiem Jerzego Stuhra) oraz „Siedem snów w państwie snu" (dyplom pod opieką Krystiana Lupy) łączyło — wedle mego zdania — jedno. Całkowity brak ikry. Naukowo przestudiowany warsztat aktorski, jaki oferuje uczelnia, plus cokolwiek nieprawomyślna chęć skoku w bok, w stronę przekroczenia akademickiej konwencji, dały rezultat mikry i o letniej temperaturze. Troche to wyszło tak, jakby porządni studenci konserwatorium zostali przyłapani nie na ćwiczeniu Bacha, lecz na nagannym wygrywaniu jazzu.

O ileż pełniej zabłysła na tym tle perfekcja warsztatowa i orzeźwiająca niemal klarowność przesłania ideowego, jaką dał nam krakowski teatr „MANDALA" w swym przedstawieniu pt. „Rozbita szyba". „MANDALA" konsekwentnie idzie własną drogą. Dotyczy to i statusu sceny — jej członkami są absolwenci uczelni artystycznych, którzy z wyboru nie poszli na posady w różnych instytucjach artystycznych i kulturalnych, lecz założyli własną grupę twórczą utrzymującą się z drobnych dotacji i składek aktorów oraz z organizowanych tournée: krajowych i zagranicznych. Pielęgnowanie własnej niezależności formalnej, znajduje swój wyraz także w kierunkach artystycznych poszukiwań. Czerpanie z najlepszych dokonań teatru otwartego, z bogatego zasobu pantomimy, a przede wszystkim wielka dbałość o precyzję warsztatową daje w efekcie walor najcenniejszy. Tym ludziom o coś chodzi, o obronę nie starzejących się wartości człowieczych, o uczciwość wobec samych siebie, o piękno. Co najdziwniejsze — zważywszy ogrom wielosłowia praktykowanego w innych teatrach — ich przesłanie jasno i bez zamulenia dociera do widza i wstrząsa nim. A czyż nie o to właśnie idzie? O wzruszenie będące przeżyciem i refleksją?

NIE WSZYSCY PŁACZĄ

O trzech jeszcze prezentacjach warto wspomnieć. Po pierwsze — warszawska „Akademia Ruchu". Scena operująca „językiem" wyobrażeń wizualnych, narracji gestem. Zdumiewająca jest siła ekspresji i ładunku emocjonalnego, jaka płynie z codziennych, najzupełniej zwyczajnych gestów, odruchów, zachowań. Tych z ulicy, z kolejek, z mieszkań. Wypreparowane ze swych znaczeń indywidualnych sytuacje, oglądane w „laboratoryjnej" perspektywie, same stają się Teatrem. Monotonne, początkowo nużące tło muzyczne nadaje prezentacji niezwykłą temperaturę.

Jedyny na Reminiscencjach solista — Bogdan Mizerski z Sosnowca, zaproponował całkiem odmienny gatunek, monodram oparty na wierszach Witkacego z grą na strunach basowych. Najpierw cenzurka: dziesięć lekcji emisji głosu i dykcji i będzie cudownie. Był to jedyny mankament prezentacji, bo to, co ten facet potrafił zrobić z kontrabasem przechodziło najśmielsze oczekiwania. Wielka muzykalność i to nie tylko ta „muzyczna" lecz i muzykalność słowa. Wyczucie klimatu poezji, melodyki tekstu. Półgodzinny obraz skrzący się zmiennymi nastrojami Wedle typu wierszy — od prześnych, ludowych zaśpiewek, przez finezyjne refleksje Witkacego — myśliciela, zadumanego nad kondycją człowieka i świata, po szalone wybuchy znarkotyzowanego, tragicznego klowna. I pasująca do tego muzyka, umiejętne zgranie klimatu wiersza z gatunkiem muzycznym. Mizerski równie dobrze czuje się w roli grajka wygrywającego na basetli soczyste oberki, kujawiaki, krakowiaki, co w roli znakomicie czującego bluesa kontrabasisty z porządnego jazzowego ansamblu. Spora fantazja i wyobraźnia artysty pozwalają wydobyć z instrumentu absolutnie każdy ton, każdy nastrój.

Na koniec wreszcie relacjonowania scen występujących w Krakowie, koniecznie należy wspomnieć o katowickiej „SCENIE 12a".

Był to jedyny spektakl (pt. „Bomba"), którego twórcy nie zapomnieli o tak starożytnym sposobie opowiadania, czy kreowania artystycznej wizji świata, jakim jest ironia, śmiech i szyderstwo. Pomijając już fantastyczną biegłość warsztatu pantomimicznego, soczysty gest, bogatą mimikę, porządną dykcję, najcudowniejszą zaletą trzech aktorów prezentujących „Bombę" jest to, że nie dorabiają zawiłej ideologii. Oni po prostu mówią ludziom to, co mają im do powiedzenia. I już. Oni umieją się zwyczajnie śmiać z nadętych haseł, baloniastych „izmów" i „logii". W biuletynie Reminiscencji także oszczędzają widzom pustosłowia. Ich rzecz opowiada o świecie, w którym panuje kult wojny, i nie mają kłopotów z przekazaniem tej idei językiem kreacji scenicznej. Jeśli wolno byłoby użyć zwięzłej charakterystyki programu artystycznego „SCENY 12a", brzmiałaby ona tak: Samiśmy sprokurowali sobie ten oszalały świat, by więc ratować się przed zagładą — zdobądźmy się na szyderstwo z samych siebie. Śmiejmy się! Może świat potrwa jeszcze tylko trzy tygodnie...

Mając przed oczyma wszystkie produkcje zaprezentowane na krakowskich Reminiscencjach, nasuwa się kilka wniosków ogólniejszych. Przede wszystkim — przytłaczająca atmosfera tragicznej rezygnacji, niewiary, bezsensu. Takim widzą świat wokół siebie młodzi twórcy... nie dostrzegając paradoksu, że sama istota twórczości, trzpień artystycznej wypowiedzi, zakłada aktywność, pozytywny stosunek do siebie, otoczenia, świata. Pozytywny — w tym sensie, iż nie musi, a nawet nie powinien oznaczać bezkrytycznej afirmacji tego, co jest, lecz nie może — i to jest warunek elementarny sztuki — oznaczać fałszu, biernej nijakości, obrażania się na ustrój — bo tępi, na społeczeństwo — bo tępe, na świat — bo nie oferuje wyprostowanych ścieżek w przyszłość. A taki właśnie jest stan ducha bijący ze sceny teatru młodych

W czasie nocnych dyskusji pojawiały się nawet bezwstydne wyznania o tym, jak to wielka epoka teatru studenckiego odeszła, albowiem... „obecna rzeczywistość przytłacza nas, wyjaławia duchowo tak dalece, że jedynym ratunkiem jest odwrócenie się plecami" Zresztą — najbardziej wymownym akcentem krakowskich spotkań środowiska teatralnego, była... niechęć do dyskutowania o celowości uprawiania sztuki teatralnej, o idei tego teatru, także o przemyśleniach, wątpliwościach, obawach twórców. Po prostu nikomu tak naprawdę nie chciało się strzępić języka. Być może dlatego, że krąg ewentualnych rozmówców przybiera powoli cechy zamkniętego, hermetycznego i niesklonnego do wychodzenia zza własnego muru — getta środowiskowego. Jest to w końcu zamknięty krąg ludzi, doskonale się znających i może po cichu wszyscy czują, że nie mają sobie wzajem nic do powiedzenia. I to jest druga z cech znaczących w sytuacji aktualnej tego teatru: Zamknięcie kanału komunikacyjnego z otoczeniem. Każdy coś tam dłubie sobie a muzom, ale bardziej sobie i nieciekaw jest ani reakcji widza, ani jego oceny, ani tym mniej nie podejmuje fatygi podejmowania dialogu. Następny wniosek — rośnie próżnia społeczna wokół teatru otwartego. Ucieczka w mętną mistykę, ostentacyjne obnoszenie się z własną beznadziejną — może być prywatnym emploi jednostki, ale staje się niesmacznym fałszem, gdy jest wystawiana na sprzedaż

AWANGARDA CZY ARIERGARDA?

Jeden z aktorów włoskiej grupy teatralnej, gdy zarzucono mętny nihilizm i bałagan światopoglądowy panujący w przedstawieniu grupy „NUCLEO", odpowiedział, że *„gdybyśmy nie byli aktorami — stalibyśmy się terrorystami"*. I coś w tym jest, bo istotą terroryzmu jest bezradność i lęk. Taki zdaje się być stan umysłów młodej inteligencji twórczej. Co więcej — towarzyszy temu kompletny brak słuchu na sygnały dochodzące ze świata rzeczywistego, z życia, po prostu. Fałszywy ogląd, boleściwy mistycyzm rodem z kruchty lub spod bitewnych sztandarów, byleja-kość myślenia i działania. Objawia się to w marnym poziomie warsztatowym i zupełnej redundancji (czyli zamuleniu) komunikacji między artystą a publicznością. Zadziwiający jest ten regres młodej sztuki żywiącej się słowem (nawet jeśli to słowo „mówione jest gestem").

Obserwujemy rozkwit młodej muzyki, pojawia się ważki i wartościowy nurt w plastyce czy filmie najmłodszej generacji twórców. Tam jednak, gdzie przekaz treści posiłkuje się najpowszechniejszym instrumentem — w literaturze i teatrze — widzimy zapaść. Nie, nie upadek, o tym nie można mówić, póki ktokolwiek będzie jeszcze podejmował próby stworzenia czegoś nowego.

Teatr jednak, ten zwłaszcza który narodził się z buntu wobec konwencjonalnych form, ograniczeń, proponował inny obraz świata, teatr alternatywny, awangardowy, powoli staje się nie czołówką nowego myślenia, lecz ogonem.

Awangardą jest ten, kto nadąża za przeobrażeniami społeczeństwa, kto wie, o czym myśli jego widownia, kto umie z nią prowadzić dialog i spór. Najgorsze, co może spotkać teatr, to potwierdzać poglądy i postawy widzów. Jeśli oni obnoszą swą ostentacyjną religijność — nuże damy im nabożeństwo z właściwymi symbolami. Jeśli widz, jak frak, nosi swą negację, dajmy mu potwierdzenie, że stoimy z nim po jednej stronie barykady. Teatr ma obowiązek zmuszać do wyjścia z wygodnych pantofli, utartych schematów myślenia, ma prowokować, stawiać pytania. Ma budować, konstruować siebie i swą wizję. Wybór wartości, klarowne stanowisko zajmowane wobec tego co najistotniejsze i tego, co pozornie małe, codzienne, wymaga odwagi. Odwaga zaś nie polega na łatwej i bezpiecznej ucieczce w mętniactwo, gęstą symbolikę, wielosłowie.

Teatr otwarty nie jest już ruchem bratającym młodych całego świata. To jedynie pojedyncze wysepki tonące w morzu bezpłodnego nihilizmu. Nie jest to jednakże — i oby nie stał się — oręż w rękach tych, którzy najchętniej udusiliby wszystkie „nieprawomyślne" ruchy i prądy umysłowe. W chwili kryzysu, najłatwiej przecież zarzucić bezcelowość hodowania „niezdrowej narośli na ciele ciężko pracującego społeczeństwa". Ileż już razy tępe matołectwo ludzi biorących pieniądze za — pardon — upowszechnianie kultury skazało na śmierć zjawiska nieprzystające do ubogiej wyobraźni wielbicieli kryształu na stole. Taki los spotkał także niedawno wielkie zjawisko artystyczne, jakim jest (mimo wszystko jest!) Teatr Ósmego Dnia. Ktoś znowu miał za złe, że nie tak, nie tędy, a w ogóle, to kto za tym stoi. I jeszcze raz wartość artystyczna przegrała z „aktualną wiecie, sytuacją".

Krakowskie Reminiscencje, acz tyle w tym roku przyniosły niewesołych refleksji, mają jednak swe ważne miejsce w życiu kulturalnym Polski. Pozwalają mieć nadzieję, że dopóki choćby jeden teatr zechce grać dla choćby jednego widza, można mówić, że bal trwa. Każde zjawisko przeżywa swój okres apogeum i regresów, zdecydowanej deklaracji światopoglądowej i zwątpień w sens podejmowanego wyzwania. Dobrze, że w dziesiątkach klubów, domów kultury, w salkach i piwnicach jeszcze toczy się batalia o mądrzejszy świat i lepszych ludzi. Co — z niejakim patosem stwierdziwszy — składam wszystkim twórcom, a i nam, widzom, życzenie jedno, kultywowania na przekór wszystkiemu uczciwości wobec siebie samych.

Na koniec zaś pragnę się podzielić przeżyciem pozwalającym zachować optymizm. Do Krakowa otóż przyjechał — na zaproszenie organizatorów Reminiscencji — Teatr „BRITH GOF" z Wielkiej Brytanii. Jest to walijskojęzyczna grupa teatralna, założona w 1981 roku przez pięcioro aktorów zawodowych. Jej działalność skupia się w małych wiejskich społecznościach mówiących językiem walijskim (północna i zachodnia Walia). Prócz pracy nad spektaklami, w których grupa czerpie z walijskiej tradycji widowisk wokalno-instrumentalnych z akcentem położonym na fizyczny, wizualny przekaz, artyści zajmują się także działalnością pedagogiczną i prowadzeniem warsztatów w walijskim środowisku teatralnym. „Brith Gof" przywiózł do Krakowa spektakl „EMIGRANCI" („YMFUDWYR"). Jest to opowieść o losach XIX-wiecznych emigrantów walijskich wyruszających po lepszy los do Ameryki i przeżywających ból adaptacji w nowym otoczeniu, tęskniących za bliskimi i ojczyzną. Obraz mówi o tragicznym procesie powolnego tracenia własnego języka, kultury, wiary, dostosowywania się do imperium cywilizacji technicznej. Jest to więc opowieść aktualna zawsze i wszędzie, jednako czytelna w każdym miejscu.

I otóż, po czterech dniach pogrążania się w surrealizmie bezpłodnej negacji i mętności, widzowie dostąpili wreszcie zaszczytu obcowania z Wielką Sztuką. Fenomenalny warsztat aktorski, potężny ładunek emocjonalny zawarty w kreowaniu postaci, cudowny, czysty jak łza świat najprostszych i najważniejszych dla człowieka wartości, sprawiły, że spektakl grany w języku walijskim stał się czytelny, zrozumiały. Wielkie wzruszenie i podziw dla kunsztu budził w widzach pokorę, jakiej doznaje się w kontakcie z pięknem. Tak wielkiego przeżycia emocjonalnego, intelektualnego, tak wspaniałego, oczyszczającego wzruszenia, nie dostarczył żaden teatr rodzimego chowu. Żadnej „nadrealnej" wzdętości, klarowny realizm konwencji teatralnej, prostota — oto środki, jakimi Walijczycy zmusili widownię do wstrzymania oddechu. Dziękując artystom „Brith Gof" za wielkie przeżycie, nie sposób oprzeć się myśli, iż — być może — powrót do prostoty, tej córki geniuszu, jest drogą nieodkrytych szans dla naszego młodego teatru. Może awangarda oznacza właśnie realizm? „...a może margaryna jest lepsza od masła, skay — mocniejszy od skóry, a tombak błyszczy bardziej niż złoto?".

■

Zanotowane na marginesach

Poetka miedzianej pięcio—groszówki

Kto dziś pamięta te monetę? A to była cała forsa mojego dzieciństwa — w środku lat pięćdziesiątych. Kupki piątek odkładało się, by było na kapiszony, albo na niesamowite buraczane lizaki od „Bąbla", drobnego kupca z ulicy Rzgowskiej, z nagła przemianowanej na jakiegoś Kalliszewskiego i z powrotem... Z tego okresu najsilniej wbiły mi się w pamięć — siła nabywcza miedzianej piątki, kapuściano-ogórczany zapach mrocznego wnętrza zieleniarskiej budki uprzejmej rodziny Wochów, szpaler lilowych bzów na dziadkowym podwórku i fascynujące czarne oczy jednej Grażynki z sąsiedztwa. Ot, mikrokosmos siedmiolatka z Chojen, rówieśnika księcia Walii, co tak chętnie podkreślały ciotki... I prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia, jak mawiał Tata.

Nie wiem dlaczego właściwie wszystko to przypomniało mi się przy czytaniu niezwykłej książki — „Szpetnych czterdziestoletnich" Agnieszki Osieckiej. Może dlatego, że nagle zapragnąłem skonfrontować te jej „swingujące" albo „ryczące pięćdziesiątki" przeżywane w centrum zdarzeń, w tej specyficznej Warszawie „towarzystwa" i towarzyszy, STS-u i „Po Prostu", czerwonych skarpetek Tyrmanda — skonfrontować z moim peryferyjnym światkiem pętaka młodszego o dobre dziesięć lat, z sobotami Czerwonego Rynku i niedzielami w tramwaju do Tuszyn-Lasu przy akompaniamencie Lili Fontella..

Osiecka jest wybitną poetką. Liryczną — jak trzeba, sentymentalną — jak trzeba, i epicką, i zasadniczą — nic zanadto.

A przecież ci „Szpetni czterdziestoletni" to nic wielkiego — ot, rozumowana encyklopedia symboli, ludzi i zjawisk czasów odwilży. Wytrząśnięta byle jak z pamięci, bez grzebania po archiwach i źródłach. Co zresztą jest swoistą kokieterią tej książki, świadomie i jawnie przez autorkę zamierzoną.

Jest możliwe, ba, nawet wielce prawdopodobne, napisanie wyrozumowanej księgi o tych latach — rzeczowej, krytycznej, perfekcyjnej i mądrej od pierwszej do ostatniej strony. Mając tę możliwość na względzie, domyślam się dlaczego Osiecka napisała „Szpetnych czterdziestoletnich" — napisała to ze strachu. Ze strachu, że taka księga rzeczywiście powstanie, a ona w międzyczasie zapomni jeszcze więcej i stanie bezradna wobec własnej historii.

Bezradność ludzkiego indywiduum wobec przeszłości jego jest sprawą i zasięg ma ograniczony. Ale sklerozja pokolenia ma już znaczenie publiczne... (Sklerozja — takie sobie słówko które skonstruowałem ze sklerozy i erozji). Tam bowiem, gdzie wietrzeje materia faktów, plenią się mity: ich „rozsadnikami" są w równych częściach Świadkowie i Archeolodzy. Osiecka jest wyposażona w bagaż doświadczeń tych pierwszych oraz temperament i kompetencje tych drugich jednocześnie: i to chyba strzeże ją przed nadmiernym mitotwórstwem. Co nie znaczy, że nie tworzy kontrmitu odwilżowych lat pięćdziesiątych — jest przecież cudowna Poetka... Moja Poetka Miedzianej Pięciogroszówki.

I bardzo dobrze. Wyjawszy może jedno przykre i nieodparte wrażenie po zachłannym przeczytaniu leksykonu pamięci Pani Agnieszki — ani ja, ani nikt w moim pokoleniu takiej książki raczej nie napisze. Nie dlatego, iżby talentów nie stało. Nie ma, psiakrew, o czym..

To znaczy nie ma nic tak ważnego naprawdę. Ale „bądźmy wszyscy dobrej myśli".

TOMASZ SAS

■

ze str. 1

— To widać powyżej. Lecz wspomnijmy, że wiele kronik kryminalnych notuje wypadki nadwrażliwych morderców.

— „Romantyk". Co wiąże się chyba z sentymentalnym młodzieńcem, teraz już mężczyzną?

— Jak do tej pory jest to wciąż ten sam filtr światła, przez który dochodzi do mnie świat. Wiem, że nie istnieje zapotrzebowanie na podstarzałych romantyków, bowiem uważa się, że jest to infantylna postawa wobec świata. Ten brak zapotrzebowania wyraża się w tym, że coraz mniej widzę ról, w których przydałbym się reżyserom. Ale romantyzm to też maska wobec świata, grymas, pod którym kryje się połamaniec, świadomość praktyczna, megalomańska i „na złość matce podcinająca gałąź na której siedzi". Jak widać jest to dość śmieszna walka o wykreowanie siebie dla siebie i narzucenie siebie innym, szantażując atrapą broni.

— Dodając do takiej duszy „kontrast bladej cery z krwistością rumieńców, ciemną barwą oczu, brwi i rzęs, przywołuje na myśl twarze ludzi trawionych chorobliwą gorączką". Ale nie wygląda pan na chorego?

— Czy pan naprawdę chce mnie rozzłościć? Czy może za chwilę zaaplikuje mi termometr. Przydałem się jako chory i może jeszcze nieraz w ten sposób się przydam. Czy nie jest pan pod urokiem Iwaszkiewiczowskiej „Brzeziny". Jeśli mogłem być dla tej prozy dobrym instrumentem, to pozostanie to moją radością, a pan prowokując mnie nie zdoła wytrącić z równowagi słodkich wspomnień.

— Ja tylko wymieniam cechy tak charakterystyczne dla neurotyków, których grał pan ogromną ilość?

— Dla mnie to niewystarczająca galeria postaci neurotycznych. Przecież to osobowość typowa dla osobowości XX wieku, że powiem tak za psychiatrami: panią Karen Horney, prof. Andrzejem Kępińskim czy prof. Kazimierzem Dąbrowskim i wielu innymi przyglądającymi się ludziom współczesnym. I nie tylko. Przez pryzmat owej nauki XX wieku — psychiatrii humanistycznej oglądać możemy owe niezrównoważone postaci z historii i literatury epok minionych.

— Rola gruźlika w „Brzezinie" kosztowała pana chyba najwięcej zdrowia i nerwów. Był pan podobno bliski załamania psychicznego?

— Od tego czasu wiele ciężkich przeszkód było do sforsowania, bo np. zupełnie niezrozumiałym przed i po realizacji był trans psychiatryczny jako metoda pracy zastosowany przez reż. Grzegorza Królikiewicza w telewizyjnym „Fauście". Dzisiaj myśląc o tym przedstawieniu wspominam, że to było najcięższe przeżycie aktorskie. Ale mimo, że niejasne do dziś czerpię z doświadczeń pozytywnych owej współpracy.

— „Moja miłość to film i gdyby taki zawód istniał w Polsce, zostałbym aktorem filmowym"?

— Powiedziałem „Moja miłość"? Film nie pokochał mnie miłością wierną i nie dał szansy dla gamy uczuć i kolorowych przeobrażeń, pozostawiając jak zasuszony kwiatek w sztambuchu sentymentalnych reminiscencji. Tylko kobieta reżyser razu pewnego i jedynego dała mi szansę zobaczyć siebie w lustrze twardym i zimnym w roli dowódcy bojówki PPS, agitatora w filmie „Dzieje jednego pocisku", a ostatnio inna kobieta reżyser zapragnęła mnie do maleńkiej, epizodycznej postaci gwałciciela nieletniej w „Dziewczętach z Nowolipek".

— Może dlatego, że powstał dylemat — czy Łukaszewicz powtarza się czy nie w swoich specyficznych rolach. Pan sądzi, że udało mu się tego uniknąć?

— Nie sądzę, abym się bardziej szufladkował od innych aktorów. Na postać Jerzego Stuhra pada cieniem „Wodzirej", na Wojciecha Pszoniaka Moryc Welt z „Ziemi obiecanej", na Jana Nowickiego Stawrogin z „Biesów", że wymienię tylko moich ulubionych kolegów. Używany jak gotowy kolor w samie obsady, niejednokrotnie w podobnych konfiguracjach fabularnych, być może dla mniej wnikliwego obserwatora stwarzam galerię monotonnych postaci. W moim jednak przekonaniu gram bardzo różne role, choć bez krzykliwych różnic kolorystycznych.

— Publicznie przyznał się pan do narcyzmu zawodowego?

— Tak. Przyznaję się, bo jeśli ktoś sam zauważa ów przejaw miłości własnej, to tak jakby już pół jej ujął.

— Jest pan aktorem bardzo popularnym, co to w pana pojęciu znaczy?

— Popularny to znaczy rozpoznawalny przez jak najszersze kręgi ludzi i nie tylko, obdarzony pewnym kredytem uczuć dodatnich, np. na ul. Marszałkowskiej w Warszawie dwóch pijanych wyrostków bez powodu przyciska mnie do muru, raptem jeden z nich: co ty Łukaszewicza będziesz bił i z uśmiechem darowują mi wolność. Obawiam się, że gdybym grał boksera jak Olbrychski, koniecznie popróbowaliby zmierzyć się z idolem. Albo w liście informacja: wzrost..., oczy..., w biuście..., gdyby miał pan kłopoty matrymonialne — oto adres. Nigdy chęć zdobycia popularności nie wpływała na kształt modelowanej przeze mnie roli. Ale uważny wybór: gdzie, kiedy, z kim i w jakiej sprawie się pokażę, myślę, że kształtuje różnice pomiędzy tym — czy jest się tylko znanym czy również popularnym.

— Jest pan także aktorem z własnym programem, dbającym o rozszerzenie skali swoich możliwości i ich doskonalenie. Większość z pana kolegów nie ma programu i w ogóle go nie planuje?

— W systemie artystycznej etatyzacji w rodzimych teatrach, gdzie dawno minął głęboko artystyczny stosunek dyrektorów do posiadanej stajni (tj. dbanie o rozwój i dopingowanie poszczególnych osobowości aktorskich; pogląd ten zaszczepiony jeszcze w szkole teatralnej jest tylko fikcją (w systemie gdzie nie liczy się model lansowania tzw. ulubieńców publiczności) co jest w sprzeczności z prawami gwiazdy) aktorzy pozostają bardzo samotni w niemożności wpływania na swój los w zawodzie. Ani co do kształtowania wyraźnego, oryginalnego stylu, ani co do kształtowania sposobików na wyciskanie braw, brawek, szmeru. Wielka reforma artystyczna oddała losy aktorów w ręce reżyserów, co miało sens w stosunku do pokolenia aktorów których trzeba było ujarzmić w ich sugestywności, obrobić intelektualnie jak nie oszlifowane brylanty. Aktorzy ci znali jednak swój fach. Dziś ani średnie ani młode pokolenie reżyserów nie umie wychować, wyhodować wielkich talentów aktorskich,

Neuroza

bo się na tym nie zna. A wielcy odchodzący pod presją intelektualnych wymagań wstydliwie kryją świadomość i środki prestidigitatorów. Myślę też, że jak i w innych dziedzinach pracy w naszym społeczeństwie i w tym zawodzie wymierna rzetelność nie jest najmodniejsza. Dlatego ocena aktorów zawarta w pana pytaniu powinna być uzupełniona o świadomość tych wszystkich uwarunkowań.

Chcąc czuć się artystycznie wolnym, uciekam do monodramów. Jest to wolność na marginesie. To kaprys woli i uczuć. To możliwość wypowiadania cudzych słów w imię własne. To konfrontacja z małymi grupami ludzi prawie w całej Polsce. Ostatnio prezentuję monodram „Psalmy Dawida" w Piwnicy na Wójtowskiej w Warszawie. Zetknięcie się ze starotestamentową poezją to intymna przygoda z głosem pokoleń. Modlący się Ten, wołający do Wiecznie Milczącego. Ten każdy, bo nawet wyciągający wniosek, że Jego nie ma, to dramatyczna postać i kopalnia materiału ludzkich uczuć i myśli dla każdego aktora. Skojarzeń, znaczeń tak wiele, tak bardzo przerastających wypowiadającego, że stanowią absolutną pewność żywego kontaktu z widzem. Do tej pory najczęściej wykorzystywano dla teatru jednego aktora „Księgę Hioba" i „Pieśń nad pieśniami". O ile mi wiadomo jestem pierwszy, który posłużył się „Psalmami".

— Myślałem, że uprawia pan aktorstwo transformacyjne?

— Określenie aktorstwo „transformacyjne" używane jest dzisiaj na dwa sposoby: pierwszy określa XIX-wieczną metodę charakteryzacji, drugi — XX-wieczny dystans do granej postaci, którą aktor demonstruje i pokazuje, że nie jest tym kogo gra. Określenie to nie jest jasne dla tych, którzy spodziewaliby się przeistoczenia aktora w innego człowieka. Ja muszę się podporządkować konwencji proponowanej przez reżysera.

— Mówimy tu o istocie aktorstwa, a przecież powiedział pan że nie posiada określonego zawodu, aktorstwo wydaje mu się dalszym ciągiem zainteresowań z liceum przeniesionego w dorosłe życie. Gdzie więc tu miejsce dla zawodowstwa?

— Proszę pana, płacą mi za to.

— Każdy aktor ma swoje „5 minut" i wszyscy się nim przez ten czas interesują. Pan też je miał, a później była cisza i grali nowi aktorzy?

— Cisza była dosyć długa, bo od 1973 do 1979 roku, co nie znaczy, że była to absolutna cisza, bowiem grałem dużo i wszędzie, ale w żadnej z głośnych realizacji. Była to cisza laboratoryjna, której efekty przyniosły mi pasowanie na profesjonalistę w moim środowisku.

— Nagroda im. Zbigniewa Cybulskiego to jednak spore wyróżnienie i satysfakcja dla jej posiadacza?

— Z biegiem lat nagroda ta zdeprecjonowała się, kiedy mi ją przyznano w 1970 roku, jej fundatorzy stawiali laureatom wyższą poprzeczkę.

— Co wniosły kolejne role, które zagrał pan lub gra obecnie?

— Ucieszyła mnie możliwość zagrania Mizantropa w Teatrze TV, a także tytułowego „Idioty", niezależnie od ocen tych realizacji. Obecnie gram gościnnie w Teatrze „Studio" rolę Franza Kafki w „Pułapce" Różewicza w reż. Jerzego Grzegorzewskiego i przyniosła mi ona jedną z nagród na Festiwalu Sztuk Współczesnych we Wrocławiu i wiele osobistych satysfakcji.

— Skąd propozycja zagrania „Anatola" w Łodzi?

— Znany mi wcześniej młody stypendysta austriacki Willibald Bernhart, który w przeciągu kilku miesięcy świetnie opanował język polski, zaprosił mnie do zagrania tytułowej roli „Filokteta" H. Müllera. Myślę, że rezultat był ciekawy i to zachęciło mnie do kolejnej z nim współpracy przy sztuce „Anatol" w łódzkim Teatrze im. S. Jaracza.

— W roli Anatola wydawał mi się pan zbyt powierzchowny, jakby nie do końca przekonany do tego kogo ma grać, zauważyłem też pewną nonszalancję w prowadzeniu roli?

— Kim właściwie jest Anatol nie bardzo wie nikt, bo właśnie jest nikim. Plazmatyczna, neurosteniczna osobowość, człowiek, który utracił swoją autentyczność, zostały mu tylko maski, chciałby być kimś i na nic go nie stać. Ani nie potrafi być prawdziwie zazdrosny, ani nie potrafi być brutalem, ani nie umie prawdziwie kochać, ani nie potrafi być czułym, ani nie potrafi być realistą. Jest za to kundlem, choć w eleganckim ubraniu, studiujący wykwintność, gesty swoich rąk i nóg, choć bezpodstawnie przylepiający sobie wizytówkę: poeta. Nonszalancja była w roli, ale i w metodzie, ponieważ nie dawałem studium psychologicznego środkami teatru psychologicznego. Na scenie odbywa się 6 kolejnych rund meczu, 6 odsłon teatru ogródkowego. Reżyser na próbach generalnych zrezygnował z muzyki, której potraktowanie miało ułatwić odczytanie jego intencji. To był błąd. Były to walce wiedeńskie Straussa w opracowaniu Schönberga, a na dodatek zdeformowane jeszcze w sposób elektroniczny, co ułatwiałoby odczytanie „Anatola" jako dramatu rozmienionej na drobne osobowości, a nie tylko jako miłego, wiedeńskiego ciasteczka.

— O pana teatralnych rolach nie pisze się, nie mówi tak dobrze jak o rolach filmowych?

— Bo ich tyle nie było. Sukcesami teatralnymi były: Rossman w „Ameryce" w Tearze „Ateneum", Billy w „Locie nad kukułczym gniazdem" w Teatrze Powszechnym i wymieniony już Franz Kafka w „Pułapce" w Teatrze Studio.

— Bo jak mówił Kazimierz Kutz: „Łukaszewicza trzeba nastrajać jak instrument i wtedy można osiągać niezwykłe odcienie". Reżyserzy mają w panu niełatwego partnera zanim dojdą do prawidłowego strojenia. Pan im nie pomaga, czeka?

— Opinia Kazimierza Kutza to opinia o aktorze początkującym z roku 1960. Dzisiaj współczesnych wariantów jest o wiele mniej, stroimy się wspólnie. Ale jestem aktorem karnym i to w rezultacie powoduje, że często przedwcześnie rezygnuję z walki o własny kształt postaci.

— „Łukaszewicz nie będzie nigdy sprawnym aktorem rzemieślnikiem". Więc może natchnionym artystą?

— Myślę, że w dużym stopniu opanowałem rzemiosło, choć na pewno nie jestem wirtuozem, ale nie to i tak byłoby moim celem. Szukam czegoś co mogoby dotykać ludzi osobiście i intymnie.

— Swoją rolę odgrywają pokłady egoizmu, które mocno tkwią w panu?

— Raczej egocentryzmu pojmowanego dosyć relatywnie, bo w zawodzie aktora partner określa partnera, króla tworzy jego dwór.

— W „Seksmisji" próbował pan pokazać pastisz sylwetek wykreowanego przez siebie — bohatera filmowego, ale jakoś nie wszyscy to zauważyli?

— Nie zauważyli, bo nie mają nigdy znaczenia autocytaty, to pierwszy stopień megalomanii. To tylko prywatny żart przy okazji bardzo poważnego żartu, jakim był cały film.

— Co przesądziło o pana sukcesie w roli por. Kiekertiza w „Lekcji martwego języka"?

— Poczucie tego sukcesu jest względne. Wybitna powieść zekranizowana z bardzo dobrym rezultatem przez Janusza Majewskiego, doczekała się 21 kopii z których zaledwie część była rozpowszechniana. Premiera filmu przypadła na czas, kiedy w społeczeństwie wzbierały nastroje goryczy przed 1980 rokiem. Film miał przejść niezauważenie i na fali tych nastrojów, co się udało. Wydawał się filmem z księżyca. Czas może by przywrócić go do repertuaru kin. Choć wiem, że tematy dekadenckie, kult śmierci, pozostają dość wyrafinowaną smutną rozrywką wąskiej części widowni.

— Jak zapowiadają się najnowsze role?

— Teatralne — nieciekawie, filmowe — tu jest nadzieja na bardzo dużą realizację, ale trzymam kciuki.

— Aby obraz pana kreślony tu przy jego pomocy nie był taki jednostronny, zacytuję jeszcze opinię publiczną o nim wygłoszoną przez 6-letnią córkę Zuzię: „Tata wcale nie jest smutny, lubi się uśmiechać i bawić w rozmowy z małpkami".

O czym rozmawia pan z małpkami?

— O tym jak małpki, a jest ich kilka i tworzą rodzinę, bardzo się kochają, szukają wiecznie gubiącej się najmniejszej z nich Miki i przejmują się wszystkim co spotkało Zuzię w ciągu dnia.

— Co na to żona?

— Jest zazdrosna o tę najmłodszą — jak mówi — z moich narzeczonych.

— Mąż, ojciec rodziny, a w środku ciągle... dziecko?

— Oj, chyba pustka. Tak się czuję jakby mi niedawno w środku umarło.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Muzyka dla głupka?

Dziennikarze piszący o muzyce rockowej nie mogą ostatnio narzekać na brak interesujących tematów. Niedawno zakończyły się słynne targi MIDEM, pod koniec lutego poznaliśmy laureatów nagród Grammy za 1984 rok, do sklepów dotarły pierwsze tegoroczne nowości płytowe. Ożywiony ruch panuje nie tylko na zagranicznych rynkach muzycznych. Również nasi wykonawcy pracują w pocie czoła, a polskie firmy fonograficzne zapowiadają wydanie wielu atrakcyjnych albumów, singli i kaset.

Właśnie zastanawiałem się, czy podzielić się z Czytelnikami moją opinią na temat solowej płyty Micka Jaggera, zatytułowanej „She's the Boss", czy też może spróbować ocenić szanse zdobycia popularności w Wielkiej Brytanii przez grupę Kombi, gdy natknąłem się w tygodniku „Tu i Teraz" z 6 marca br. na artykuł Janusza Łętowskiego „Radio, telewizja i dyrygenci". Rzadko słucham tzw. „muzyki poważnej", ale lubię od czasu do czasu przeczytać co piszą na jej temat krytycy, żeby dowiedzieć się jakie utwory ukazują się na płytach, którzy dyrygenci cieszą się największym uznaniem, jakie orkiestry są modne, co dzieje się w świecie opery i baletu. Postanowiłem więc zapoznać się z treścią wspomnianego artykułu. W pierwszych zdaniach autor chwali brytyjskie radio za to, że jeden z licznych programów poświęcony jest prawie wyłącznie muzyce klasycznej. Przerywają ją tylko nadawane, co parę godzin dzienniki oraz poezja. Na co dzień nie słucham brytyjskiego radia, nie wiem także o jaki program chodzi, jednak jeżeli istotnie może się melomanom podobać, to nie pozostaje mi nic innego jak tylko przyłączyć się do pochwał, zwłaszcza że Brytyjczycy, którzy nie gustują w muzyce, jaką lubi Janusz Łętowski, mogą zawsze zmienić stację i, zamiast symfonii Mozarta, słuchać najnowszych nagrań Davida Bowie czy rewelacyjnej grupy The Smiths.

Czytam więc dalej i oto dochodzę do następującego stwierdzenia: *„A tak w ogóle, to mam nadzieję, że okres dominacji tzw. łomotu (rockowisko) w PR powoli dobiega końca; wiązał się on z nietrafnym politycznym przekonaniem, iż kokietując głupka z pomalowanymi włosami, przekonamy go do zalet ustroju"*. Zdanie to musiałem przeczytać dwa razy, aby upewnić się, czy w druku nie zaszła pomyłka. Myślę jednak, że błędu nie ma. Autor jest przeciwnikiem rocka, chociaż, jak sądzę, mało o nim wie. Pisząc o „łomocie" ma na myśli zapewne tzw. muzykę „heavy metal" popularną zwłaszcza wśród młodszych melomanów, która stanowi jedną z licznych odmian rocka. Od czasu debiutu grupy The Beatles wiele się w tej muzyce zmieniło, a ostatnio, za sprawą utalentowanych wykonawców oraz techniki video, rock przeżywa swoją drugą młodość. Fakt, że nasze radio poświęca mu tak dużo miejsca jest więc całkowicie uzasadniony, zwłaszcza, że wraz z rozwojem rocka rośnie liczba i przeciętna wieku słuchaczy. Mam kilku znajomych, którzy chętnie słuchają nagrań Prince'a czy grupy The Cars, a wszyscy wydają się mieć dobrze poukładane w głowie i żaden z nich nie farbuje sobie włosów. Trudno ich też zaliczyć do grona nastolatków, chociaż czują się jeszcze młodo.

Podejrzewam, że dziennikarze radiowi, którzy prezentują w swoich audycjach muzykę rockową robią to z przyjemnością i nie myślą przerzucać się na klasykę tylko dlatego, że niektórych słuchaczy razi dominacja rocka na antenie. Melomani powinni mieć możliwość wyboru. Przecież jest też wiele programów poświęconych całkowicie muzyce poważnej. A że być może (nie liczyłem) jest ich mniej niż audycji z utworami rockowymi, to jeszcze nie powód, aby taki układ zaraz zmieniać. Trzeba bowiem najpierw sprawdzić jakiej muzyki domaga się większość. Oczywiście ktoś może powiedzieć iż ważniejsze jest kryterium artystyczne. Zgoda. Ale czy tzw. „muzyka młodzieżowa" nie dostarcza dzieł ambitnych? W ogromnej masie utworów wykonywanych przez „młodzież" (wiele gwiazd współczesnego rocka przekroczyło już czterdziestkę) na pewno bez trudu można wskazać te, które opierają się tylko na trzech akordach. Coraz częściej jednak słyszy się kompozycje wartościowe. Te należy propagować, ostateczny wybór pozostawiając słuchaczowi. Każda bowiem muzyka, oprócz tego że dostarcza przeżyć artystycznych, jest również formą rozrywki, a w tej dziedzinie, jak wiadomo, każdy ma inne potrzeby.

Ale wracajmy do tekstu „Radio, telewizja i dyrygenci", z którego pragnę przytoczyć jeszcze jeden fragment: *„Pośród młodzieży adresatem trafnej polityki kulturalnej powinien być przede wszystkim dobry uczeń, przyzwoicie wychowany, uczący się języków i innych mądrych rzeczy, a także myślący poważnie o tym, kim będzie za lat dziesięć czy piętnaście"*. Dobrze, ale czy ten ideał musi koniecznie słuchać wyłącznie muzyki poważnej? Czy musimy z góry zakładać, że jeżeli polubi grupę Lady Pank to nic dobrego z niego nie wyrośnie? Zgadzam się, że piosenki wykonywane przez niektóre grupy rockowe niewiele mają wspólnego ze sztuką, ale być może właśnie po ich usłyszeniu młody Polak dojdzie do wniosku, iż ta muzyka jest nie dla niego i wybierze się na koncert do filharmonii. Pozwólmy mu jednak wybrać. A jeżeli nawet zdecyduje, że woli zespół Wham!, to może chęć zrozumienia tego, co śpiewa George Michael skłoni go do rozpoczęcia nauki języka angielskiego.

W dalszej części artykułu „Radio, telewizja i dyrygenci", czytamy już wyłącznie o „pięknej muzyce". Do takiej autor zalicza dzieła Dworzaka, Debussy'ego i innych klasyków. Dlaczego jednak pod tym pojęciem nie mogą zmieścić się niektóre kompozycje muzyki rockowej? Mały słownik języka polskiego PWN podaje, że wyraz klasyczny oznacza m.in. *„uznany za wzór, normę"* „Klasyk" to z kolei *„artysta zaliczany do wzorowych, uznanych"*. Czy do takich nie zaliczają się np. Beatlesi? Czy Davida Bowie — „ojca chrzestnego" wielu piosenkarzy brytyjskiej nowej fali rocka, jednego z najwybitniejszych twórców i wykonawców muzyki pop — nie możemy nazwać klasykiem?

Ostatnio prasa odczuwa niedobór papieru, więc nie chcę więcej miejsca zajmować polemiką, która i tak niewiele zmieni. Zwolennicy „łomotu" nie przestaną słuchać nagrań grupy Deep Purple, a Janusz Łętowski nie porzuci Beethovena dla Springsteena. Proszę jednak o odrobinę tolerancji. Wśród melomanów są tacy, których nudzą koncerty fortepianowe i drażni brzmienie skrzypiec. Czy mogą jednak na tej podstawie dyskwalifikować całą muzykę poważną?

Niech więc zwolennicy muzyki „lepszej" słuchają Bacha, Schuberta i innych mistrzów, a ja nastawię płytę z nagraniem grupy The Rolling Stones, gdzie Mick Jagger śpiewa: „Wiem, że to tylko rock and roll... Ale mi się podoba!".

GRZEGORZ WALENDA

Polemiki • Listy • Opinie

KOMISJA OCENIŁA PRACĘ POGOTOWIA

Niniejszym powiadamiam Obywatela Redaktora, że Komisja powołana przeze mnie Zarządzeniem Wewnętrznym Nr 3/85 z dnia 14 lutego 1985 r., dokonała analizy pracy Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego i opracowała wnioski końcowe następującej treści:

„— Na podstawie przedstawionych dokumentów, informacji i opinii wspartych obserwacją praktycznej działalności WSPR i wybranych Oddziałów Pomocy Doraźnej Komisja ustala:

1. Przy istniejącej i pogłębiającej się dysproporcji między szybko wzrastającym zapotrzebowaniem na świadczenia pogotowia ratunkowego i oddziałów pomocy doraźnej a potencjałem jakim dysponuje WSPR oraz w istniejących strukturach — Wojewódzka Stacja Pogotowia Ratunkowego nie może w pełni sprawnie realizować wszystkich zadań, a tym bardziej oczekiwań społecznych.

Istnieje pilna potrzeba szczegółowej analizy i korekty struktur organizacyjnych systemu pomocy doraźnej na terenie województwa łódzkiego oraz stałego doskonalenia kontroli wewnętrznej i funkcji WSPR.

2. Uwzględniając uwarunkowania wymienione powyżej Komisja uznaje, że zarządzanie Wojewódzka Stacją Pogotowia Ratunkowego nie budzi istotnych zastrzeżeń tym niemniej dostrzega potrzebę usunięcia przedstawionych w protokole niedociągnięć a szczególnie zwiększenia skuteczności kontroli wewnętrznej".

Jednocześnie informuje, że w oparciu o wyniki prac Komisji oraz ustalenia Wydziału zostały wydane stosowne polecenia Dyrektorowi Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego mające na celu usprawnienie funkcjonowania i zarządzania Stacją.

Główny Lekarz Wojewódzki
Dyrektor Wydziału
RYSZARD MACHNIKOWSKI

„RYCZ, MAŁA RYCZ"

Uważni Czytelnicy naszej stałej rubryki „Polemiki, listy, opinie" zwrócili zapewne uwagę na zamieszczony w jednym z poprzednich numerów gazety tekst pana Henryka Jankowskiego z Warszawy, któremu niewiele przypadło do gustu w moim minireportażu „Rycz mała, rycz..." będącym relacją z wyborów łódzkiej miss.

Drogi panie Henryku! Przede wszystkim mam wrażenie, że nie zapoznał się pan z tekstem zamieszczonym obok w tymże egzemplarzu „Odgłosów", a będącym zaiste peanem ku czci łódzkich (i nie tylko) dziewczyn, sławiącym ich urodę, wdzięk i bezpretensjonalność. Z pewnością byłby Pan usatysfakcjonowany...

Panienki autentycznie były „sinonogie", co Pan zręcznie wychwycił, a że nie zjawiły się te najładniejsze? Nie wierzę, (i Pan chyba także) by odstraszały je docinki z sali, niezbyt sympatyczna atmosfera, jaka wytworzyła się wokół całej imprezy. Tych efektownych, inteligentnych, długonogich etc. naprawdę wybory miss nie interesują. Po prostu. Może hołdy oddawane ich urodzie wolą w wydaniu indywidualnym? A może zdają sobie sprawę, że „Gdy potrzebne są igrzyska, niech to będzie choćby „misska"?...

I jeszcze jedno. Myślę, że zgoła zbędna jest przy tego typu temacie „odwaga publicystyczna" i „pogłębione obserwacje" — nie dorabiajmy na siłę ideologii do spraw, które w takim jak dotychczas wydaniu mogą jedynie śmieszyć. Choć w wielu budzi się wówczas święte oburzenie, ale — jak mawiał mistrz Sztaudynger — „Najbardziej nadęci — kastraci i impotenci".

Faktem jest również, że nasi południowi sąsiedzi dopracowali się rzetelnej gastronomii (i nie tylko). Ale oni podobnych jak nasze, rodzime wybory imprez nie organizują. Może nie jest im to niezbędne do szczęścia...

— z poważaniem
D. Dorożyński

KOMUNIKACJA I PASAŻEROWIE

25 marca br. miałem bardzo ważne spotkanie w Warszawie. Będąc przezorny, dzień wcześniej wykupiłem bilet na pociąg pośpieszny relacji Łódź Fabryczna — Warszawa, odjeżdżający o godzinie 7.50.

Wstałem rano. Przygotowałem dziecku śniadanie, wyszykowałem do szkoły. Mając przykre doświadczenia z naszą komunikacją miejską postanowiłem wyjechać o godzinę wcześniej z domu. Normalnie trasę tę tramwaj linii nr 4 przejeżdża w ciągu 25 minut.

Na krańcówce akurat tramwaju nie było. Czekam 10 minut. Pytam dyspozytora o przyczynę opóźnienia. Wzruszenie ramion — nic nie wie. Co robić?

Wsiadam do „18". Wszakże będę miał dogodne połączenie od skrzyżowania z ul. Promińskiego. Z daleka widzę nadjeżdżający tramwaj linii nr 29. Awaria. Tramwaj pusty. Przebiegam na drugą stronę ulicy i wsiadam w zatłoczoną „22". Spoglądam na zegarek. Zdążę. Mam 25 minut do odjazdu pociągu.

Na wiadukcie, za skrzyżowaniem z ul. Armii Czerwonej przymusowe czekanie. Drzwi zamknięte. Żadnej informacji. Wreszcie po dziesięciu minutach oczekiwania ruszamy z miejsca. Odetchnąłem z ulgą. Przedwcześnie. Niedaleko ujechaliśmy, zaledwie do ul. Narutowicza. Przesiadka w biegu na tramwaj linii „9". Ludzie psioczą. Wiadomo, każdy gdzieś spieszy, ma obliczony czas co do minuty: do pracy, szkoły, na inne połączenie, pociągi. W pośpiechu szukają dogodnego dla siebie innego środka komunikacji miejskiej.

Tramwaj prowadzi kobieta w średnim wieku, umundurowana przepisowo w bereciku na głowie. Jedzie jak „wozem konnym".

— Nie może pani nieco przyspieszyć — spóźnię się na pociąg. Milczenie.. może niemowa?

Przystanek przy pl. Dąbrowskiego. Stoimy za tramwajem. Pozostało mi zaledwie kilka minut do odjazdu pociągu. Decydują sekundy.

— Proszę bardzo o otworzenie mi drzwi — przesiądę się na tramwaj stojący przed nami — błagalnie proszę.

Milczenie...

Zdenerwowany mocno, wysiadam na następnym przystanku. Szybko biegnę, jak tylko mogę na dworzec PKP. Widzę „4" ruszającą z przystanku. Trzeba było jednak zaczekać na krańcówce — myślę sobie. Peron Dw. Fabrycznego. Oddalające się wagony. Ktoś w biegu wskakuje do wagonu. Nie ryzykuję. Wracam na postój taksówek. Taxi do Koluszek w pogoni za odjeżdżającym pociągiem pośpiesznym. Udało się, zdążyłem na czas do Warszawy.

Powrót do Łodzi bez przeszkód i przygód. Z okien mojego mieszkania, z wieżowca położonego tuż przy pętli tramwajowej zaczynam baczniej obserwować ruch komunikacyjny przyjeżdżających i odjeżdżających tramwajów linii „2", „4", „18".

Na podstawie własnych obserwacji, pasażerów korzystających z tych linii tramwajowych można wysnuć taki wniosek, że dyspozytornia ruchu nr 8, zatrudniem tam fachowcy, nie mają żadnego wpływu na punktualność i częstotliwość przyjeżdżających i odjeżdżających tramwajów. Chodzą „stadami". Raz jest zupełnie pusto na krańcowce, innym razem nie mogą się pomieścić. Tak w kółko na obwodnicy...

Wiem, wiem, że otrzymam odpowiedź, iż z przyczyn obiektywnych, subiektywnych, istniejących trudności technicznych et caetera... nie jesteśmy w stanie poprawić, wymagać punktualności kursowania środków komunikacji miejskiej. Być może w sprawozdaniach „papierkowych" dyspozytorów, kontrolerów ruchu — wygląda zupełnie inaczej.

Ale czy to usatysfakcjonuje mnie, inne osoby narażone z tego powodu na różnego rodzaju straty finansowe, moralne i stresy? Rzecz drobna, lecz jakże dokuczliwa na styku komunikacja—pasażer. Ech, gdzie się podziały te dobre zwyczaje i czasy — wzdychamy sobie.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

„ŚWIATOWIDA" NIE BYŁO W „CENTRALU"

W numerze 8 z dnia 1985.02.23 w artykule pt. „Raz w roku w Centralu" autoryzowanym przez Ob. red. Romana Kubiaka została zamieszczona notatka stawiająca naszą Spółdzielnię w co najmniej dziwnej sytuacji.

Nieprawdą jest, jakoby pracownicy naszej Spółdzielni stanowili tych pogardliwie nazwanych przez Redaktora „bramkarzy". Bowiem Spółdzielnia nasza nie świadczy usług dozoru mienia w „Centralu" i nigdy nie świadczyła.

Dziwne to twierdzenie Redaktora Kubiaka o emerytach zatrudnionych w naszej Spółdzielni. Spółdzielnia nasza jest jedną z przodujących w kraju, a w zakresie usług strzeżenia jedyna w Łodzi. Prawdą jest, że zatrudniamy emerytów, rencistów i inwalidów, jednakże ci sami ludzie wypracowali sprzedaż zamykającą się cyfrą pół miliarda złotych w ubiegłym roku.

W związku z powyższym Redaktor Kubiak podejmując temat reportażu winien najpierw sprawdzić jakie przedsiębiorstwo zatrudnia tych tzw. „bramkarzy".

Z uwagi na okoliczności podane powyżej wnosimy o zadośćuczynienie w postaci zamieszczenia sprostowania i przeprosin całej załogi w ilości 2800 osób w Waszym tygodniku.

Oczekujemy odpowiedzi.

ZYGMUNT PIĘTEK
(Prezes Zarządu)
JAN LEŚNIEWICZ
(I sekretarz POP)
Podpis nieczytelny
(Przedstawiciel Rady Nadzorczej)

OD REDAKCJI: Reportaż Romana Kubiaka „Raz w roku w Centralu" miał charakter żartobliwy, satyryczny. Do lektury takiego tekstu niezbędne jest poczucie humoru. Mamy nadzieję, że większości załogi „Światowida" nie zabrakło tego poczucia humoru. Wszyscy na ogół lubimy żartować. Najczęściej jednak lubimy, kiedy żartuje się z innych, a nie z nas. W taki właśnie sposób zareagowano w „Światowidzie". Czy nie lepiej pośmiać się zamiast obrażenia.

WYZNANIE WIARY NATURALISTY

Widzów programu telewizyjnego dzielić można różnie; także na takich, którzy oglądają wszystko „jak leci", a w czynności tej przypominają śpiących i śniących (nieważne co, byleby na kolorowo) oraz na takich, którzy włączając odbiornik traktują go jako środek informacji, chcą się czegoś dowiedzieć. I tylko dla tych drugich — myślę — przeznaczony był kilkunastoodcinkowy serial brytyjskiej TV pt. „The Ascent of Man", w którym Jacob Bronowski prezentował swój własny pogląd na sprawę w końcu najważniejszą dla rodzaju ludzkiego: nasze kulturowe powstanie i cywilizacyjną ekspansję. W oczekiwaniu na książkową edycję tego pasjonującego materiału odnotujmy pojawienie się w księgarniach innej pracy Bronowskiego pt. „Źródła wiedzy i wyobraźni", w przekładzie Stefana Amsterdamskiego. Twierdzę, że powinien zapoznać się z nią każdy, komu bliskie, a przynajmniej nieobce są problemy naukowego porządkowania świata.

Na książkę składają się wykłady ogłoszone przez autora w Uniwersytecie Yale, w których Jacob Bronowski pragnął kontynuować program Kanta i pokazać „w jaki sposób ludzkie zwierzę świat widzi". Nie ma powodów do niepokoju: idzie rzeczywiście o „zwierzę", lecz o takie szczególne, mianowicie, na rozwój którego decydujący wpływ miała już nie natura, lecz kultura właśnie (pozostańmy przy tym stereotypowym rozróżnieniu, nie wdając się w dodatkowe wyjaśnienia).

Jacob Bronowski jest więc naturalistą wyzbytym wszakże naiwności XVIII-wiecznych paryskich „filozofów", o dzisiejszych etologach nie wspominając. Ukazując biologiczny rodowód człowieka i jego sensoriów, ani na chwilę nie zapomina, że mówi o człowieku właśnie, a nie o obdarzonym powonieniem posągu Condillaca. Akcentuje charakterystyczną tylko dla naszego rodzaju umiejętność posługiwania się językiem symbolicznym o zadziwiającej zdolności przekazywania wiedzy, a nie sygnałów jedynie. „Na początku było zdanie" — mówi Bronowski, gdyż wedle niego ludzkość wyzwoliła się ze zwierzęcości, abstrahując z animalnego zdania-sygnału wyrazy i pojęcia „oznaczające albo przedmioty świata zewnętrznego, albo czynności". Wreszcie wyobraźnia i metafora w poznawczej racjonalizacji świata. To wyobraźnia pełni — zdaniem autora — kreacyjną rolę w tworzeniu sztuki i nauki, a więc sposobów w jakie ludzie interpretują, czyli mediatyzują swój świat.

Cóż to więc jest nauka i sztuka? Niestety o mechanizmach tworzenia tej ostatniej Jacob Bronowski nie zdążył napisać. A o nauce?... To zdumiewające, jak o największych odkryciach ostatnich stu lat, odkąd naukowa myśl europejska doznała niebywałej akceleracji, Bronowski opowiada kierując się jak gdyby Kartezjańską dyrektywą tzn. „jasno i wyraźnie". Nauka, czy szerzej, wiedza to w symbolicznym języku wyrażany zabieg na przyrodzie. Jest ona jednością (Bronowskiego obraz świata przypomina niekiedy Spinozę czy Leibniza) i „każde zdarzenie we Wszechświecie związane jest ze wszystkimi innymi zdarzeniami". Nie możemy uchwycić ich wszystkich naraz, ale możemy dzielić na interesujące i nieinteresujące z danego punktu widzenia. Dekodujemy jedynie fragment „kryptogramu przyrody" narzucając nasz własny sens interpretacyjny. Nie udałoby się tego zrobić — twierdzi Bronowski — bez udziału wyobraźni. Dzięki niej możemy rewidować stare „cięcia", stare wyjaśnienia i metafory, na rzecz nowych, szerszych, bardziej uniwersalnych. Bowiem w naukowej kulturze Europy dążenie do wykończonego, zamkniętego systemu teoretycznego bez ustanku taranscendowane jest w kierunku otwarcia na nowe zdarzenia nie mieszczące się w dotychczasowym systemie. A jednak żadne z naszych wyjaśnień nie może być prawdziwe absolutnie (Bronowski: „nic z tego co tu mówię nie będzie już zapewne słuszne za dziesięć lat", albo „dostępna nam prawda, nigdy nie jest ostateczna"). Związane to jest z ograniczeniem najbardziej niezawodnego symbolizacyjnego języka opisującego rzeczywistość, tj. z ograniczonością matematyki. Gödel, Tarski, Russell — by wymienić tylko nazwiska najbardziej niefachowcom znane — dowiedli mianowicie, że nie można stworzyć wyczerpującego, zamkniętego systemu teoretycznego, lub mówiąc słowami autora: „niemożliwy jest kompletny język nauki"). Jeśli tak — to na jej terenie „anything goes" — „wszystko jest dozwolone" — chciałoby się powtórzyć za Feyerabendem i Jacob Bronowski ze swoją kreatywną koncepcją wiedzy pewnie przystałby na to. Tylko bowiem człowiek — podkreśla uczony — a nie mechanizm w postaci np. maszyny cyfrowej jest w stanie tworzyć, tzn. zamykać i otwierać systemy. Tylko poprzez błąd możliwy jest ruch ku prawdzie, która w ewolucjonistycznym systemie autora także okaże się w przyszłości błędem.

A może poprzez nieustanne przesuwanie granic systemów, poprzez ciągłe zmiany ludzkiego obrazu świata zatrze się wreszcie utrapienie filozofów (z wyjątkiem najbardziej zarozumiałych, jak Hegel), którym jest uporczywy hiatus między faktem a wartością, bytem i powinnością? Jakoż Bronowski rozziew ów, w swoim mniemaniu, zlikwidował. Powiada, że przezwyciężył błąd naturalistyczny Moore'a, ponieważ „powinność podyktowana jest przez faktyczność rzeczywistego procesu zdobywania wiedzy". Innymi słowy, sam proces dochodzenia do prawdy, jego ethos: „uczciwość, rzetelność, godność, autentyczność stanowiące spoiwo społeczności naukowej", jest dla Bronowskiego wystarczającym medium między sein i sollen. A to już jest naiwność. Że prawda jest naczelnym celem „mężów uczonych" — to oczywiste. Dziwić natomiast musi fakt, że w epoce, która swą złowrogość w tak dużej mierze zawdzięcza nauce, dążenie do k a ż d e j prawdy przedstawia Bronowski tak samo nieproblematycznie. To już oczywiste nie jest. Słusznie więc w zwięzłym, lecz wyczerpującym wstępie do wykładów Bronowskiego, Stefan Amsterdamski wychwycił wszystkie mielizny i wątpliwości wynikające z nich.

Nauka jest największą przygodą człowieka w spotkaniu ze światem i widać fascynację Bronowskiego tą przygodą. Warto i należy dzielić ją z nim pamiętając przy tym, że jeśli rozum ludzki „ma nie zginąć" — w co autor wierzy — to powinien spoglądać nie tylko na efekty swej działalności, ale przede wszystkim na siebie samego.

MAREK STYCZYŃSKI

Jacob Bronowski, „Źródła wiedzy i wyobraźni". przełożył i wstępem poprzedził Stefan Amsterdamski. Warszawa 1984.

KOMUNIKAT

Rektorat Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi zawiadamia, że w roku akademickim 1985/86 odbędą się przyjęcia kandydatów na następujące wydziały studiów stacjonarnych:

1. Wydział REŻYSERII FILMOWEJ i TELEWIZYJNEJ
2. Wydział OPERATORSKI i REALIZACJI TELEWIZYJNEJ
3. Wydział AKTORSKI
4. WYŻSZE STUDIUM ZAWODOWE ORGANIZACJI PRODUKCJI FILMOWEJ i TELEWIZYJNEJ

Warunkiem dopuszczenia kandydata do egzaminu wstępnego jest złożenie odpowiednich dokumentów oraz prac twórczości własnej: filmy, fotografie, utwory literackie, prace plastyczne (nie dotyczy Wydziału Aktorskiego i Wyższego Studium Zawodowego Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej).

Szczegółowych informacji udzielają poradnie konsultacyjne działające przy:

— Wydziale Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej
poniedziałki i piątki w godz. 14.00—16.00
— Wydziale Operatorskim i Realizacji Telewizyjnej
wtorki i piątki w godz. 15.00—17.00
— Wydziale Aktorskim
poniedziałki i soboty w godz. 16.00—18.00
— Wyższym Studium Zawodowym Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej
poniedziałki i czwartki w godz. 12.30—13.30
oraz dodatkowo w środy w godz. 10.00—13.00 w Zespole Filmowym „PERSPEKTYWA" Warszawa ul. Puławska 61.

Przewidywany termin egzaminów wstępnych: 10—29 czerwca 1985 r.

Tegoroczni absolwenci szkół średnich składają dokumenty o przyjęcie na I rok studiów poprzez Szkolne Komisje Rekrutacyjne, zaś maturzyści z lat ubiegłych oraz absolwenci wyższych uczelni bezpośrednio do Sekretariatu Uczelni pod adresem: 90-323 Łódź, ul. Targowa 61/63, tel. 36-39-44.

Termin składania podań na rok akademicki 1985/86 upływa z dniem 31 maja 1985 roku.

ROZSTRZYGNIĘTO KONKURS

Dn. 85.03.14 w gmachu PWSSP w Łodzi obradowało Jury Ogólnopolskiego Konkursu Plastycznego na Książkę dla Dzieci zorganizowanego przez Stowarzyszenie Twórców Kultury przy współudziale Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i PWSSP w Łodzi w następującym składzie:

Wojciech Karolak — przewodniczący, Zdzisław Jaskuła — sekretarz, Bogusław Balicki, Iwona Bartosik, Jolanta Barącz, Zofia Kobyłecka, Mirosław Maicharek, Paweł Markowski i Jerzy Treutler — członkowie.

Na konkurs napłynęły 54 prace.

W związku z brakiem pracy jednoznacznie wyróżniającej się, jury zdecydowało się nie przyznawać I nagrody, a zachowując pulę nagród rozdzieliło je w następujący sposób:

— dwie równorzędne II nagrody w wys. po 30.000 zł otrzymali: **Bohdan Butenko z Warszawy i Zdzisław Olejniczak z Łodzi,**

— jedną III nagrodę w wys. 20.000 zł otrzymał **Wiesław Smętek z Gdańska,**

— cztery wyróżnienia w wys. po 10.000 zł otrzymali: **Maciej Fronczak z Warszawy, Zdzisław Olejniczak z Łodzi, Wiesław Smętek i Wojciech Kołyszko z Gdańska oraz Dorota Woyko z Warszawy.**

Poza nagrodami regulaminowymi przyznane zostało wyróżnienie honorowe dla **Andrzeja Renesa z Warszawy** za szczególne walory społeczno-humanitarne jego pracy (książka przeznaczona dla dzieci niewidomych).

Ponadto jury zakwalifikowało 11 dalszych prac autorów z Gdańska, Łodzi, Warszawy, Wrocławia i Sopotu do wystawy pokonkursowej, która odbędzie się w dn. 01.06.85 r. w Galerii PWSSP w Łodzi.

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

(1)

Myśliwcy nocni

Czyba żaden z dywizjonów Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii — podczas drugiej wojny światowej — nie doznał tylu niepowodzeń i nie pokonał tylu trudności w czasie formowania i szkolenia, co 307 Dywizjon Myśliwski Nocny Lwowskich Puchaczy, zwany po angielsku: 307 Polish Night Fighter Squadron, który zresztą był jedyną polską jednostką tego rodzaju.

W bazie lotnictwa polskiego w Blackpool — 24 sierpnia 1940 roku — wytypowano skład personelu latającego i technicznego oraz dowódcę przyszłego dywizjonu: kpt. pil. Stanisława Pietraszkiewicza, którzy już 5 września znaleźli się na lotnisku Kirton in-Lindsey, usytuowanym dwadzieścia sześć kilometrów na północny-zachód od Lincoln stolicy hrabstwa Lincolnshire, gdzie mieli rozpocząć szkolenie na jednosilnikowych samolotach myśliwskich, typu Boulton Paul „Defiant" Mk. I, wycofanych z myśliwskiego lotnictwa dziennego, a nie przystosowanych do operacji nocnych. Dywizjon 307 był pierwszą nocną jednostką w RAF, wyposażoną w te samoloty, które stały się przyczyną początkowych niepowodzeń.

Defianty, rozwijające prędkość do czterystu osiemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, zabierały na pokład dwuosobową załogę: pilota i strzelca, dysponującego czterema sprzężonymi karabinami maszynowymi, umieszczonymi w obrotowej wieżyczce, znajdującej się z tyłu kabiny załogi i strzelającymi tylko do tyłu. W przodzie samolot nie posiadał żadnego uzbrojenia, co najbardziej nie podobało się pilotom, ponieważ podczas walki powietrznej pilot był tylko kierowcą samolotu, słuchając poleceń strzelca, dotyczących takiego manewrowania samolotem, aby umożliwić strzelcowi ostrzelanie celu. Wytrawnym pilotom myśliwskim nie podobała się taka rola, więc odchodzili do dziennych dywizjonów myśliwskich, gdzie mogli wykazać się zdolnościami bojowymi. Już 14 października 1940 r. odeszło dwunastu pilotów na uzupełnienie brytyjskich dziennych dywizjonów myśliwskich oraz do słynnego polskiego dywizjonu 303, a następnego dnia w tym samym celu pożegnał dywizjon „Puchaczy" jego dowódca, kpt. pil. Stanisław Pietraszkiewicz. Dowództwo dywizjonem tymczasowo powierzono mjr. pil. Kazimierzowi Benzowi.

Wkrótce do dywizjonu 307 przybyli nowi piloci i zaczęło się intensywne szkolenie na defiantach. Początki nie były łatwe. Szczególnie ostatnie dni października obfitowały w wypadki. Feralną ich serię rozpoczął plut. pil. Stanisław Grondowski który ładując w nocy 22 października, rozbił samolot o przeszkody terenowe przy lotnisku. Zaś 30 października, ppor. pil. K. Kaźmierczuk i plut. pil. Mieczysław Adamiecki, powracający z lotniska Digby, zabłądzili, a tym samym przedłużyli czas lotu i skończyła się benzyna w pobliżu miejscowości Hull. Zmuszeni do skoku ze spadochronami, połamali sobie nogi. Nazajutrz, wchodzący do samolotu plut. pil. Juliusz Bilau, ześliznął się ze skrzydła i spadając na ziemię też złamał nogę, a plut. pil. Stefan Wójcik 1 listopada, a więc w dniu następnym — zakończył niefortunne lądowanie poza pasem startowym, rozbijając swój samolot i uszkadzając drugi.

Dowództwo 9 Grupy Myśliwskiej — której podlegał dywizjon „Puchaczy" — skonstatowało, że szkolenie nowo powstającego dywizjonu na lotnisku Kirton-in-Lindsey, położonym w pobliżu szlaków nowietrznych niemieckich bombowców, jest zbyt ryzykowne, więc postanowiło przebazować jednostkę gdzie indziej. W pierwszych dniach listopada 1940 r. przeniesiono dywizjon na wyspę Man, na Morzu Irlandzkim, gdzie w pobliżu miasta Douglas znajdowało się lotnisko Jurby na którym dywizjon 307 mógł kontynuować szkolenie. Niestety, nowe lotnisko okazało się jeszcze gorsze i niebezpieczniejsze od poprzedniego, lecz z innych powodów. Padające jesienią w tym rejonie intensywne deszcze zamieniały rozmokłe i grząskie pole wzlotów w kałuże, a starty i lądowania stały się niezwykle uciążliwe i wręcz niebezpieczne, ponieważ rozpędzone samoloty ślizgały się w błocie, rozpryskując fontanny wody. Nie nadawało się również do lotów nocnych, gdyż tylko niektóre przeszkody terenowe wokół lotniska posiadały światła ostrzegawcze. Komendant bazy — w trosce o bezpieczeństwo lotników, często zawieszał loty, a dowódca dywizjonu — mjr. pil Benz bezskutecznie apelował w dowództwie brytyjskim o zmianę lotniska.

W połowie listopada nastąpiły radykalne zmiany w dywizjonie, którego dowództwo objął młody, ale energiczny oficer, doświadczony instruktor oblatywacz i dowódca eskadry w przedwojennym pierwszym pułku lotniczym — trzydziestopięcioletni kpt. pil. Stanisław Grodzicki, posiadający dwunastoletni staż w lotnictwie. Opracował on nowy program szkolenia załóg i zmienił personel dywizjonu, wymieniając przede wszystkim pilotów. Słabsi piloci musieli odejść z dywizjonu, a na ich miejsce przyszli młodzi ochotnicy, po szkołach lotniczych, pełni zapału do latania. Rozpoczęto treningowe loty nocne. Szkolenie na defiantach zakończono w pierwszych dniach grudnia i dywizjon osiągnął pełną gotowość bojową.

Na początku stycznia 1941 r. dowództwo brytyjskie postanowiło sprawdzić przydatność załóg „Puchaczy" do zadań bojowych, polecając dowódcy dywizjonu przysłanie pięciu załóg na lotnisko Squires Gate pod Blackpool, aby uczestniczyły w patrolach nocnych. Samoloty wyposażono w nowe radiostacje, nieznane dotąd polskim lotnikom. W nocy z 9/10 stycznia, o godzinie 23.25 wystartowały z lotniska Squires Gate dwie polskie załogi na defiantach: kpt. pil. Stanisław Grodzicki wraz z por. obs. Lechem Karwowskim i plut. pil. Antoni Joda z kpr. strzel. pokł. Wiktorem Gandurskim. Zadanie załóg polegało na jednogodzinnym patrolowaniu rejonu miejscowości Formby, na wysokości trzech i pięciu tysięcy metrów. Po krótkotrwałym locie okazało się, że całkowite zachmurzenie nieba utrudnia wykonanie zadania, więc kpt. pil. Grodzicki prosił ośrodek kontroli o zezwolenie powrotu na lotnisko i po otrzymaniu zgody wylądował. Tymczasem druga załoga, mająca prawdopodobnie kłopoty z radiostacją, meldunku nie odebrała, a na domiar złego pilot stracił orientację i zamiast lecieć na północ, poleciał w kierunku południowo-wschodnim. Gdy znalazł się w pobliżu Zatoki Cardigan wyczerpujące się paliwo zmusiło plut. Jodę do przygodnego lądowania. Pilot dostrzegł wąską, piaszczystą pas plaży, na którym osadził maszynę, nie wiedząc, że owa plaża znajduje się około metra pod wodą. Kiedy samolot dotknął kołami wody, wywrócił się „na plecy", dociskając swym ciężarem kabinę załogi, w której obaj lotnicy ponieśli straszną śmierć przez uduszenie się w wodzie, zalewającej wnętrze samolotu. Ten pierwszy poważniejszy wypadek wywarł przygnębiające wrażenie na pozostałych „Puchaczach".

Wielokrotne apele kpt. pil. Grodzickiego do brytyjskich przełożonych o zmianę lotniska, z powodu fatalnego stanu pola wzlotów bazy w Jurby uwieńczone zostały decyzją przeniesienia dywizjonu na lotnisko Squires Gate, położone w południowo-zachodniej części Blackpool, dokąd dywizjon przybył 23 stycznia 1941 r. Załogi naprowadzane z ośrodków dowodzenia, latały na patrolowanie obszaru powietrznego nad miastem Liverpool i Manchester. Mimo starannego wyszkolenia i wysokich kwalifikacji lotników, długo nie osiągano upragnionych zwycięstw. W dodatku dowództwo 9 Grupy Myśliwskiej zarzucało Polakom niezdyscyplinowanie, zbyt wiele uszkodzeń samolotów, trudności językowe przeszkadzające w korespondencji radiowej, prowadzonej tylko w języku angielskim. Twierdzono również, że lotnicy polscy nie nadają się na nocnych myśliwców i nie można liczyć na szybkie włączenie się dywizjonu 307 do walki. Sugerowano nawet wyposażenie dywizjonu w myśliwskie samoloty jednomiejscowe i skierowanie do działań lotnictwa dziennego. Na lotnisko Squires Gate przybył 10 marca polski oficer łącznikowy przy Fighter Command (Lotnictwie Myśliwskim), płk. pil. Stefan Pawlikowski, aby sprawdzić te zarzuty.

Po wizycie płk. pil. Pawlikowskiego „Puchacze" poczuli się dotkliwie upokorzeni i ujęci ambicją, postanowili pokazać, że nie tylko nadają się na nocnych myśliwców, ale potrafią też walczyć. Już w nocy z 12/13 marca, o godzinie 21.55 wystartował defiant z załogą: kpr. pil. Kazimierz Jankowiak i kpr. strzel. pokł. Jerzy Karaś, lecąc na patrolowanie obszaru Formby-Denbigh, nad Zatoką Liverpoolską. Nad miejscowością Ruthin „Puchacze" dopadli i ostrzelali niemieckiego heinkla He-111, lecz dowództwo 9 Grupy Myśliwskiej uznało załodze tylko uszkodzenie nieprzyjacielskiego bombowca. Następnej nocy z 13/14 marca, o godzinie 23.42 wystartowali na defiancie nr N3439, na patrol rejonu położonego na północ od Formby, por. pil. Maksymilian Lewandowski oraz kpr. strzel. pokł Marian Niewolski. Około godziny 0.50 strzelec dostrzegł dwusilnikowy samolot bez świateł pozycyjnych, okazało się, że to heinkel He-111, z którym stoczono walkę powietrzną. Strzelec defianta z broni pokładowej trafił w prawy silnik i przednią część kadłuba niemieckiego bombowca który znurkował w dół. Tym razem załodze zaliczono prawdopodobnie zestrzelony samolot niemiecki. Chociaż to nie był jeszcze sukces, jakiego oczekiwali lotnicy polscy. Brytyjczycy powoli zmieniali zdanie o załogach 307 dywizjonu, wierząc, że potrafią walczyć nawet nocą, a dowódca dywizjonu kpt. pil. Grodzicki awansował do stopnia majora.

Po dwóch miesiącach nastąpiła ponowna zmiana lotniska. Nowym miejscem postoju dywizjonu Lwowskich „Puchaczy" było lotnisko Colerne, usytuowane na południowy wschód od Bristolu, a jednostka weszła w skład 10 Grupy Myśliwskiej. Fatalna pogoda przez kilka dni uniemożliwiała wykonywanie lotów, ale w pierwszej dekadzie kwietnia znacznie się poprawiła. Nocą z 12/13 kwietnia, o godzinie 1.15 wystartował defiant nr N3315, z eskadry „A", z załogą: plut. pil. Kazimierz Jankowiak i kpr. strzel. pokł. Józef Lipiński, lecąc patrolować linię „Milk C". Nad chmurami zasnuwającymi ziemię, zauważono heinkla He-111. Pilot znurkował na pełnym gazie, doganiając nieprzyjaciela, po czym tak ustawił się samolotem, aby umożliwić atak strzelcowi. Walka odbywała się nad miejscowością Lydlinch Dorset, na wysokości czterech tysięcy metrów. Kpr. Lipiński oddał dwie celne serie, ze swoich czterech karabinów maszynowych, trafiając heinkla w przednią i środkową część kadłuba. Przelatując obok niemieckiego bombowca, załoga defianta widziała odrywające się i spadające części pokrycia kadłuba heinkla oraz krótkie detonacje w środkowej części samolotu, który gwałtownie znurkował, eksplodując po zderzeniu z ziemią. W kilka minut później posterunki obserwacyjne zameldowały stanowisku dowodzenia w Filton, że w okolicy miejscowości Sherborne, odległej około czterdziestu kilometrów na południe od Bristolu, spadł niemiecki bombowiec He-111 i eksplodował na ziemi. Było to pierwsze zwycięstwo dywizjonu „Puchaczy", a zestrzelony He-111, pierwszym niemieckim samolotem, zestrzelonym przez lotników polskich w nocy. Obaj lotnicy — Jankowiak i Lipiński odznaczeni zostali Krzyżami Walecznych.

Tylko miesiąc dywizjon stacjonował na lotnisku Colerne bo już 26 kwietnia przebazowano go na lotnisko Exeter, oddalone około sześciu kilometrów na północny wschód od stolicy hrabstwa Devon—Exeter, aby przez dwa lata bronił południowo-zachodnich wybrzeży Anglii, a szczególnie rejonu i miasta Exeter. Niespodziewany nalot niemieckiej Luftwaffe zaskoczył lotnisko w nocy z 8/9 maja, które Niemcy bombardowali, ale bez większych szkód. Dopiero w w trzy dni później — w nocy z 11/12 maja — lotnictwo niemieckie powtórzyło atak na lotnisko Exeter, ze zwiększoną siłą, dużą grupą junkersów heinkli i messerschmittów, zarzucając je bombami i ostrzeliwując bez przerwy stojące na lotnisku defianty oraz stanowiska obrony przeciwlotniczej. Zdawało się, że to już początek końca dywizjonu 307. Tej nocy niemieckie bombowce zrzuciły około czterystu pięćdziesięciu bomb, z których około stu pięćdziesięciu spadło na lotnisko, a reszta w jego najbliższe okolice. Podczas tego nalotu, wykorzystując ogień pożarów, oświetlający pas startowy — pod gradem bomb — o godzinie 3.00 wystartowali na defiancie umiejętnie omijając leje po bombach: plut. pil. Jerzy Malinowski z kpr. strzel. pokł. Stanisławem Jarzembowskim. Na południe od lotniska dojrzeli uciekającego heinkla He-111 i po długotrwałym pościgu dogonili przeciwnika, około sześciu kilometrów na południe od miejscowości Exmouth. Kpr. Jarzembowski czterema krótkimi seriami swej broni pokładowej zestrzelił heinkla, który wpadł do morza. Było to ostatnie zwycięstwo osiągnięte na defiantach. Zaś mechanik, st. strz. Józef Śniegowski, który pomógł dzielnej załodze uruchomić silnik i wypchnąć samolot z płonącego miejsca na pas startowy, odznaczony został Krzyżem Walecznych, prawie niedostępnym dla żołnierzy personelu naziemnego.

Przepracowany mjr. pil Grodzicki w dniu 10 czerwca przekazał dowództwo dywizjonem energicznemu i przedsiębiorczemu, trzydziestoczteroletniemu kpt. pil. Jerzemu Antonowiczowi, dotychczasowemu dowódcy eskadry „B". Marzeniem nowego dowódcy było sprowadzenie do dywizjonu dwusilnikowych samolotów myśliwskich i uczynienie z dywizjonu „Puchaczy" najlepszej formacji myśliwskiej nocnej w całym RAF. Tymczasem załogi dywizjonu zajęte były intensywnym patrolowaniem kanału La Manche, lecz na razie bez żadnych rezultatów. Potem loty operacyjne zawieszono, przygotowując się do przejścia na doskonalszy sprzęt lotniczy. Wysłużone defianty pozostały na wyposażeniu dywizjonu do sierpnia, kiedy to po długotrwałych pertraktacjach, dowództwo 10 Grupy Myśliwskiej przydzieliło 307 dywizjonowi dwusilnikowe samoloty myśliwskie, typu Bristol „Beaufighter" Mk. IIF.

Bristol „Beaufighter" Mk. II F rozwijał prędkość do pięciuset trzydziestu kilometrów na godzinę i miał zasięg dwóch i pół tysiąca kilometrów, zabierając na pokład dwuosobową załogę: pilota i radionawigatora, obsługującego najnowocześniejszą pokładową stację radiolokacyjną typu AI Mk. IV (Aircraft Interception), udostępnioną dotychczas tylko lotnikom brytyjskim i nadal objętą ścisłą tajemnicą, do której był zobowiązany personel latający i techniczny, mający do czynienia z tą aparaturą. Dywizjon 307 był pierwszą jednostką, wyposażoną w tę rewelacyjną aparaturę. Jednak pilotom najbardziej podobało się uzbrojenie samolotu — sześć ciężkich karabinów maszynowych w skrzydłach oraz cztery działka dwudziestomilimetrowe w przodzie samolotu. Nareszcie piloci stali się prawdziwymi myśliwcami! Latając na tych trudnych i niepopularnych maszynach, lotnicy dywizjonu Lwowskich Puchaczy osiągnęli wspaniałe wyniki w walkach powietrznych.

Po dwumiesięcznym szkoleniu na beaufighterach dywizjon wystawił 15 października pierwsze trzy załogi do pogotowia bojowego. W tydzień później — 23 października — podczas lądowania zginął dowódca dywizjonu kpt. pil. Jerzy Antonowicz z radionawig. por. Lechem Karwowskim. Po śmierci kpt. pil. Antonowicza przez trzy tygodnie obowiązki dowódcy dywizjonu pełnił dowódca eskadry „B" — ppor. pil. Maksymilian Lewandowski, ponieważ wystąpiły trudności w znalezieniu kandydata na to stanowisko.

28 października, o godzinie 19.20 wystartowała załoga beaufightera: sierż. pil. Michał Turzański i plut. radionawig. Henryk Ostrowski, patrolując obszar powietrzny na północny zachód od Exeteru. W pobliżu miejscowości Okehampton spotkali samolot niemiecki. Był to dornier Do-217. Pilot oddał z broni pokładowej kilka serii i dornier zanurkował w chmury. Tym razem walka była nie rozstrzygnięta. Ale ta sama załoga poleciała w nocy z 1/2 listopada nad kanał La Manche, operując tam w godzinach od 21.40 do 23.40. Po półgodzinnym locie uszkodzenie radiostacji pokładowej zmusiło załogę do powrotu na macierzyste lotnisko, aby ją naprawić, po czym beaufighter ponownie wystartował na patrol. Wkrótce plut. Ostrowski zauważył dorniera Do-217. Pilot dogonił bombowca i zachodząc go od ogona, oddał serię strzałów. Samolot niemiecki w płomieniach runął do Kanału Bristolskiego. Nieco później załoga otrzymała z ziemi nowe zadanie. Tym razem trzeba było gonić za dornierem Do-217, który gnał na pełnych obrotach, aby jak najszybciej odlecieć z terytorium Anglii. Samolot Luftwaffe wyraźnie odbijał się na tle chmur. Sierż. Turzański przypikował, zniżając lot z około pięciu tysięcy do dwóch i pół tysiąca metrów, doganiając dorniera. Celna seria z broni pokładowej dosięgła bombowca, który eksplodując, rozleciał się w powietrzu. Załoga „Puchaczy" osiągnęła piękny wynik, zestrzeliwując podczas jednego patrolu dwa samoloty nieprzyjacielskie, rozpoczynając tym zwycięstwem serię udanych polowań na samoloty Luftwaffe.

Dopiero 13 listopada dowództwo 307 dywizjonu przyjął były dowódca eskadry „A" w 301 Dywizjonie Bombowym Ziemi Pomorskiej, kawaler Krzyża Virtuti Militari — mjr. inż. pil. Marceli Brejniak. W tym okresie Niemcy nękali całe brytyjskie małymi formacjami Luftwaffe bądź pojedynczymi samolotami, ale i tak dotkliwie dawali się Anglikom we znaki. Ostatnio bardzo często pojawiali się nad jednym z najważniejszych portów brytyjskich — Plymouth. Liczne naloty zniszczyły poważnie miasto. Wiele budynków legło w gruzach, a jeszcze więcej spłonęło. Mieszkańcy Plymouth przenosili się do innych miejscowości. Nowym zadaniem dywizjonu „Puchaczy" była obrona miasta i portu Plymouth.

Nocą z 23/24 listopada operowała załoga beaufightera: ppor. pil. Antoni Dziegielewski z ppor. radionawig. Mieczysławem Świerzem. Zauważony junkers Ju-88 uciekał ostrymi skrętami chowając się po drodze w chmurach. Zagrały kaemy i działka beaufightera, na co junkers odpowiedział salwą swojej broni pokładowej. Ale po drugiej serii pocisków ppor. Dziegielewskiego, samolot Luftwaffe rozbłysnął i Polacy wyraźnie widzieli opadające w dół części junkersa, lecz pilot beaufightera dla upewnienia się, oddał jeszcze kilka krótkich serii strzałów, po czym junkers, ciągnąc za sobą długi warkocz dymu i ognia, z tysiąca pięciuset metrów spadł prostopadle w dół i uderzając w ziemię eksplodował. Druga załoga: por. pil Marceli Neyder i sierż radionawig. Jan Woźny, tej samej nocy uszkodzili junkersa Ju 88.

Pięć dni później — 28 listopada — sierż. pil. Turzański i sierż. radionawig. Ostrowski zestrzelili kolejnego dorniera Do-215.

Początek roku 1942 był dla dywizjonu Lwowskich Puchaczy pechowy. Podczas lotów treningowych w lutym zginęły trzy załogi, a w kwietniu dwie. Złą passę przerwała załoga por. pil. Neyder i sierż. radionawig. Woźny, która zestrzeliła na pewno junkersa Ju-88, a załoga: sierż. pil. Władysław Iłłaszewicz i ppor radionawig. Zbigniew Lissowski zestrzeliła prawdopodobnie dorniera Do-215.

Jednak największego wyczynu w owym czasie dokonali lotnicy 307 dywizjonu w nocy z 3/4 maja. Kilka minut po pierwszej, z lotniska Exeter wystartowały trzy beaufightery, lecąc w kierunku południowo-wschodnim. Jeszcze samoloty polskie nie oddaliły się od lotniska, gdy nad miastem rozpoczął się nalot trzydziestu bombowców Luftwaffe, zarzucających miasto bombami burzącymi i zapalającymi. Miasto płonęło. Zniszczeniu uległo prawie całe śródmieście, a centrum zniknęło z powierzchni ziemi. W tym samym czasie w rejonie miasta operowali „Puchacze" na beaufighterach. Od godziny 1.05 znajdowała się w powietrzu załoga: sierż. pil. Władysław Iłłaszewicz i ppor. radionawig. Zbigniew Lissowski. Ośrodek naprowadzania w Exminster skierował załogę na niemieckie bombowce, lecące w kierunku Exeter. Na wysokości około dwóch i pół tysiąca metrów o godzinie 1.40 pilot dostrzegł junkersa Ju-88, zdążającego ku miastu. Załoga beaufightera chcąc uniemożliwić Niemcowi bombardowanie dogoniła napastnika zaledwie około dwudziestu pięciu kilometrów przed miastem. Liczyły się minuty. Pilot zbliżył się na odległość pięćdziesięciu metrów do junkersa i oddał jedną długą, ale celną serię z broni pokładowej. Lewy silnik junkersa stanął w płomieniach. Bombowiec poleciał jeszcze kilka kilometrów i nad miejscowością Topsham nastąpiła potężna eksplozja niemieckiej maszyny z bombami. Niecałe dwadzieścia minut później naprowadzono załogę beaufightera na dwa inne Ju-88. Do walki doszło o godzinie 2.17, na wysokości około dwóch tysięcy ośmiuset metrów. Wywiązała się strzelanina obu załóg: polskiej i niemieckiej. W trakcie dziesięciominutowej walki beaufighter, wskutek utraty prędkości, dwukrotnie wpadł w korkociąg, lecz mimo to pilot nie pozwolił uciec nieprzyjacielowi. Załoga junkersa broniła się desperacko, ale sierż. Iłłaszewicz celną serią pocisków zapalił lewy silnik bombowca, który spadł w płomieniach nad miejscowością Colyton. Po zestrzeleniu dwóch maszyn Luftwaffe, beaufighter musiał powracać na własne lotnisko z powodu braku amunicji. Dowódca 307 dywizjonu wystąpił z wnioskiem o odznaczenie sierż. pil. Władysława Iłłaszewicza Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari oraz brytyjskim Distinguished Flying Medal (Zaszczytnym Medalem Lotniczym), a ppor. radionawig. Zbigniewa Lissowskiego Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari i brytyjskim Distinguished Flying Cross (Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym). Należy nadmienić, że według regulaminu brytyjskiego, krzyż (DFC) otrzymywali tylko oficerowie, zaś podoficerom przysługiwał medal (DFM).

Druga załoga beaufightera: por. pil. Stanisław Andrzejewski i plut. radionawig. Stanisław Kaliszewski, około godziny 1.46 stoczyła walkę dwanaście kilometrów na wschód od zatoki Torbay, na wysokości około trzech tysięcy siedmiuset metrów. Ugodzony trzema seriami pocisków broni pokładowej Ju-88 wpadł do kanału La Manche. Zaś załoga „Puchaczy" z przestrzelonym kołem, szczęśliwie wylądowała na lotnisku Exeter.

Natomiast trzecia załoga „Puchaczy": por. pil Marceli Neyder wraz z plut. radionawig. Janem Woźnym, stoczyła walkę z niemieckim bombowcem Ju-88, około godziny 2.55, na wysokości trzech tysięcy metrów, dwadzieścia cztery kilometry od miejscowości Beer Head, posyłając junkersa celną serią do kanału La Manche.

Trzy załogi beaufighterów zestrzeliły tej nocy łącznie cztery samoloty niemieckie. Po tym pierwszym wspaniałym zwycięstwie, do dywizjonu napływały liczne depesze gratulacyjne m. in. od ministra lotnictwa brytyjskiego — sir Archibalda Sinclaira, od sztabu 10 Grupy Myśliwskiej, od inspektora Polskich Sił Powietrznych — gen Ujejskiego i od wielu innych osobistości. Na lotnisko Exeter przybył również brat króla Jerzego VI, aby pogratulować polskim myśliwcom nocnym wspaniałego zwycięstwa.

Na początku maja dywizjon przezbrajano w nowe samoloty znacznie nowocześniejsze i cieszące się popularnością pilotów RAF — typu Bristol „Beaufighter" Mk. VIF, na których „Puchacze" osiągali kolejne sukcesy. Nocą z 27/28 czerwca załoga sierż. pil. Michał Turzański i sierż. radionawig. Henryk Ostrowski, zestrzeliła jednego dorniera Do-217. Następnej nocy, tego samego typu samolot niemiecki zestrzelił por pil. Karol Rach i por. radionawig. Jan Mika, a dwie inne załogi: por. pil. Gerard Ranoszek wraz z sierż. radionawig. Trzaskowskim i sierż. pil. Wójczyński wraz z sierż. radionawig. Słuszkiewiczem, uszkodzili po jednym dornierze Do-217. Załoga: sierż. pil. Władysław Iłłaszewicz i por. radionawig Zbigniew Lissowski, w nocy z 1/2 lipca zestrzeliła kolejnego dorniera Do-217, lecz niedługo cieszyli się swoim ostatnim zwycięstwem bo już 18 lipca polegli śmiercią lotnika, w morzu.

Kolejnym dowódcą dywizjonu Lwowskich Puchaczy został przedwojenny oficer 1 pułku lotniczego, wsławiony lotami nad Niemcy w 300 Dywizjonie Bombowym Ziemi Mazowieckiej, posiadający Krzyż Virtuti Militari, czterokrotnie Krzyż Walecznych oraz Distinguished Flying Cross (DFC) — trzydziestotrzyletni kpt. pil. Jan Michałowski, który przejął stanowisko dowódcy 22 lipca.

C.D.N.

Były to szczególne rozliczenia. Nie zawierały żadnych danych o zakupach nieruchomości. Nie zawierały żadnych informacji o inwestycjach w papierach wartościowych. Jeżeli chodzi o dochody zarządów cmentarnych, to przynajmniej tu objawiły się oznaki świadczące o życiu pozagrobowym. Wpływy te mianowicie bardzo zmieniały się. Sześć miesięcy przed opublikowaniem sprawozdania Cody powiedział w zaufaniu swoim współpracownikom, że wynoszą one około 50 mln dolarów. W opublikowanych rozliczeniach pozostało z nich jednak już tylko 36 mln dolarów. Można sobie wyobrazić, że zniknięcie 14 mln dolarów z wpływów z cmentarzy było drobnostką dla człowieka, który miał zdolność jednoczesnego przebywania w Rzymie, Sajgonie, Białym Domu, Watykanie i swojej chicagowskiej rezydencji kardynalskiej.

Należąca do diecezji suma 60 mln dolarów była ulokowana w papierach publicznych. Cody odmawiał udzielenia komukolwiek informacji, w jakiej formie suma ta była ulokowana i kto korzystał z odsetków od niej.

Jednym z największych osobistych atutów kardynała było to że mądrze przewidując, pozyskał z biegiem lat wielu wpływowych przyjaciół w hierarchii Kościoła. Bogate owoce przynosiły teraz tego rodzaju inwestycje, których dokonał on w czasie swojej pracy w Kurii Rzymskiej przed wojną. Pracował najpierw w studium północnoamerykańskim w Rzymie, a następnie w biurze Sekretariatu Stanu. Cody zawsze był człowiekiem, który dostrzegał to, co najistotniejsze. Zabiegając o względy Piusa XII, a później Pawła VI, stworzył sobie w Rzymie potężne oparcie.

We wczesnych latach siedemdziesiątych chicagowska placówka łącznikowa była dla Watykanu jedną z najważniejszych placówek zagranicznych w USA. Większość inwestycji w papierach wartościowych na amerykańskim rynku kapitałowym Watykan Sp. z o.o. dokonywała za pośrednictwem Continental Illinois. W radzie nadzorczej tego banku, ramię w ramię z Davidem Kennedym, bliskim przyjacielem Michele Sindony, zasiadał jezuita, Raymond C. Baumhart. Wielkie sumy pieniężne, które Cody ze swej strony przemycał do Rzymu, stały się jedną z najważniejszych podpór watykańskiej polityki finansowej. Cody mógł być złym pasterzem dla swych księży i wiernych, ale bez wątpienia zawsze potrafił sprostać zadaniu, jeżeli chodziło o zdobycie pieniędzy. Kiedy stojąc na czele diecezji Reno biskup dokonał kilku „nieudanych inwestycji" i całkowicie zrujnował przez to jej finanse, Watykan zwracał się do Cody'ego z prośbą o udzielenie temu człowiekowi pomocy w wydostaniu się z tarapatów. Cody telefonował do swoich przyjaciół — bankierów i potrzebną sumę szybko zgromadzono.

Z biegiem lat bardzo zażyła stała się przyjaźń Cody'ego z Marcinkusem; obaj mieli ze sobą tyle wspólnego, tak wiele przynoszących zyski interesów. W latach siedemdziesiątych Cody zaczął realizować przez Continental Illinois transfer do Marcinkusa w Banku Watykańskim setek tysięcy dolarów, które w niemałej części pochodziły od bardzo silnej polskiej grupy ludnościowej w Chicago. Marcinkus rozdzielił potem te pieniądze między polskich kardynałów.

Cody zdobył dodatkowe „polisy ubezpieczeniowe" rozdzielając bogactwa swojej diecezji między określone wydziały Kurii Rzymskiej. Zawsze kiedy odwiedzał Watykan — a jeździł do Rzymu ponad sto razy — przywoził drogie prezenty i wręczał je tam, gdzie obiecywał sobie po tym największe korzyści. Złota zapalniczka dla monsignore X, zegarek firmy Patek-Philippe dla biskupa Y.

Cody nie mógł jednak nawet swoimi drogimi prezentami równoważyć tak licznych skarg, które napływały na niego do Rzymu. W Świętej Kongregacji ds. Nauczania Wiary Katolickiej, spełniającej funkcje nadzorcy w sprawach ortodoksji teologicznej i moralności wewnątrzkościelnej, coraz szybciej narastały stosy listów. Nadchodziły one nie tylko od chicagowskich księży i zakonnic, lecz także od kobiet i mężczyzn najróżniejszych zawodów, piastujących różne stanowiska. Arcybiskup Jean Hamer, O. P., prefekt Kongregacji, wałkował problem. Podjęcie kroków przeciw księdzu, który stał się nie do zniesienia, było stosunkowo proste. Po zakończeniu właściwych dochodzeń Kongregacja miała zwyczaj zwracania się do kompetentnego biskupa o usunięcie danego duchownego z jego dotychczasowego pola działania. Kto jednak mógł zażądać wydalenia kardynała?

Chicagowski „związek zawodowy księży" przedstawił publicznie zarzuty przeciw Cody'emu; księża oświadczyli, że kardynał notorycznie oszukuje ich. Wkrótce potem księża chicagowscy wyrazili wotum nieufności wobec kardynała. Rzym nie ruszył nawet palcem.

Arcybiskup Hamer nie był jedynym wysokim dostojnikiem Kurii Rzymskiej, który znał problemy z chicagowską placówką łącznikową: kardynałowie Benelli i Baggio, początkowo niezależnie od siebie, a potem wspólnie, doszli do wniosku, że Cody'ego należy zmienić.

Po długich naradach z papieżem Pawłem VI ustalono pewną strategię. Kiedy wiosną 1976 r. Cody przybył do Rzymu z jedną ze swoich licznych wizyt, Benelli zaproponował mu stanowisko w Kurii Rzymskiej, stanowisko, którego urzędowa nazwa brzmiała wspaniale, ale nie dawało ono ani krzty władzy. Wiadomo było, że Cody był ambitny i czuł się powołany do ważniejszych zadań, niż kierowanie archidiecezją chicagowską. Marzyło mu się nic innego, jak tylko zostanie papieżem. Jako szkolny przykład zaślepionej arogancji możemy zakwalifikować fakt, że człowiek, który wprowadził taki chaos we własnej diecezji wierzył poważnie w to, iż mógłby zostać papieżem. Z uwagi na swój ambitny cel Cody bardzo chętnie zamieniłby swoją willę w Chicago na miejsce na czele jednej z kongregacji watykańskich, które czerpiąc z pełnych kas Kościoła, wszędzie na świecie wspierały projekty kościelne i pomagały diecezjom będącym w potrzebie. Cody kalkulował, że na takim stanowisku zdołałby kupić sobie sympatię tak wielu biskupów, że zapewniłoby mu to dobrą szansę wstąpienia na Tron Piotrowy. Benelli wiedział o tym, stąd jego propozycja pod adresem Cody'ego; ten jednak nie widział w tym pozycji, do której dążył i odrzucił propozycję. Trzeba było więc szukać innego rozwiązania.

W styczniu 1976 r., kilka miesięcy po sprzeczce między Benellim a Codym, przedstawiciela papieskiego w Waszyngtonie, Jeana Jadota odwiedziła delegacja z Chicago. Jadot oświadczył zdenerwowanym księżom, że Rzym panuje nad sytuacją. Kiedy jednak minął rok i nie zarysowało się oczyszczenie problemu, walka w Chicago rozgorzała na nowo. Wizerunek Cody'ego stał się w tym czasie tak negatywny, że na koszt Kościoła zaangażował on agencję reklamową, która miała doprowadzić do bardziej łaskawego prezentowania jego osoby w środkach przekazu.

Zdenerwowani księża i zakonnicy znowu zaczęli zasypywać skargami Jadota w Waszyngtonie. Radził im zachować cierpliwość. „Rzym znajdzie rozwiązanie". Obiecywał. „Musicie skończyć z tymi atakami publicznymi. Pozwólcie całej sprawie przyschnąć. Wówczas Rzym zajmie się tym problemem, dyskretnie, bez wywoływania sensacji".

Duchowni wykazali zrozumienie. Ucichła publiczna krytyka pod jego adresem, ale potem z całą ostrością on sam sprowokował ją od nowa, zarządzając zamknięcie wielu szkół w śródmieściu Chicago. Kardynał wykorzystał to jako okazję do podjęcia nowej próby nakłonienia papieża Pawła VI do natychmiastowego, skutecznego działania. Papież uczynił to, co rozumiał pod pojęciem skutecznego działania: napisał ostry list do Cody'ego, żądając w nim wyjaśnienia sprawy zamknięcia szkół. Cody zignorował ten list i jeszcze nawet przechwalał się tym publicznie.

Bezczynność Watykanu miała naturalne następstwo, jakim było ponowne mnożenie się listów ze skargami, napływających do Rzymu. Do znanych już zarzutów doszły nowe, opierające się na protokołach wypowiedzi, na złożonych pod przysięgą oświadczeniach i dokumentach z księgowości. Wydawało się, że materiał ten udowadniał, iż zachowanie się kardynała pozostawiało wiele do życzenia również pod innym względem — chodziło o jego przyjaźń z kobietą o nazwisku Helen Dolan Wilson.

Swoim współpracownikom w ordynariacie Cody powiedział, że Helen Wilson jest jego krewną. Dokładny stopień pokrewieństwa zmieniał się, ale zwykle nazywał on panią Wilson swoją kuzynką. W celu wytłumaczenia jej bardzo ekstrawaganckiego stylu życia, ubierania się według najnowszej mody i wyraźnego zamiłowania do podróżowania oraz zamieszkiwania w bardzo drogim mieszkaniu, kardynał rozpuścił pogłoskę, że jego kuzynka jest „dobrze zaopatrzona" dzięki swemu zmarłemu małżonkowi. W swoim piśmie do Watykanu przeciwnicy Cody'ego twierdzili, że kardynał i Helen Wilson w żadnym wypadku nie są spokrewnieni. Jej mąż, z którym rozwiodła się przed wielu laty, cieszył się jeszcze bardzo dobrym zdrowiem, i kiedy w maju 1969 r. rzeczywiście zmarł, nie sporządził żadnego testamentu. Z rzeczy doczesnych pozostawił tylko 8-letni samochód o wartości 150 dolarów, który przeszedł na własność jego drugiej żony.

Przekazane przy zachowaniu ścisłej poufności do Rzymu informacje mówiły dalej, że przyjaźń między kardynałem a Helen Wilson rozpoczęła się już w latach jej młodości, że Cody ubezpieczył się na życie na sumę 100.000 dolarów, którą zapisał pani Wilson i że dokumenty na temat jej pracy jako urzędniczki chicagowskiego ordynariatu Cody'ego uzupełniono później fałszywymi wpisami, co umożliwiło jej pobieranie zawyżonej renty. Rentę tę obliczono przyjmując 24-letni okres pracy w służbie diecezji, tymczasem, co udowodniono, pani Wilson tak długo tu nie pracowała. Dalej przedstawiono dowody wskazujące na to, że Cody dał swojej przyjaciółce 90.000 dolarów na zakup mieszkania własnościowego na Florydzie. Przypomniano Watykanowi, że w podróży do Rzymu z okazji otrzymania kapelusza kardynalskiego Cody'emu towarzyszyła Helena Wilson. Cody zabrał wówczas ze sobą oczywiście całą świtę, ale niewielu z tej świty, tak jak Helen Wilson, miało o każdej porze swobodny dostęp do chicagowskiego ordynariatu lub uczestniczyło w urządzaniu i wyposażaniu rezydencji kardynała. Ogółem, jak twierdzili autorzy skargi, Cody odprowadził dla tej kobiety z pieniędzy kościelnych setki tysięcy dolarów. To jeszcze jednak nie wszystko. Krytycy Cody'ego doliczają do tego jeszcze długą listę ubezpieczeń, jakie diecezja chicagowska zawarła za pośrednictwem maklera ubezpieczeniowego, Davida Wilsona, syna Heleny Wilson.

(17)

„W imieniu Boga?" – tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Po raz pierwszy David Wilson skorzystał ze wspaniałomyślności swego „wujka" w 1963 r. w St. Louis. Razem z kardynałem przeprowadził się również agent ubezpieczeniowy. Prowizje, jakie David Wilson uzyskał jako według wszelkiego prawdopodobieństwa korzystając z prawa wyłączności pośrednik i opiekun ubezpieczeń zawartych przez diecezję chicagowską — to znaczy przez Cody'ego — wynosiły łącznie rzekomo 150.000 dolarów.

Kardynał Baggio dokładnie studiował tę długą i szczegółową listę. Aparat jakim Watykan dysponuje do celów szpiegowskich, jest nieporównywalny: wystarczy sobie tylko wyobrazić ile jest na świecie księży i zakonnic, którzy są zobowiązani do lojalności wobec kierownictwa Kościoła. Informacje, które docierały do kardynała Baggio, wskazywały na to, że zarzuty były słuszne. Był koniec czerwca 1978 r.

W lipcu 1978 r. Baggio jeszcze raz rozważał problem Cody'ego z papieżem Pawłem VI, który raczył wreszcie zrozumieć, że kardynała z Chicago należy odwołać. Nalegał jednak na to, by nastąpiło to w delikatny sposób, oszczędzający Cody'emu utratę twarzy. Jeszcze ważniejsze było uniknięcie w miarę możliwości wszelkiej sensacji publicznej. Uzgodniono, że kardynał powinien zgodzić się na wyznaczenie mu koadiutora — biskupa, który praktycznie pod każdym względem kierowałby sprawami diecezji. Oficjalnie ogłoszono, by że dokonuje się tego ze względu na pogarszające się zdrowie kardynała, które rzeczywiście było nie najlepsze. Formalnie Cody pozostałby zwierzchnikiem diecezji chicagowskiej do osiągnięcia wieku emerytalnego (75 lat), to znaczy do 1982 roku.

Uzbrojony w rozporządzenia papieża kardynał Baggio szybko poczynił przygotowania do podróży, spakował swoją walizkę i udał się na lotnisko Fiumicino. Przybywszy tam otrzymał wiadomość, że papież chce z nim jeszcze raz rozmawiać przed jego odlotem do Chicago.

Paweł VI znowu rozpoczął jeden ze swoich tańców wśród jaj. Oświadczył kardynałowi Baggio, że zamiar pozbawienia Cody'ego przez zainstalowanie koadiatora może być zrealizowany tylko za aprobatą kardynała z Chicago.

Sfrustrowany Baggio odparł papieżowi: „Ależ Ojcze Święty, mogę przecież wystąpić w ultimatywnej formie?".

„Nie, nie. Nie możesz go zmuszać. Zostało uzgodnione, że podejmiesz kroki tylko wówczas, gdy Jego Eminencja zgodzi się z tym".

Kardynał Baggio poleciał do Chicago wściekły i rozczarowany.

Liniami łączności sieci szpiegowskich informacje mogą przepływać w obu kierunkach, a kardynał Cody miał własne źródła informacji w Kurii Rzymskiej. Baggio nie wiedział, że nic nie wyjdzie z zaskoczenia, na które liczył: w niespełna dzień po jego decydującej rozmowie z papieżem Cody dowiedział się, co się święciło.

W sytuacji, w jakiej znajdował się Cody, większość ludzi trochę opamiętałaby się, zastanowiłaby się nad tym, jakie wydarzenia i procesy mogły po tylu latach skłonić tego najbardziej wrażliwego ze wszystkich papieży do podjęcia decyzji o przekazaniu w interesie wszystkich w inne ręce władzy sprawowanej przez Cody'ego. Uwzględniając jak zawsze w największym stopniu uczucia człowieka, którego chciał usunąć, papież troszczył się o to, by krótka wizyta Baggio w Chicago pozostała w tajemnicy. Oficjalnie mówiono, że leci on bezpośrednio do Meksyku, by poczynić tam ostatecznie przygotowania do zbliżającej się konferencji w Puebli. W wypadku kardynała Cody'ego względy takie były daremnymi zabiegami.

Obaj dostojnicy spotkali się w willi kardynała na terenie położonym naprzeciw seminarium w Mundelein. Baggio wyłożył na stół materiały obciążające. Wynikało z nich jednoznacznie, że w przypadku prezentów pieniężnych dla Helen Wilson kardynał pomieszał pieniądze, którymi legalnie mógł dysponować prywatnie, z pieniędzmi kościelnymi i że po kryjomu przyznał swojej przyjaciółce zawyżoną rentę. Informacje, jakie zgromadził Watykan, odsłoniły wiele rzeczy, które z pewnością zdyskredytowałyby Kościół rzymskokatolicki, gdyby przedostały się do wiadomości publicznej.

Cody wcale nie okazał skruchy, a rozmowa szybko przekształciła się w pojedynek wiązadeł głosowych. Cody przypomniał ogromne sumy pieniężne, jakie w celu skierowania dalej do Polski przekazywał Bankowi Watykańskiemu, dary pieniężne, jakie przywoził papieżowi z okazji swoich wizyt ad limina (przypadające co pięć lat przyjazdy w celu złożenia sprawozdania) — nie były to marne kilka tysięcy dolarów, jakie przywozili inni, lecz setki tysięcy. Krzyki obu dostojników kościelnych było słychać na całym terenie seminarium.

Cody nie ustąpił ani na jotę. Obcy biskup miałby przybyć i kierować jego diecezją? — „Tylko po moim trupie". Na koniec jak zarysowana płyta gramofonowa, powtarzał już tylko w kółko jedno zdanie: „Nie oddam władzy w Chicago".

Baggio odjechał: jego misja na razie nie powiodła się. Odmowa Cody'ego zaakceptowania koadiutora była jaskrawym złamaniem prawa kanonicznego, ale cóż można było przeciw temu zrobić? Podanie do wiadomości publicznej faktu, że kardynał jednej z najpotężniejszych diecezji na świecie otwarcie sprzeciwił się rozporządzeniu papieża było nie do pomyślenia już chociażby z uwagi na samego Pawła VI. Papież chętniej tolerowałby Cody'ego na jego stanowisku, aż do końca jego dni, niż pogodziłby się z taką alternatywą. Paweł VI nie potrzebował już jednak długo zajmować się tym problemem. Zmarł w tydzień po wysłuchaniu relacji Baggio.

Albino Luciani do połowy września gruntownie przestudiował akta Cody'ego. Całą sprawę i jej możliwe konsekwencje omówił z kardynałem Baggio, a potem także z jego kolegami Villotem, Benellim, Felicim i Casarolim.

Dwudziestego trzeciego września jeszcze raz przeprowadził długą rozmowę z kardynałem Baggio. Kiedy się rozstawali, powiedział, że poinformuje go o swojej decyzji w następnych dniach.

Kardynała Cody'ego w Chicago po raz pierwszy w jego długiej i burzliwej karierze ogarnęła niepewność. Po konklawe w kręgu prywatnym lekceważąco wyrażał się o tym Włochu, który został następcą Pawła VI. „Wszystko będzie toczyło się dalej jak dotychczas", oświadczył jednemu ze swych bliskich przyjaciół z Kurii. Nadal jak dotychczas było tym, czego Cody sobie życzył; zapewniłoby mu to dalsze, spokojne panowanie w Chicago. Potem nadeszły jednak z Rzymu informacje wskazujące wyraźnie, że poważnie nie docenił Lucianiego. Kiedy wrzesień zbliżał się do końca, John Cody coraz bardziej dochodził do przekonania, że Luciani będzie działał tam, gdzie Paweł VI ociągał się. Jego przyjaciele z Rzymu dali mu do zrozumienia, że na jednym można u tego papieża polegać: bez względu na to, na jakie przedsięwzięcie się zdecydował, będzie je konsekwentnie realizował. Mogli powołać się na wiele przykładów z przeszłości Lucianiego, które pozwalały wysuwać wniosek o niezwykłej sile wewnętrznej tego człowieka.

Na biurku Lucianiego w jego pokoju do pracy znajdowała się jedna z nielicznych prywatnych rzeczy, które były mu drogie: fotografia. Pierwotnie tkwiła ona w starych ramkach. Kiedy był patriarchą Wenecji zwrócił się do wdzięcznego parafianina o osadzenie zdjęcia w nowych, srebrnych ramkach wysadzanych przeciętnej wartości kamieniami szlachetnymi. Fotografia pokazywała rodziców Lucianiego na tle ośnieżonych Dolomitów. Matka trzymała na rękach małą Pię, która teraz była zamężna i sama miała dzieci. We wrześniu 1978 r. sekretarze papiescy wielokrotnie obserwowali, jak Luciani zatopiony w myślach przyglądał się fotografii. Przypominała mu bardziej szczęśliwe czasy, kiedy jego spokoju ducha nie zakłócali tacy jak Cody, Marcinkus, Calvi i wszyscy inni. Miał wówczas czas na spokojną kontemplację i na zajęcie się drobnymi sprawami życiowymi. Teraz Albino Lucianiemu wydawało się czasem, że w jego obecnej sytuacji nie było już miejsca na te ważne chwile zadumy. Był odcięty od Canale, a nawet od swej własnej rodziny. Od czasu do czasu prowadził oczywiście rozmowy telefoniczne z Eduardo, z Pią, ale ostatecznie skończyły się krótkie, spontaniczne wizyty. Niezawodnie zadbał o to aparat watykański. Nawet Diego Lorenzi usiłował spławić Pię, kiedy telefonicznie zapowiedziała swoją wizytę. Chciała przynieść papieżowi kilka drobnych prezentów, pamiątek z Północy. „Proszę oddać je przy bramie", powiedział Lorenzi. „Papież jest zbyt zajęty, by pania przyjąć". Luciani słyszał rozmowę i przejął słuchawkę. „Przyjdź do mnie. Nie mam czasu, ale mimo to przyjdź".

Zjadł z nią obiad. Pia przeżywała spotkanie z wujkiem Albino, który tryskał zdrowiem i dobrym nastrojem. Podczas jedzenia powiedział na temat swojej nowej roli: „Gdybym wiedział, że pewnego dnia zostanę papieżem, więcej studiowałbym. Być papieżem to bardzo męczące".

Jak bardzo było to męczące i jak wiele Kuria w swojej nigdy nie słabnącej czujności robiła, by uczynić to jeszcze bardziej męczącym, okazało się, kiedy Luciani wyraził życzenie traktowania Rzymu w konkretnym sensie jako swojej nowej parafii; chciał wędrować ulicami miasta, jak czynił to w Wenecji i swoich innych diecezjach. Kiedy głowa państwa stawia takie żądania, rodzą się problemy. Kuria oświadczyła krótko i węzłowato, że coś takiego jest zupełnie nie do pomyślenia, ponieważ za każdym razem wybuchłby chaos, kiedy Ojciec Święty udawałby się na spacer. Luciani dał sobie to wyperswadować, ale tylko za cenę zaakceptowania zmienionej wersji tej myśli. Oświadczył funkcjonariuszom watykańskim, że chce odwiedzić w Rzymie każdy szpital, każdy kościół, każde schronisko dla uciekinierów i bezdomnych, by w ten sposób stopniowo poznać „swoją parafię". Poznanie rzeczywistości bezpośrednio przed własnym progiem było pokusą i wyzwaniem dla człowieka, który zdecydowanie postanowił być dobrym pasterzem jako papież. Rzym liczy 2,5 miliona katolickich mieszkańców. Miasto powinno dawać corocznie przynajmniej 70 nowych księży. W czasie, kiedy Luciani został papieżem, dało ich dokładnie sześciu. Podtrzymanie życia religijnego w mieście było możliwe tylko dzięki przyjęciu licznych duchownych spoza Rzymu. Duże części miasta były w zasadzie pogańskie; frekwencja w kościołach wynosiła tam mniej niż trzy procent, w Rzymie, centrum chrześcijaństwa, święcił triumf cynizm.

Miasto, które było nowym miejscem działania Lucianiego, było też miejscem działania komunistycznego burmistrza, Carlo Argana. Komunistyczny burmistrz w mieście, którego najsłynniejszym artykułem eksportowym była religia i którego zdolności przemysłowe przewyższał tylko wskaźnik wzrostu przestępczości kryminalnej. Jeden z tytułów honorowych, jakie Luciani uzyskał automatycznie wraz z wyborem na papieża, brzmiał: biskup Rzymu. Rzym rzeczywiście przynajmniej od stulecia nie miał żadnego biskupa w takim sensie, jak miały ich Mediolan, Wenecja, Florencja i Neapol. Dawało się to we znaki.

W tym samym czasie, kiedy papież spożywał obiad ze swoją bratanicą, Pią, Don Diego prowadził długi i głośny spór z jednym z funkcjonariuszy Kurii, który odrzucał nawet poważne rozważenie życzenia papieża w sprawie złożenia wizyty w różnych częściach Rzymu. Luciani przerwał swoją rozmowę z Pią.

„Don Diego, proszę mu powiedzieć, że tam musi być. Proszę mu powiedzieć, że papież życzy sobie tego".

Lorenzi przekazał polecenie papieskie, ale spotkał się z natychmiastowym „nie". Zwrócił się do papieża. „Oni mówią, że to jest niemożliwe. Ojcze Święty, ponieważ czegoś takiego nigdy jeszcze nie robiono".

Pia czekała w napięciu, jak potoczy się dalej ta watykańska próba sił. Luciani przeprosił swoją bratanicę za przerwę i powiedział swemu sekretarzowi, że poleci tę sprawę Villotowi. Potem zwrócił się z uśmiechem do Pii i powiedział: „Jeżeli Kuria Rzymska na to pozwoli, to twój wujek ma nadzieję, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem będzie mógł odwiedzić Liban".

Wypowiedział się szczegółowo na temat tego ciężko doświadczonego kraju i mówił o swoim życzeniu, by interweniować w roli pośrednika zanim eksploduje ta beczka z prochem. Kiedy żegnała się z nim po posiłku, nalegał na to, by przyjęła medal, który otrzymał w prezencie od matki prezydenta Meksyku.

Kilka dni później, 15 września gościł na kolacji swego brata, Eduardo. Oba te spotkania rodzinne miały być dla Lucianiego ostatnimi. Ostatnimi w jego życiu".

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

W kręgu fantastyki

Epilog

LESZEK KRASKOWSKI

Ponure, szare niebo zwieszało się ciężko nad kamiennymi bryłami wieżowców, opierało się o dachy przyjmując jednocześnie ich szarobury odcień. Długie i ciasne wąwozy ulic były równie ponure, mimo że na pozór żyły swoim własnym życiem rozświetlane przez tysiące migotliwych błysków reklam, miliony żarówek, setki wystaw. Tak, to był pozór, błyszcząca powłoka usiłująca okryć brzydotę i szarzyznę. Świecidełka XXII wieku...

Zagubiony w wąwozach ulic brnął człowiek. Jeden, jedyny mikroskopijny okaz, ginący w cieniu monumentalnych budowli, które sam stworzył. I chociaż odżegnywał się od tego, to wiedział doskonale, że jednak miał w tym udział poprzez sam fakt swojego istnienia. Fakt ten był niezaprzeczalny.

Podkute buty rozgarniały uliczny kurz, wystukiwały dobrze znany rytm, który głuchym echem odbijał się od kamiennych murów. Rytm znajomy, rytm życia...

Oczy człowieka były zamglone, nieobecne. Wzrok koncentrował się gdzieś w oddali, ginął w niezgłębionej przestrzeni ponadczasowej, pozaziemskiej. Pięści zaciskały się gwałtownie, po policzkach cienkimi strumieniami płynęły łzy bezsilności. Duszę przeżerało narastające uczucie wstydu, wstydu przynależności do tego ohydnego gatunku. Chciał krzyczeć, ale głos ugrzązł mu w gardle, mimo wysiłków nie mógł wydobyć z siebie żadnego odgłosu narastającego protestu, który jak straszliwy huragan targał nim od wewnątrz.

„Myśli moje zatańczcie na mym pogrzebie" — chciał wygłosić filozoficzną sentencję, ale zrozumiał, że tego pogrzebu nie będzie. Ulica wydawała się nieskończona, słowo koniec nabierało znaczenia abstrakcyjnego. Ręka człowieka szukająca łapczywie oparcia natrafiła na chłodną szybę wystawy. Po chwili rozległ się bezlitosny, a zarazem jakże bezmyślny dźwięk wydobywający się z głośnika automatycznego alarmu. Mózg człowieka nie wytrzymywał tego obciążenia, tego idiotycznego wycia, pięść silnie uderzyła w szybę, posypało się szkło.

Odgłos tłuczonego szkła zmieszał się z jednostajnym brzęczeniem dochodzącym gdzieś z przestworzy. Uzbrojony patrol znajdował się już przy człowieku, nastąpiła krótka szamotanina. Każdy ruch człowieka, każde słowo, błysk nieprzytomnych oczu — wszystko to jawnie kpiło, ironizowało, lekceważyło. Szamotanina nagle ustała. Prawa ręka człowieka wskazywała na ciemne niebo, spoza chmur dobiegał coraz donośniejszy odgłos, który przypominał jednostajny szum silników. Ponure zarysy budynków przemieniały się teraz w szeroko otwarte wieko od trumny. Grupka ludzi stojąca przy rozbitej sklepowej witrynie wpatrywała się w niebo z rosnącym zaciekawieniem i zaniepokojeniem. Wśród tych ludzi tylko jeden, ten bez policyjnego kasku na głowie, zachowywał się spokojnie, na ustach błąkał mu się ironiczny uśmiech.

Olbrzymi huk zaryczał nieludzkim głosem nad miastem, zatrzasł murami. Miliony słońc oświetliły na kilka sekund ulice wielkiego miasta. Zadrżała ziemia, zadrżały serca.

— Nareszcie — szepnął człowiek w ostatniej chwili swego ziemskiego istnienia. Ogromne ciepło zmieszane z rozkoszą niebytu zawładnęło jego ciałem.

Na miejscu miasta pozostała spalona ziemia.

Reinkarnacja

KRZYSZTOF DEMSKI

Pierwszym odgłosem jaki dotarł do mojej świadomości, był szum, dziwny, ale uspokajający. Leżałem chwilę bez ruchu, próbując zebrać rozproszone myśli. Powoli otworzyłem oczy, jak z głębokiego snu. Widok nie zdziwił mnie nawet bardzo. Białe ściany, w podobnym kolorze skąpe umeblowanie, łóżko na którym leżałem. Nie wiem dlaczego nie zdziwiłem się, że jestem w pomieszczeniu tak bardzo przypominającym szpital — bo to był szpital, jak sobie uświadomiłem po chwili. Powoli, oprócz szumu który był bardziej wewnątrz mnie niż na zewnątrz, zaczęły docierać do mnie inne odgłosy, zwykłe odgłosy codziennego dnia w szpitalu — czyjeś dalekie krzątanie się, brzęk potrąconego szkła, kapanie kropel wody. Byłem dziwnie spokojny, mimo że uczucie zdziwienia zaczęło we mnie narastać. Co ja tu robię? Skąd się tu wziąłem? Banalne zdziwienie, ale wywołujące jednak niepokój. Domyślałem się, że coś się stało, że już za chwilę, że już niedługo nastąpi wyjaśnienie tego wszystkiego. Myślałem tak jeszcze chwilę prawie o niczym, nawet nie próbując sobie specjalnie przypominać okoliczności, które mnie tutaj sprowadziły. Ot, pewnie zwykły wypadek jakich wiele, banalny dla postronnych, krótka utrata świadomości. Nawet nie czułem się specjalnie obolały. Zauważyłem tylko plaster na lewej ręce powyżej nadgarstka i biegnący od niego przewód. Na pewno kroplówka — pomyślałem. Poza tym obrażeń nie zauważyłem i co najważniejsze nie czułem ich skutków. Jeszcze raz spojrzałem na rękę, była trochę inna niż zawsze. Spuchnięta, czy co? I druga też? Coś nie tak, ale bólu w dłoniach nie czułem żadnego. Coraz bardziej niecierpliwie czekałem na kogoś, kto mi wyjaśni co się stało, opowie mi o tym, co moja pamięć zgubiła. To wydawało się dla mnie w tej chwili najważniejsze. Rzeczywiście, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna w białym fartuchu i białych spodniach. Chwilę patrzyliśmy na siebie. Ja spokojnie, bez uśmiechu, starając się przybrać jak najbardziej naturalny wyraz twarzy, o ile to możliwe w takich okolicznościach. On też zupełnie spokojny, nie przedstawił się. Domyśliłem się, że jest lekarzem. Spytał tylko, stwierdzając właściwie fakt:

— No i co, obudził się pan już?

— Jak pan doktor widzi — odpowiedziałem również zdawkowo.

— A czy długo spałem? — spytałem jeszcze po chwili.

— Trudno to nazwać snem, ostatnie pare godzin rzeczywiście pan spał, ale żeby już wszystko wyjaśnić, to muszę powiedzieć, że w ciągu ostatnich dni był pan po prostu nieprzytomny.

Tym mnie naprawdę zaskoczył, nie wiedziałem co odpowiedzieć. Lekarz po chwili podjął przerwany wątek:

— No tak, był pan nieprzytomny, ale, jak sam pan widzi, nie stwierdziliśmy żadnych poważnych obrażeń, a dokładnie mówiąc to nie ma pan w ogóle żadnych obrażeń i co dla nas jest też dziwne, nie wiemy co spowodowało u pana utratę świadomości. Wprawdzie wypadek, jakiemu pan uległ był groźny, ale w tym przypadku nie dla pana, gdyż bezpośrednio nic panu nie groziło. W chwili wypadku był pan w bezpiecznym miejscu. Po prostu jakiś szok, krótka utrata świadomości, to w rezultacie złożyło się na pański pobyt u nas.

— A może pan coś bliższego, doktorze, powiedzieć o tym wypadku? — spytałem.

— Dlaczego nie — odpowiedział szybko jakby chciał już mieć to za sobą. — Zwykłe i częste zdarzenie na naszych zatłoczonych ulicach. Rozpędzony samochód nie wiadomo z jakiego powodu wpadł na grupę ludzi stojących na przystanku, na wysepce tramwajowej. Dwie osoby zginęły, parę jest ciężko rannych, no i — pan.

Te słowa „no i — pan" i to chwilowe zawieszenie głosu powinno już wtedy dać mi coś do myślenia, ale nie dziwcie się, że w tym stanie, w jakim się wtedy znajdowałem nie zwróciłem uwagi na sposób, w jaki lekarz mówił o moim przypadku, który w jakimś sensie był i dla niego niezrozumiały. Dopiero później, znacznie później, gdy dowiedziałem się o słowach, które wypowiadałem w czasie tego mojego stanu „zawieszenia" świadomości, o słowach, które nie pasowały do mnie — a raczej do tego kogoś kim dla nich już wówczas byłem, gdy dowiedziałem się o rozmowach, które przeprowadzałem ze znajomymi, krewnymi i rodziną, rozmowach o których nikt z otaczających mnie lekarzy nic nie wiedział — dopiero wówczas zrozumiałem to, co dla nich było niezrozumiałe aż do chwili, tak, aż do chwili, gdy prawda ta została w jakiś sposób, można to nazwać „objawiona" mnie i wszystkim zainteresowanym. W każdym razie w czasie mojej rozmowy z lekarzem — młody człowiek, pewny siebie, pewny racji naukowych swojego zawodu, którymi się podpierał od początku swojej pracy — do tego momentu sprawa wydawała się jasna i oczywista, tak dla mnie jak i dla niego. Aż do chwili, gdy powiedział:

— No a teraz na pewno ucieszy pana widok rodziny, będą za chwilę — proszę cierpliwie czekać.

Gruba młoda kobieta w jaskrawej sukience i mała dziewczynka, które weszły do pokoju w którym leżałem — mała dziewczynka, która była z pewnością jej córką już teraz nosiła w sobie zadatki przyszłej tuszy mamy — nie przypominały mi nikogo znajomego. Oprócz mnie w pokoju nikt nie leżał, więc spytałem:

— Pani szuka pewnie kogoś? Ja też czekam na wizytę.

Kobieta nagle rozpłakała się, przez łzy wypowiedziała jakieś imię, które od razu wyleciało mi z pamięci, dziewczynka kurczowo trzymała matkę za rękę. Lekarz, który zjawił się od razu w drzwiach, uspokajającym tonem zaczął przemawiać:

— Proszę o spokój, nic się nie stało, to wpływ szoku jakiego doznał pani mąż.

Nie zapobiegło to jednak zamieszaniu, jakie teraz wynikło. Miałem już tego dosyć i nic nie rozumiałem. Zacząłem coś bezładnie wyjaśniać, mówiłem o swoich, a właściwie o nie swoich rękach, o nogach, o tym, że ja to nie ja, mówiłem o tym wszystkim, co gdzieś w mojej podświadomości było, co się czaiło i czekało na odpowiednią chwilę, by wyleźć ze mnie, jeszcze niepewnie, nie do końca i ostatecznie, ale już dla mnie strasznie i nieodwołalnie. Nasze głosy nakładały się na siebie. I nagle cisza. Starałem się na nikogo nie patrzeć, ale kątem oka zauważyłem, jak lekarz objąwszy grubą kobietę ramieniem wyprowadza ją z pokoju. Mała z szeroko otwartymi oczyma trzymała matkę silnie za rękę. Tylko ona przez cały czas nie otworzyła ust i choć z przestrachem, ale bacznie nas obserwowała. Lekarz wrócił po chwili z pielęgniarką, która, trzymając metalową tackę z zastrzykiem i lekarstwami w rękach, z uśmiechem podeszła do mnie. To nie był zdawkowy, zawodowy uśmiech, jak mi się w pierwszej chwili zdawało. Była młoda i ładna. Zupełnie nie speszona kazała mi się położyć na brzuchu i opuścić spodnie od piżamy.

— Jeszcze trochę niżej — dodała. A mnie, nie wiem dlaczego, zrobiło się wstyd mojej — tak to chyba wyglądało — fałszywej skromności.

— Teraz niech pan trochę spokojnie poleży, za godzinę przyjdę do pana — rzekł lekarz.

Wyszli razem, a ja nawet nie dokończywszy myśli, że teraz będę rzeczywiście miał chwilę spokoju, żeby to wszystko jeszcze raz przemyśleć — usnąłem.

— Proszę podać mi dokładnie swoje dane personalne — powiedział tęgi osobnik, jak wszyscy obecni w tym pokoju ubrany w biały fartuch. Mój lekarz stał z boku, tylko on jeden był dodatkowo w białych spodniach.

— A nazwisko panieńskie matki?

— Dobrze — dodał zapisując w zeszycie.

— A teraz proszę nam opowiedzieć bliżej o swojej rodzinie, o swoich krewnych, wszystko co pan pamięta.

— Czy coś jest nie w porządku z moją pamięcią? — spytałem.

— Hm — i tak, i nie. Z jednej strony, to wie pan dużo, a z drugiej, no, jak by to panu powiedzieć, właściwie nic pan nie pamięta.

— Jak to możliwe. Już trzeci raz mnie tak dokładnie wypytujecie, bez przerwy jakieś testy. Zaczynam podejrzewać, że nie wszyscy panowie należycie do personelu szpitalnego, część z was to pewnie pracownicy kontrwywiadu, a ja sam jestem bardzo podejrzanym osobnikiem, szpiegiem lub terrorystą.

— Dobrze, że pana humor nie opuszcza, to świadczy o silnej konstrukcji psychicznej. Dlatego też chcielibyśmy zrobić jeszcze jeden eksperyment. Pamięta pan, często pytał pan nas o swoje, jak się panu zdawało, trochę spuchnięte ręce, nogi i w ogóle całe ciało. Dzisiaj właśnie chcielibyśmy to wyjaśnić. Proszę o lustro, siostro.

Wyciągnąłem rękę. Wszyscy obecni z widocznym napięciem patrzyli na mnie, mój rozmówca aż pochylił się do przodu.

Powoli podniosłem rękę z lustrem na wysokość oczu.

Twarz, którą zobaczyłem nie była moja.

— Powróćmy jeszcze raz do chwili samego wypadku.

Słowa te wypowiedział młody człowiek o bystrym spojrzeniu. Ubrany był dość niedbale w dżinsy i koszulę rozchełstaną pod szyją. Od pewnego czasu tylko on kontaktował się ze mną. Wiedziałem, że mimo młodego wieku osiągnął już wysoki stopień naukowy, napisał kilka ciekawych i bardzo kontrowersyjnych prac z dziedziny psychologii, które wprowadziły wiele zamieszania w tej dziedzinie nauki.

— Mam bardzo ciekawą hipotezę, która z braku innych będzie od tej pory obowiązująca. Niektórym moim kolegom, szczególnie starszym, jest to nie w smak. Jak ich znam, będą po prostu starali się nigdy o tym nie pamiętać, ale ja im będę stale o tym przypominał — dodał z wesołym błyskiem w oczach.

— Twój przypadek otwiera drzwi do nowej gałęzi nauki. Podejrzewałem to już od dawna, że coś przed nami jest zakryte, że w człowieku tkwią możliwości w dużej, bardzo dużej mierze nie wykorzystane. Roboczo nazwałem tę nową dyscyplinę nauki bio-psychologią. Ale wróćmy do ciebie.

— Pamiętasz, wypadek rozegrał się bardzo szybko. A jednak był krótki moment, który bystremu człowiekowi wystarczyłby na ocenę sytuacji. Tak się złożyło, że byłeś tym bystrym facetem i w dodatku bardzo zainteresowanym tym co się dzieje. A co się działo w tych dwóch, trzech sekundach tuż przed wypadkiem?

— Pamiętasz, analizowaliśmy to wiele razy. Najpierw ostry krzyk kobiety, która oczyma wyobraźni widziała już dalszy ciąg zdarzeń. Teraz ty. Widzisz tańczący samochód po jezdni, który bardzo szybko zbliża się do wysepki tramwajowej, na której stoisz razem z innymi. Zderzenie z ludźmi jest już nieuchronne. Została tylko sekunda, albo i mniej. Ale myśl ludzka jest szybka, w ułamku sekundy w korze mózgowej człowieka potrafią przebiegać procesy myślowe, które na swoje zrealizowanie czekać by musiały całe lata. Twoja myśl analizuje wszystkie za i przeciw, podejmuje decyzję, która uwzględnia tyle danych związanych z konkretną sprawą, że najdoskonalszy komputer z natłoku tych informacji dostałby pomieszania swoich elektronicznych, tranzystorowych i terystorowych zmysłów. A tak często mówi się, że ktoś zrobił coś bez namysłu, od razu, i palnął głupstwo. To głupstwo po pewnym czasie przestaje być głupstwem, już jest dobrze, ale wtedy wyciągamy przysłowie, „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło". A to od początku nie było wcale złe. To nasze szare komórki wybrały optymalne rozwiązanie, które dopiero po czasie doceniliśmy.

— Widzisz więc ten pędzący samochód, droga ucieczki zamknięta, w tej chwili właśnie podjechał tramwaj, dopiero się zatrzymuje, drzwi pozamykane, a na pomoście stoi młody człowiek. On jest bezpieczny, wpatrzony w ciebie. Nie zdąży ci pomóc, choć bardzo tego chce, a ty nie masz żadnych szans ucieczki.

— Czy na pewno żadnych szans? O czym myślisz w tym ostatnim ułamku sekundy?

Powoli, z pełną świadomością tego co mówię, bo już zrozumiałem i on o tym wie, odpowiadam:

— Myślę, że tak bardzo chciałbym być na jego miejscu, być nim.

— I tak się stało. Twoje ciało nie miało żadnych szans ratunku, twoje szare komórki dokładnie to przeanalizowały. Więc co pozostało? Ucieczka twojej świadomości do najbliższego bezpiecznego miejsca. Bo przecież ty, to właśnie twoja świadomość o sobie samym, przede wszystkim o sobie samym, a potem cała reszta zawarta w twojej pamięci. Nastąpił przeskok świadomości, krótkie spięcie między waszymi szarymi komórkami, a właściwie między procesami w nich zachodzącymi. Twoja pamięć o sobie, z całą resztą, a więc ty sam znalazłeś się w bezpiecznym miejscu. To było jedyne wyjście i decyzja została podjęta błyskawicznie, nieodwołalnie i — co najważniejsze — była skuteczna. Żyjesz przecież. W kimś innym, to znaczy w innym ciele, a to jest przecież lepsze niż najdoskonalsza proteza.

Skończył mówić i popatrzył na mnie poważnie.

— Wiem co cię dręczy. Co z tym młodym człowiekiem, za którego cię wszyscy uważają?

Patrzyłem na niego bez słowa. Co on jeszcze wymyśli? Bo to co usłyszałem nie chciało mi się pomieścić w głowie, choć w głębi duszy musiałem mu przyznać rację. Czułem, że ją ma, że innego wytłumaczenia na to co się stało nie ma.

— On żyje i jest w lepszej sytuacji niż twoja, bo dysponuje własnym ciałem, do którego już jest przyzwyczajony, nie tak jak ty.

Patrzyłem na niego oniemiały.

— Żyje, żyje. Tylko przez pewien czas będzie mocno spał, jego świadomość dojdzie do głosu, gdy już będziesz w pełni sprawny psychicznie, gdy się z tym pogodzisz i gdy sam o tym zadecydujesz, że to już.

— Człowieku — dodał. — To będzie fantastyczne. Będziecie ze sobą rozmawiać nie otwierając ust. Jego świadomość nie będzie ci w niczym przeszkadzała. Ani twoja jemu. To jest nowy okres w historii ludzkości, wszystko się zmieni, będziemy inaczej żyli. Mądrzej, a przede wszystkim dłużej!

— Ty masz pojęcie o ile dłużej? Mózg jednego człowieka, dzięki niezliczonym ilościom kombinacji międzykomórkowych może teoretycznie zmieścić świadomość niezliczonej ilości innych ludzi. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to stwarza perspektywy przed ludzkością?

Zamilkł rozentuzjazmowany. Po chwili zaśmiał się cicho i beztrosko. Potem znowu spoważniał i powiedział:

— Wierzę, że już niedługo to wszystko się sprawdzi. Mówię ci, to ruszy jak lawina. Postępu nauki nie da się powstrzymać.

Pożegnaliśmy się mocnym uściskiem dłoni, a ja od razu zacząłem myśleć o tym drugim, na którego tak rozpaczliwie czekano tu w poczekalni. Bo ja już byłem.

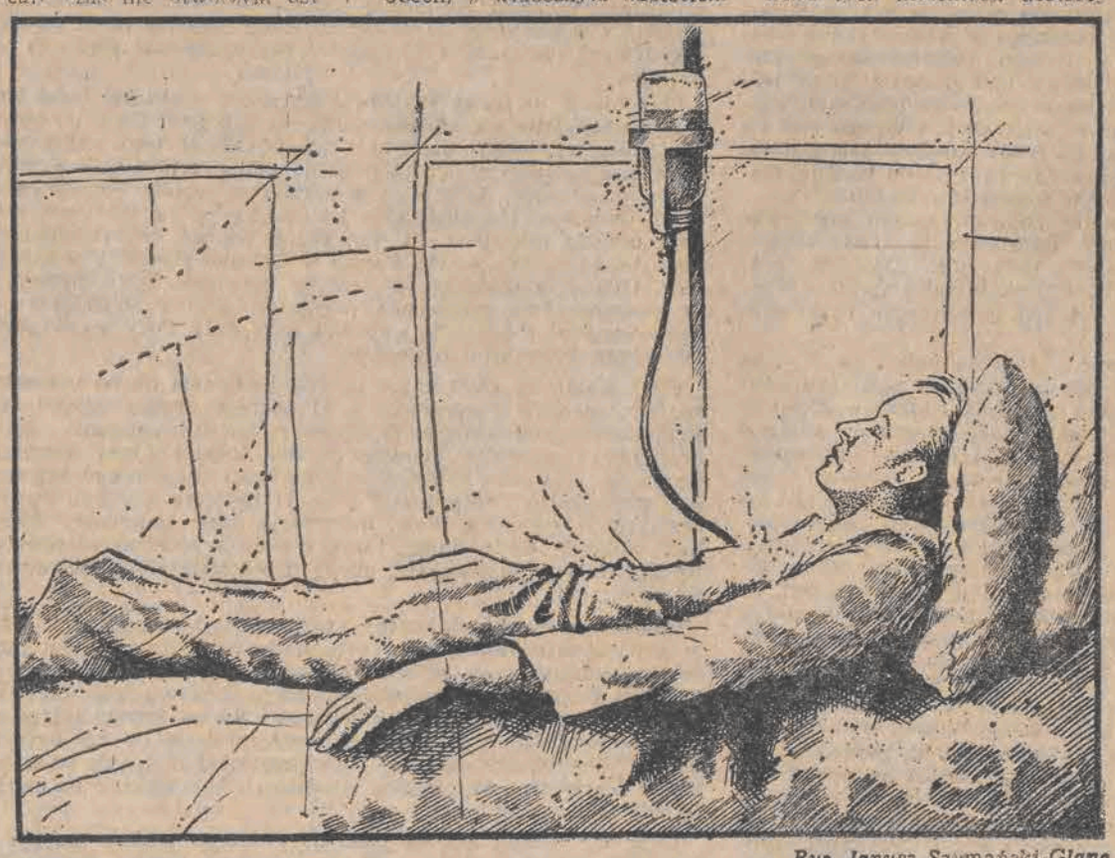

Rys. Janusz Szymański-Glanc

1

Spojrzenie znad szachownicy

Jak zacząłem, to i skończę

W mojej rodzinie dość głośna była historia jakiegoś dalekiego wujka czy stryjka, który na szalenie wytwornym przyjęciu sięgnął po półmisek z szalenie wytworną przekąską, nałożył trochę na talerz, posmakował zaczem spokojnie przełożył sobie resztę.

— Jak zacząłem, to i skończę — wyjaśnił wujek czy stryjek współbiesiadnikom, formułując to może niezupełnie dobrze po polsku, ale za to z prześlicznym kresowym akcentem, ponieważ rzecz działa się akuratnie w Wilnie.

Przez pamięć na owo bądź co bądź historyczne wydarzenie proszę nie poprawiać mi tedy „jak" na „skoro", ani „akuratnie" na „akurat" a także proszę pozwolić mi skończyć.

2.

Wyszedłem, za przeproszeniem na idiotę, przepowiadając totalne odchudzanie prasy, gdy w dającej się przewidzieć przyszłości cięcia obojętościowe mają być raczej nader delikatne. Gdzieś napier zaoszczędzić jednak trzeba, ofiara padna więc przede wszystkim nakłady.

Wybór, przyznajmy, był trudny, redaktorzy naczelni pism — wsparci opinią plenum ZG SD PRL — nader zgodnie optowali wszelako za rozwiązaniem drugim. Rzecz w tym, że rosnące koszta papieru, usług poligraficznych, energii, i tak dalej, i tak dalej — wcześniej czy później muszą odbić się także na cenach prasy. Odchudzać i podrażać, to byłoby za dużo szczęścia, czy raczej nieszczęścia jednocześnie; lepiej zarazem, iżby ktoś szukał swojej ulubionej gazety czy tygodnika, niźli zniechęcony odrzucał tytuł, nie znajdując w nim nic, lub zbyt mało do czytania.

Na krótką metę rozwiązanie jest więc dobre, czy raczej ze wszystkich złych najlepsze, na dłuższą — trudno doprawdy przewidzieć.

3.

Dawno straciłem już nadzieję — która żywiłem w czasach wznawiania tytułu za tytułem, a potem przywracania szóstych wydań porannych gazet codziennych — że rynek prasowy stanie się pierwszym normalnym rynkiem w wychodzącym z kryzysu kraju Rynkiem, na którym tytuły złe będą ustępowały miejsca lepszym, na którym jednym czasopismom nakład będzie rósł, a innym spadał, słowem rynkiem czytelnika, a nie wydawcy.

Wystarczy stanąć przed pierwszym lepszym kioskiem, aby przekonać się, że nadzieje te szczęły ze szczętem wzięli je po prostu diabli. Żadna gazeta, ani żaden tygodnik — poza czysto specjalistycznymi, mającymi wąski krąg czytelników — nie zalega dziś kiosków, wszystkie praktycznie pisma są wykupywane na pniu i bez reszty.

Operacja cenowa, jeżeli nastąpi, każe zapewne niektórym przynajmniej rodzinom zrezygnować z jednego czy drugiego tytułu, przy mocno przyduszonych nakładach będzie to jednak najprawdopodobniej praktycznie niezauważalne. Dobrych parę lat pracowałem w takiej chudej, zalimitowanej w nakładzie choć zarazem symbolicznie taniej gazecie i wiem doskonale, że w jakiejś perspektywie prowadzi to nieuchronnie do stanu rozkosznego samozachwycenia.

Co gorsza stan ten obejmuje nie tylko żurnalistów, ale i tak zwanych decydentów.

Ponieważ rynek jest niemy, nie reaguje zwrotami — czytelnik musi przecież wiedzieć, co grają w kinach, co pokazują w telewizji, a także co dają na kartki — okazuje się rychło, że nie ma takiego jałowego nudziarstwa, którego gazeta nie mogłaby pomieścić. Wprawdzie nudziarstwo to nie zostanie przeczytane, ale tego nie da się przekonywająco udowodnić; można natomiast w ślicznie uporządkowanym sprawozdaniu pracowicie wyliczyć, ile, kto i na jaki temat opublikował kawałków.

4.

Powszechnie wytykanym grzechem tak zwanej propagandy sukcesu była jej skłonność — narastająca zwłaszcza w fazie schyłkowej, gdy kryzys stał już za progiem — do jaskrawego rozmijania się z rzeczywistością. Grzechem mniej zauważanym — tendencja do sycenia się sama sobą, do obracania się w świecie urojonym, drukowania dla drukowania, bez rzeczywistej intencji przekonania kogokolwiek o czymkolwiek.

Obawiam się, że w ten drugi grzech — zwłaszcza gdy zabraknie kontroli czytelników, mogących gazetę kupić bądź odrzucić — popaść niepomiernie łatwiej niż w pierwszy, bo przyzerowy wskaźnik zwrotów zawsze miłe kołysze do snu.

JERZY P.

2

Śmiech to zdrowie

Przewaliła się nad Europą grypa. Jedni nazywali ją filipinką, inni mówili, że grypę wywołuje wirus A2, a jeszcze inni zwali ją zarazą. Ci ostatni trafili chyba w dziesiątkę. Była to zaraza, która najpierw ludzi męczyła, a później jeszcze im życie komplikowała. Pewien mój znajomy długo po grypie nie mógł patrzeć na wódkę. Jedynie piwo popijał, bo ono czyściło mu nerki. A parę osób po tej grypie straciło po prostu poczucie humoru.

Poczucie humoru jest człowiekowi niebywale potrzebne. Pozwala mu ono niekiedy w sytuacjach zupełnie niemal beznadziejnych dostrzec jakąś iskierkę nadziei, coś optymistycznego, co pozwala jakoś wyjść z tej beznadziei. Poczucie humoru stwarza bowiem dystans do tego, co się wokół człowieka dzieje i przez to daje mu możliwość innego widzenia spraw i zjawisk. Człowiek z poczuciem humoru może dostrzec coś zabawnego tam, gdzie człowiek bez poczucia humoru, biorący wszystko dosłownie, widzi wszystko w ciemnych, beznadziejnych barwach. Stracić poczucie humoru to coś strasznego. A nie mieć go w ogóle to bezlitosna klęska.

Dariusz Dorożyński ma duże poczucie humoru i wszystko widzi na wesoło. Roman Kubiak też ma poczucie humoru. Wybory miss czegoś tam, a nawet Łodzi czy Polski, to nie jest impreza ponura, poważna, smutna. I Dariusz Dorożyński i Roman Kubiak, którzy się wybrali do „Centralu" na wybory miss napisali o tym z poczuciem humoru. Oburzeniem zareagował na to Henryk Jankowski z Warszawy. Jego list pełen tego oburzenia drukowały „Odgłosy" w 13 numerze. Wynikałoby z tego, że następne wybory miss powinien opisać jakiś solidny, pryncypialny publicysta, który na co dzień zajmuje się na przykład gospodarką i potrafi dokonać analizy zjawiska, wyciągnie wnioski i zgłosi propozycje. Ale czasem i o gospodarce trzeba pisać z poczuciem humoru. Już starożytni wiedzieli, że śmiech to zdrowie. Niektórzy powiadają, że śmiech masuje serce i przez to przedłuża życie. Śmiejmy się więc!

Nie chodzi wcale o pusty śmiech, o śmiech za wszelką cenę, o śmiech z wszystkiego. Chodzi tylko o zdrowe poczucie humoru. Znów muszę przywołać Darka Dorożyńskiego i Romana Kubiaka. Obaj oni wpadli na pomysł, żeby przed sezonem turystycznym pomóc naszym turystom zaopatrzeniowcom i publikują vademecum dla nich. Przestrzegam wszystkich, którzy nie mają poczucia humoru, aby tego vademecum nie czytali. Nie bierzcie, ludzie, wszystkiego, co pisze panowie D. i K. poważnie i dosłownie! Bierzcie z humorem i z dystansem!

Jeśli już o poczuciu humoru mowa, to bardzo mi się podobało, jak Andrzej Karol opisał ludzi „Odgłosów". O mnie oczywiście i kilku innych nic nie napisał. Ale mu to daruję. Widziałem, jak zainteresowani próbowali przekupywać Andrzeja Karola, aby o nich to i tamto napisał. Postanowiłem w tej kolejce się nie ustawiać i nie współzawodniczyć w przekupywaniu Andrzeja Karola. Zresztą brzydzę się łapownictwem!

Gdybym nie miał poczucia humoru, to może bardzo bym się oburzył na ostatnie postanowienie Ministerstwa Łączności, które zniosło wszelkie przywileje przy przydzielaniu telefonów. Ale nie do końca oczywiście. Pierwszeństwo w otrzymaniu telefonu mają bowiem pracownicy... łączności.

Pamiętam, że niedawno toczyła się taka bardzo nieśmiała dyskusja o potrzebie rezygnowania z przywilejów. No, bo to jest tak.

Górnicy mają węgiel, a jak mieszkają w blokach i nie potrzebują samemu palić, to mogą załadować węgiel na samochód i pojechać na wieś, aby go wymienić na ziemniaki, słoninę i mięso.

Kolejarze mają bezpłatne bilety na kolej i zniżkę również. Ich rodziny także. Pracownicy rzeźni mogą sobie kupić różne podroby. Włókniarze — tkaniny, dziewiarze — dzianiny, pończoszniczy — rajstopy i tak dalej. Funkcjonuje z całą gamą różnorodności handel wymienny. My wam to, wy nam tamto. Są talony i kupony.

Ponieważ książki są w zupełnie obłędnych nakładach, to księgarze mogą losować jedyny jaki przyszedł do księgarni egzemplarz poszukiwanej książki. Klient już nawet o nim nie usłyszy.

Każdy ma jakieś przywileje. Teraz pracownicy łączności mają bezapelacyjne pierwszeństwo w otrzymaniu telefonu. Dziennikarze na przykład muszą czekać w kolejce jak inni, choć nawet w szkole już uczą, że dla dziennikarza telefon — podobnie jak maszyna do pisania — jest narzędziem pracy. Ale dziennikarze takiego przywileju nie posiadają. I słusznie! Dobry dziennikarz musi się hartować w trudach codziennego życia i zmaganiach z przeciwnościami.

Przywileju w otrzymaniu telefonu nie mają nawet ludzie chorzy. Po co im telefon? Jak już ich los pokarał chorobą, to i tak im nic niepotrzebne. No chyba że na dodatek los ich jeszcze pokarał samotnością, to wówczas telekomunikacja się zlituje i udzieli pierwszeństwa w założeniu telefonu. A w ogóle telefon to luksus, zbytek i wymysł. Tym bardziej, że — jak powszechnie wiadomo — nie mamy kabli, aparatów, mocy i reszty.

I tylko ratuje nas poczucie humoru. Śmiejmy się! Śmiech to zdrowie! Śmiech masuje serce! Śmiech oczyszcza! A jak będziemy zdrowi, to z życiem jakoś sobie poradzimy.

ZENON POROWATY

3

Lewym okiem

Krzywa wydolności

Poczta przyniosła mi wczoraj pięknie wydrukowaną ofertę pana magistra inżyniera Czapskiego z Wrocławia, która za marne 200 złotych proponuje mi ustalić szczegółowo mój osobisty biorytm i wynikające z niego dobre i złe dni. Dobre i złe co do zdrowia, pomyślności w interesach i tych rzeczy.

Magister inżynier Czapski zna mój adres i dokładną datę urodzenia. Domyślam się, skąd zna, ale mniejsza z tym. W każdym razie osobiście nie znamy się absolutnie i nie wiemy nic o sobie.

Pan Czapski obiecuje, że jak prześlę „poniższe dane", to dowiem się o sobie wielu ciekawych rzeczy. „Poniższe dane" to właśnie mój adres (znany i tak panu Czapskiemu), data urodzenia (również znana) i... dwieście złotych. A więc danych — jak widzimy — stosunkowo niewiele. Wystarczy nadać przekaz, załączony zresztą przy ofercie, i już po dwóch tygodniach będę wiedział: ile przeżyłem lat, (wiem to doskonale bez znajomości biorytmiki), jaki procent moich rówieśników jeszcze żyje (to też wiem, mianowicie ze statystyk demograficznych), ile lat mam jeszcze szansę pożyć, (to również wiem — z demograficznej „piramidy wieku").

Ponadto magister inżynier Czapski pisze tak: „Wiemy przecież z własnego doświadczenia, że są w naszym życiu dobre i złe chwile lub dni, w których zdarza się nam wstać lewą nogą z łóżka (powinno być „w które" nie „w których", bo przecież wstaje się w dni, a nie w dniach) i wtedy wszystkie ujemne zjawiska przypisujemy tej właśnie okoliczności; wielu z nas wierzy w 7 lat chudych i 7 lat tłustych; słowem — jesteśmy jednak w mniejszym lub większym stopniu przesądni".

Zamiast takich niemądrych przesądów magister radzi nam wierzyć w prawdę naukową; wszystko co złe i dobre w naszym życiu, mądre i głupie, szczęśliwe i nieszczęśliwe, zależy w wielkim stopniu od biorytmu, a ten zależy wyłącznie od daty urodzenia! Tylko od tej daty zależy, czy decyzja ożenku, podjęta np. w połowie lipca 1970 roku, była słuszna czy nie. Czy w kwietniu 1985 złapię grypę czy nie. Czy lepiej iść na randkę w środę, czy lepiej poczekać do piątku, żeby się nie skompromitować.

Z daty urodzenia wynika — zdaniem magistra Czapskiego — krzywa, określająca dni wydolności intelektualnej i jej prosta odwrotność, czyli krzywa możliwości popełnienia błędu. Mam nadzieję, że pan Czapski wszystkie te krzywe rysuje w dniach, które są dniami jego najlepszej wydolności i że dzięki temu unika błędów. Nie wiem tylko, co miałbym zrobić w dniu, kiedy z mojej krzywej wynikałaby rada: „zmień dotychczasowy styl i metody pracy". Przecież „rytm" oznacza powtarzanie: co jakiś czas krzywa znajdzie się na tym samym poziomie i co — i za każdym razem miałbym apiat' zmieniać styl i metody pracy? Ile razy w życiu można zmienić własny styl?

Nie ulega wątpliwości, że wszystkie możliwości człowieka (umysłowe, fizyczne, zmysłowe) ulegają wahaniom i że wahania te mają naturę fal — wznoszą się i opadają. W przekroju dobowym opracowano już statystycznie wykres takiego falowania (krzywa Grafa), przy czym nie ma on oczywiście nic wspólnego z datą urodzenia, jest powszechny. Lekarze i biolodzy znają falowanie (niech będzie: biorytmy) w przekroju rocznym, zależne od wielu rzeczy (wiek, klimat, temperatura), ale wcale niezależne od dnia urodzin danego człowieka. Również w przekroju całego życia można odróżnić fazy różnej aktywności organizmu i ująć je w prawdopodobne regularności — one też nie będą zależeć od dnia urodzin.

Wiązanie wszystkiego z datą urodzenia jest przesądem i niczym więcej. Dawniej mówiono o koniunkcji gwiazd i planet, teraz — o biorytmach, a w obu wypadkach przesąd pozostaje ten sam. Wróżenie z daty urodzenia jest tym samym, co wróżenie z fusów, z ptasich wnętrzności, z kart i ze szklanej kuli. Jeśli usługi, pełnione w tym zakresie, objęte są patronatem Izby Handlu Zagranicznego, to chyba tylko gwoli starej, fenicko-rzymskiej zasadzie: pecunia non olet. Pieniądz nie śmierdzi...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Sport

Czyżby światełko w tunelu?

Światełko w tunelu stało się już przysłowiowe. Widać już jakby wyjście, choć jeszcze do tego wyjścia daleko. Takim światełkiem w sportowym tunelu mają być ostatnie wyniki zdobyte przez naszych zawodników w mistrzostwach Europy czy świata. I tak.

Bogusława Olechnowicz — żadna rodzina z naszą nieoceniona Grażyną Olechnowicz z „Odgłosów" — została mistrzynią Europy w judo. Ponoć ma trudny charakter, jest uparta i bardzo zdolna. I taka kobitka może zdobyć mistrzostwo świata. I tego jej należy życzyć.

Polscy tenisiści stołowi po raz pierwszy zdobyli brązowy medal w mistrzostwach świata w Goeteborgu. Sprawozdawcy podkreślają, że jest to bardziej zasługa Leszka Kucharskiego niż Andrzeja Grubby. Nasi pokonali Japończyków, a Chińczycy zgodnie z przewidywaniami zostali mistrzami świata. Znaleźć się w czołówce sportu, który był do tej pory domeną Azji, to wspaniały sukces.

Polska reprezentacja hokejowa weszła do grupy A mistrzostw świata. To również duży sukces.

Takie sukcesy cieszą. Poprawiają społeczne samopoczucie. Są nam potrzebne. Ale, czy to już owo przysłowiowe światełko w tunelu?

Nim powiem, co o tym myślę, chciałabym się podzielić przykrą wiadomością z Zakopanego. Otóż odbyły się tam Międzynarodowe Mistrzostwa Szkół Sportowych. Proszę zwrócić uwagę, że nie były to mistrzostwa szkół w ogóle, ale młodzieży ze szkół sportowych. Szkoły te mają za zadanie nie tylko popularyzować sport, ale wychowywać zawodników. W zakopiańskich mistrzostwach brała udział młodzież ze szkół sportowych NRD, Bułgarii, CSRS i Węgier. Najwięcej medali zdobyli młodzi sportowcy z NRD. W konkurencjach, w których startowali uczniowie w wieku lat 14—16 lepsi byli uczniowie z NRD i CSRS. Dlaczego? Ano dlatego, że byli silniejsi i mieli lepszy sprzęt. I tu właśnie smutek owej informacji. Okazało się, że polska młodzież ze szkół sportowych jest... niedożywiona. Nasi zawodnicy słabli, stawali więc na trasach, aby nabrać sił. Ale konkurentami dla zawodników z innych krajów być już nie mogli. To nie tylko jest smutne, to jest przerażające.

Jeśli nawet uznamy, że istotnie pokazało się światełko w sportowym tunelu, to do wyjścia z niego jeszcze długa droga. Potrzebny tu będzie duży wysiłek. Czy nas stać na to?

To pięknie, że nasi hokeiści wygrali walkę w swojej grupie i awansowali do grupy A. Ale byłoby jeszcze ładniej, gdyby się w tej grupie utrzymali. Czy ich na to stać?

„Zakładając — powiedział trener hokeistów Leszek Lejczyk w rozmowie z Michałem Strzeleckim z „Expressu Ilustrowanego" — że nie utrzymamy się w elicie światowego hokeja, to i tak gra warta świeczki — ze względów propagandowych i szkoleniowych."

Słaby to propagandzista, który zakłada, że sukcesem będzie porażka. Chyba że chodzi o propagandę klęski. Po minionej propagandzie sukcesu wszystkiego można się spodziewać. Wolałabym jednak, żeby Leszek Lejczyk bardziej się zajmował szkoleniem hokeistów niż propagandą czegokolwiek. W propagandzie też są potrzebni zawodowcy.

Ale Leszek Lejczyk nie będzie miał lekkiego życia bo — jak sam przyznaje — nie ma na przykład w Polsce takich zawodników, którzy nadawaliby się do gry w obronie w krajowej reprezentacji. Można podejrzewać, że w ogóle następców brak.

Apetyt — powiadają — rośnie w miarę jedzenia. To prawda. Rośnie. Tylko, żeby jeszcze jeść było co. Skoro już Bogusława Olechnowicz została mistrzynią Europy, to chciałoby się aby została mistrzynią świata, a przynajmniej aby ten tytuł na dłużej zachowała. Skoro polscy tenisiści stołowi znaleźli się w czołówce światowej, to chciałoby się, aby wspięli się na drugie miejsce, albo i o prymat światowy powalczyli z Chińczykami. Skoro polscy piłkarze byli na trzecim miejscu w świecie po raz drugi, to chciałoby się, aby i po raz trzeci o to mogli walczyć. A tu ich los w eliminacjach do rozgrywek w Meksyku jest bardzo zachwiany. Wystarczy jedna przegrana i... koniec.

Czy nas stać na wyjście z tunelu, które jakby już się nam pokazało? Czy to być może takie złudzenie, że jakieś światełko mruga? Fatamorgana, biedny ognik czy halucynacje wzrokowe?

Żeby dorównać najlepszym potrzeba sił, sprzętu, wytrzymałości, uporu, umiejętności. Same ambicje nie wystarczą. Potrzeba uporządkowania spraw w klubach. Musi zacząć garnąć się do tych klubów zdolna młodzież. Bo ona jest. Ale często chodzi samopas, a trenerzy narzekają, że nie mają następców, że nie ma zdolnych piłkarzy, hokeistów, koszykarzy, siatkarzy i tak dalej.

Czy rzeczywiście nie ma?

BOGDA MADEJ

Szczecin, grudzień 1970

WIESŁAW ROGOWSKI
Fragmenty powieści „Biały punkt”

1

Przed dyrekcją stoczni

Przed dyrekcją stoczni, na placu stały ze dwa tysiące ludzi. Zebrali się, podnieceni i zaniepokojeni wieściami z Gdańska, które jakimś chyba cudem docierały tu natychmiast ze szczegółami Podobno rozgorzała tam przenosząca się z miejsca na miejsce prawdziwa długa bitwa, na kamienie, butelki z benzyną; ktoś mówił, że podpalono dom komitetu wojewódzkiego koło Dworca Głównego, inni, że milicjanci bili pałami, a tamci oddawali: czym się dało, że rzucają granaty łzawiące, że padli zabici. Niejasne, trwożne, podniecające równocześnie wiadomości: wojsko już wjechało czołgami do Trójmiasta, ale to podobno nie oni użyli broni. Ktoś zaprzeczał: to właśnie wojsko strzelało. Diabli wiedzą, jak to było naprawdę, kto podgrzewał pod kotłem, a kto się w nim gotował. Ten i ów milczał, zagryzał wargi, zdając sobie sprawę, że w obliczu tragedii niewiele by wskórał u innych, gdyby powiedział, co myśli: że przecież jeśli tumult i gwałt orzetacza się przez ulicę, nic to dziwnego, że posłano wojsko a zatrwożeni chłopcy w szarych i zielonych mundurach dostali twardy rozkaz przywrócić porządek. Rozkaz to rozkaz — pamiętali z wojny. Lęk im to podpowiadał, rozum i pamięć. A serca mimo to biły gwałtownie, krew uderzała do głów na sama myśl: to nas, robotników, w naszym państwie! Jak to jest do ciężkiej cholery? Spróbowali sprawdzić: telefony rzeczywiście przestały łączyć z Gdańskiem, a więc to fakt, że założony został kordon ochronny. Wieści były więc straszne. Najbardziej zaś wstrząsało nimi to, że jeśli to prawda, iż ludzie poszli spokojnie, choć tłumnie, jeśli chcieli przedstawić, wyjaśnić, zażądać, jak mieli chyba prawo, kto i po co kazał wysłać naprzeciw nim tamtych z bronią? Czy był powód, który to usprawiedliwia? No, zgoda, pewnie, że ogień niepotrzebnie liznął wysokie progi, wykładane chodnikami korytarze, może i dali tam komuś brukowcem przez łeb, jak mówią, ale nie doszłoby do tego, gdyby były poważne rozmowy; jeśliby tamci przyszli sami do stoczni, nikt nie wychodziłby przecież pochodem na ulice, nie wyrywał płyt z chodników ani kamieni, jeśliby były rozmowy. Wszystko można wyjaśnić, nawet wtedy, gdy słowa są niesprawiedliwie kolczaste lub gorzkie, wyrywają się z ust pod wpływem gniewu czy rozpaczy. Ktoś w takim razie powinien jednak mieć odwagę rozumu, jeśli nie ci, to tamci. A tu tylko gniew i siła, rany, krew, kamienie, butelki z benzyną, gniew odbierający normalne znaczenie słowom i faktom, a fakt najważniejszy to rozkaz: repetuj broń! ostrzegamy! będziemy strzelać! pal! kule nad głowami, pal! kule w bruk; walą w tłum rykoszety, bije nad głową salwa, terkocze podskakujący w rękach automat, zgrzytają gąsienice o bruk, pękają szyby sklepów, ogień liże drewno, — a masz, ty rządowy głupcze! krew, czerwień, ludzieee! mordują. moorduuują! Ucieczka, depcze jeden drugiego, cisza, zgroza, za nimi człowiek leży tu i tam, cywil, milicjant, mężczyźni tej samej krwi, synowie tego samego narodu, może z tej samej wsi, z pobliskiej ulicy, z podobnych miast jak to, a jeszcze przed chwilą mówili tym samym językiem, teraz zaś tak samo milczą, już na zawsze.

Z domu dyrekcyjnego nadają słowa, odbijają się jak groch o ścianę. Ale przecież ktoś tam wziął ziarenko w palce, zastanawiając się: a może to prawda, może będzie tak jak ten tam woła z okna? Starsi myśleli o tym, co się tu może stać, skoro tam nad Motławą użyto broni. Cierpła im skóra. Młodsi byli gotowi na wszystko, skoro tamci zaczęli, trzeba im pomóc, wesprzeć, bo jeśli tylko w jednym mieście, łatwo będzie rozczłonkować zbuntowane załogi, człowieka po człowieku, grupkę po grupce, jednego zwolnić z wilczym biletem, drugiego do pierdla, innym zamknąć usta grożąc pięścią. Nie ma co czekać! — nawoływali podnieceni, spoceni. Spóźniliśmy się jak cholera, niech więc kraj wie, że i u nas, że i tu, że nie jesteśmy gorsi...

— Uchrońmy kraj przed nieszczęściami! Nie dozwólcie, aby ktoś wasz gniew zamienił w rozruchy! Odbudowaliśmy stocznię, teraz musimy ją ochronić! To Polska, tu nad Odrą, wy jej musicie bronić! Wróćmy do pracy! Nie powinniśmy stąd wychodzić, żądania owszem, ale nie wychodzić, bo podpalimy miasto! Trzeba wrócić do pracy. Krzykiem nikt się nie naje! Wszystkie żądania rzetelnie przedstawimy wyżej! Niech Warszawa wie, i niechaj rozstrzyga! Wracajmy do pracy!

Niektórzy, a była ich mniejszość, powoli, krok za krokiem wysuwali się z tłumu; stali jeszcze, lecz już oddaleni od reszty, wystarczy tylko krok i nikt nie będzie mógł powiedzieć, że byli tu, wśród tych gorących głów, a jeśli nawet, to przecież opamiętali się, zrozumieli, niech to ktoś zapamięta, kto widzi. Część z odchodzących wzięła do serca naprawdę te słowa, których siła i prawda, mimo że mówił je tamten z góry, z okna, a nie ktoś z nich, dała się rzetelnie zważyć rozumem. Ale i oni nie mieli odwagi wesprzeć jej inaczej, wyraźniej, własnym głosem: oni też wysuwali się z wolna jakby wstydliwie, w milczeniu, ku halom.

— No przecież, ci z Gdańska zrobili to w końcu i za nas! Po co więc mamy i my! Nie dolewajmy oliwy do ognia! Wyślijmy delegację do stolicy! Nie dawać nikomu powodu, żeby ktoś kiedyś..

— Nie! — zakrzyczeli. Głos jeden, chociaż z różnych ust. Zagotowało się. Ktoś zerwał transparent rozwieszony na murze: „naród z partią, partia z narodem” — ktoś inny przymocował go jakoś do dwóch kijów, rozpostarli płótno nad głowami, jak ochronę, albo jak wyzwanie, zaczęło się formować czoło pochodu, wzięli się za ręce, spleceni, przez to silniejsi, nawet gdy wciąż brakowało odwagi. Przez ich ciała przebiegł jakby prąd, wspólnie, razem, nikt nam nic nie zrobi!

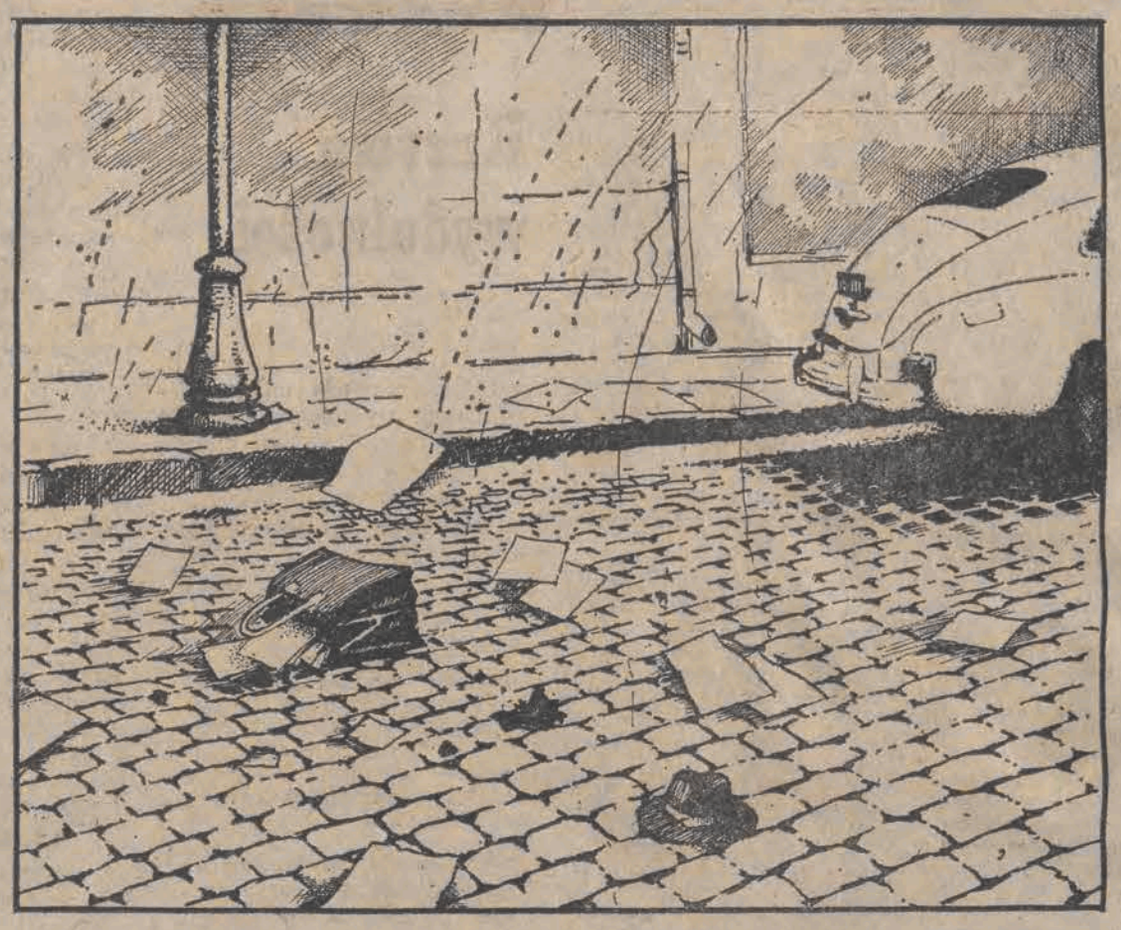

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Jęknęła w zawiasach ciężka brama, uderzyła o mur, wróciła znów siła bezwładu, chcąc się zamknąć — było to jak przestroga, ale powstrzymywali rękoma jej żelazne skrzydła, poszli, krok w krok, równo, dopiero potem pomieszał się ich rytm.

— Pilnować się! — poszło z ust do ust. — Żadnej rozróby, nie damy się prowokatorom!

To słowo prowokator, zmroziło niektórych, przywołało znów lęk. Patrzyli na siebie ze zdziwieniem. Znali się i nie znali, twarze przecież znajome. A może to jednak on? Może tamten? Przecież to bzdura! Wszyscy idą razem, nikogo obcego tu nie ma i jest spokój, musi być spokój!

U zbiegu ulic, na placyku stały dwa samochody milicyjne. Zatrzymali się. Był to moment zwrotny jak chwila między świtem a nocą, jeszcze nic się nie zmienia, ale już wiadomo, że coś się stać musi.

Nikt nie wie dokładnie, kto pierwszy podskoczył do gazików. Wybiegli z nich bladzi przerażeni chłopcy, kilku, nie było ich wielu, więc nie zwracali na nich uwagi, niech sobie uciekają, pies ich trącał! Ale samochody, o to inna sprawa, skoro wysłali je tu, to niech zobaczą.

Przewrócili najpierw jeden, potem drugi, ktoś odkręcił wylot baku, ktoś inny rzucił w rozlewające się kałuże zapalone zapałki. Buchnął płomień, odskoczyli, patrząc ze zdumieniem, jak dziwnie skwiercząc zajmuje się ogniem brezentowa buda, jak łatwo palą się opony, jak wysoko idzie w powietrze dymiący czarno, zmieszany z sadzą płomień.

Stało się. Teraz już nie ma wyboru, nie można zawrócić ani odejść na bok, trzeba więc iść naprzód.

Za nimi pozostały dwa dopalające się wraki jak dwie pochodnie, które świeciły jasno, jaskrawiej w oczach niż w rzeczywistości, aż lęk ogarniał człowieka.

— Chleba! Chcemy jeść! — zawołał ktoś pierwszy, aby przerwać milczenie i jakby poddając ton, podchwycili słowa, skandowali.

— Chcemy chleba! Chce-my chle-ba!

— Cofnąć podwyżki!

— Cof-nąć pod-wyżki!

— Partia z narodem!

— Par-tia z na-ro-dem!

— Naród z partią!

— Na-ród z par-tią!

— Chleba i wolności!

— Wol-noś-ci i chle-ba!

Gdy minęli Bramę Hołdu Pruskiego, zobaczyli, że plac Żołnierza jest pusty, zaś wokół domu partii stoją kręgiem pancerne samochody czy czołgi. Wstrzymali oddech. Pierwszy szereg zwolnił kroku, z tyłu zaczęto napierać na nich, zrobiła się kotłowanina i zamęt. Ale był ktoś, kto nie dopuścił, aby pochód załamał się w tym miejscu

— Oni nie będą strzelać! — zawołał. — Przecież to nasze wojsko. Wojsko z ludem!

— Woj-sko z lu-dem! — podchwycili.

— Patrzcie, tam jest redakcja!

Podnieśli głowy. Narożny dom błyszczał szybami, zza których widać było przez sekundę czyjeś twarze, jakiś ruch, potem już nic, martwe okna.

— Prasa kłamie!

— Pra-sa kła-mie! Pra-sa kła-mie!

W tym miejscu i chodnik i część jezdni były w remoncie: na skraju trawnika leżały połamane kamienne płyty, kostki z rozebranego bruku. Chudy młodzik wziął jedną do ręki, zamachnął się, rzucił, i zamiast w okno, uderzył w tynk, który odprysnął zostawiając biały ślad, jak po kuli. Chłopak poprawił. Tym razem brzęknęła rozbita szyba. Drugi człowiek walnął pięścią w wystawę sklepu. Jęczało szkło rozpryskujące się o chodnik. Raz jeszcze poleciały w górę kamienie.

— Nie rzucać! Iść dalej!

— Nie rzucać! — powtórzyli, powstrzymując zapaleńców.

— Pra-sa kła-mie! — wygrażali pięściami pustym oknom, lecz czoło pochodu ruszyło znów dalej: przecież już tylko kilkadziesiąt kroków zostało, tylko tyle, a zacznie się to najważniejsze.

Gryń był wśród nich. Dygotał wewnętrznie jak w febrze. Czuł fale gorąca i zimna przepływające po plecach. Miała tu przedtem przyjść delegacja, jak się wczoraj umówili, przecież coś o tym wiedzieć powinien, miał być w niej, postanowili przecież że pójdzie. Ale coś tu nie zagrało. Już od rana gromadzili się zdenerwowani ludzie, wiecowali. Podobno gdzieś, w której części rozległego terenu stoczni, może w rurowni, może w pokojach rady zakładowej, a może gdzie indziej, obradowali jacyś ludzie. Mówiono, że to komitet strajkowy, ale Gryń ich nie znał po nazwisku, a nie brał udziału w tych wyborach; ale nie rozumiał tego, był zajęty swoimi rozbieganymi myślami, troską, która go przywaliła jak kamień młyński: — czyżby mu nie ufano? Przecież miał i chciał iść w tej delegacji, do ciężkiej cholery! Szukał więc tego młodego, który wczoraj w rurowni przemawiał z rusztowania, nazywał się podobno Bałdyga, Baduga, czy jakoś tak, czort go tam wie, jakie to nazwisko i facet nie pracował tu zbyt długo Mówili, że to jego zrobili ludzie przewodniczącym tego komitetu.

Ale gdy dotarł już wreszcie pod drzwi, za którymi, jak powiedzieli mu dwaj chłopcy stojący tu w kaskach na straży, obradował ów komitet stoczniowy, wybiegli zza nich gromadą różni ludzie i bez oglądania się na boki, szli dokądś szybko, prawie biegiem, diabli wiedzą dokąd!

— To dyrekcja zawołała załogę — krzyczał jeden.

— Nie! To ludzie zeszli się i zażądali, żeby dyrektor...

Ruszył za nimi czując, że już się nie zmieni, nie będzie mógł z nikim rozsądnie rozmawiać. Szarpał nim gniew i lęk, to był jakby z nimi razem, wzruszony i podniecony, to znów czuł się niepewny. Ale biegł za tamtymi, jakby utracił wolę, a więc i możliwość powstrzymania swych rozpędzonych nóg, które same niosły go tak jak wszystkich, tam na plac.

I tak oto znalazł się tu, w gromadzie. Nie był w stanie wysłuchać żadnych racji, nie pojmował słów, które padały w tłum z wysokiego okna. Teraz już było mu wszystko jedno: skoro reszta kumpli, to i on, nie może być sam, byłby przecież jak palec odcięty od reszty ręki, nie ma już innego wyjścia, zostanie z nimi do końca, to co wszyscy, to i on, tak niechaj będzie. Niech stanie się, co ma się stać...

Stalowe pancerne żuki

Stalowe, pancerne żuki tkwiły nieruchomo na placu. Był to widok, który mógł zmrozić każdego do szpiku kości. Zgromadzeni bezładnie przed wejściem do gmachu, niepewni co będzie, ludzie być może byliby uciekli, gdyby zaterkotał karabin wzniesiony w niebo, albo gdyby ktoś zawołał do nich ostrzegawczo: rozejść się! Kto wie...

— Ludzie! Nie bójcie się! — krzyknął ten młody, z rusztowania w rurowni. Gryń dopiero teraz go tu zauważył.

— To tacy sami robotnicy jak my!

Słowa słowami, ale wozy pancerne były za plecami. Edek czuł jak włosy jeża mu się na głowie.

— Czemu stoicie? Na co czekacie?

Zobaczył, że otwiera się klapa w najbliższym wozie. Odskoczył. Ci, którzy stali obok niego, zmartwieli. Przez szpare widać było białka oczu, krawędź hełmu, blada twarz.

— Ty, chłopie! — zapytał Gryń. — Będziecie strzelać?

Tamten milczał. Patrzał nieruchomo, jakby i on nie wiedział co począć.

— Mów! Słyszysz? To twoi bracia, człowieku!

— Nie ma takiego rozkazu — odezwał się głucho. — A na to musi być rozkaz.

— Nie ma rozkazu, słyszycie? Oni nie będą strzelać! — Z ust do ust przekazano te słowa, jak pociechę, jak wsparcie, jak łyk wody spragnionemu do bólu człowiekowi. Ale tam, z przodu nawet ich nie słyszano; już pierwsi ludzie w białych hełmach weszli na kamienne schody, naparli na drzwi, które rozwarły się nieoczekiwanie łatwo, nie były zamknięte. Stanęli na moment, zdziwieni, ktoś wypadł ku nim z dyżurki, zepchnęli go wtedy z drogi i wybiegli na schody, jedni wyżej, coraz wyżej i dalej, inni w bok korytarzami: łomotały ciężkie kroki w dziwnej ciszy przerywanej tylko odgłosem nerwowych oddechów: jeszcze tam gdzieś walnęło okno, ktoś coś zawołał, a jego głos opadł z piętra w dół, na bruk wewnętrznego dziedzińca. Potem rozległy się gromadne krzyki nawoływania, jakby śmiech, drwina, tryumf.

Gryń stanął na progu najbliższego pokoju, wypełnionego po brzegi kręcącymi się ludźmi. Ktoś wyrwanym z gniazdka aparatem telefonicznym rąbnął o ścianę z rozmachem, aż ebonitowe rozpryski rozleciały się dookoła. Inny walił zaciekle krzesłem o podłogę, łamiąc je na kawałki; trzeci wyciągał szuflady z biurek, wyrzucał z nich stosy papierów, a one jak latawce, którym zabrakło wiatru, opadały z wolna. Jakiś gówniarz rozwalił szafę i z tryumfem wyjął z niej butelkę wódki.

— Patrzcie, chłopaki! — zawołał. Rozbił szyjkę o kant biurka i zaczął wlewać płyn prosto do gardła.

— Przestań! — Ty gnojku — starszy, krępy człowiek wyrwał mu szkło z ręki.

— A co? Czego ty chcesz? Teraz mi wszystko wolno!

— Jesteś stoczniowcem? To masz! — walnął go na odlew pięścią, aż ten poleciał bezwładnie na ścianę.

— Tylko bez awantur! Przestańcie!

Ten incydent natychmiast poszedł w zapomnienie, bo inny gość, w hełmie i fufajce, zebrał te wszystkie papiery na stos, polał wódką z innej butelki i rzucił na to ogień. Zaczęło się dymić.

— Jezu, Jezu, co się tu dzieje — jęczał w myślach Gryń, nie wiedząc, co począć. Tyle dobra, tego nie wolno... Rzucił się ku ognisku, ale mężczyzna, który uderzył chłopaka, powstrzymał go ramieniem.

— Zostaw!

— Człowieku..., tak nie wolno... Dlaczego? — mamrotał.

— Już się stało — powiedział tamten. — Nic na to nie poradzimy.

I krztusząc się, ruszył ku drzwiom, pociągając za sobą Grynia. Na korytarzu dym niósł się powoli także z innych drzwi, z innych pokojów, coraz gęstszy.

— Widzisz, chłopie? — powiedział machając ręką. — Już po nas! — Lepiej stąd spieprzajmy!

Zbiegli na dół.

Na placu było już niezliczone mrowie ludzi. Krzyczeli, jak zwariowani. Niektórzy powłazili na skoty, żeby lepiej widzieć, nie dostrzegając nawet, że z pootwieranych klap wyglądają bladzi z przejęcia żołnierze. Ktoś tam dźwigał biegiem kanister z benzyną i nieporadnie chlusnął z niego na mur, a chciał trafić do środka przez parterowe okno. Jak w czarodziejskiej sztuczce, pojawiły się znikąd puste butelki. Z nerwowym pośpiechem napełniali je benzyną rozbawieni okazją chłopcy i jeszcze mokre, oblewając sobie ręce etyliną, rzucali ku oknom: jedni trafiali i wtedy z pustych ram wybuchł jasny płomień, inni nie zdołali, więc płyn palił się tam gdzie doniosła butelka, na parapecie, albo spływał bezsilnie po murze.

Gryń patrzył ze zdumieniem, ale i narastającym podnieceniem na ten obraz zniszczenia. Czuł lęk, który zawsze towarzyszy zaskoczeniu siłą zła tkwiącego w człowieku i niepewności, jego skutków; potem owe języki coraz gorętszego ognia wypełniły mu oczy do dna, odmieniły nagle kierunek jego myśli. Zaczął oglądać to zmaganie ognia z drewnem, murami, domem, jak widowisko, które go coraz bardziej wciągało. A potem gdy już nie mógł zapanować nad sobą, poczuł dziwną złą radość, płynącą z olśniewającego tym ogniem odkrycia, że jest tu osobiście, że był tam wewnątrz i widzi to teraz wszystko na własne oczy. Odczuł skurcz serca, jakby jakaś prawda w tym momencie runęła z trzaskiem na asfalt, jakby stało się coś tak ważnego, jak narodziny lub śmierć.

Dopiero teraz uświadomili sobie, że komitet był pusty. Nikogo tam nie zastali, prócz kilku tych, którzy w ostatniej chwili wyskakiwali przerażeni przez okna na podwórko. A więc co to ma znaczyć, u diabła? Przecież chcieli rozmawiać, przedstawić żądania, twarde, nieustępliwe, słuszne, w co świecie wierzyli. A tymczasem pusto, tylko meble, które połamali, papiery, jakie spalili, ten dom o pustych oczodołach powybijanych okien, z których walił w górę gęsty dym.

— Gdzie oni są? Schowali się przed nami! Trzeba ich szukać! Teraz już białe kaski były ledwie widoczne i jakby zagubione w gęstym, szarym tłumie, jak białe krople olejnej farby między kamiennymi wybrzuszeniami bruku. Jeśliby nawet ktoś teraz chciał, nie zdołałby już ani pokierować tym żywiołem falującym i [illegible] kołysanym, ani też stawić mu czoło lub powstrzymać. To z jednej, to z drugiej strony placu rozpełzały się jak niby-nóżki ameby bezkształtne rozlewające się, a żywe i kierowane jakimś wewnętrznym celowym dążeniem i ruchem grupki ludzi. Część z nich, stojących dotąd tu na skraju, od strony alei Niepodległości, ruszyła w stronę gwiaździstego placu Grunwaldzkiego i alei Jedności Narodowej ku placowi Dzierżyńskiego, gdzie stał gmach miejskiej rady narodowej.